



MALWINA CHOJNACKA

# Syndrom starszej siostry

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

## **SYNDROM STARSZEJ SIOSTRY – – PRZEWROTNY PORTRET KOBIETY SUKCESU**

Jak nie zwariować, gdy:

- spędzasz w znienawidzonej pracy ponad 10 godzin dziennie;
- twoja jedyna córka rozpoczyna karierę w show-biznesie, nie mając żadnych talentów w tym kierunku;
- przyjaciółka ma coraz mniej sił do walki z poważną chorobą;
- twoja siostra popada w tarapaty finansowe;
- a mężczyźni, których znasz, lubią komplikować wszystkim życie?

Bohaterka *Syndromu starszej siostry* wciąż zadaje sobie te pytania. Odniosła sukces zawodowy, ale wraca do pustego mieszkania. W pracy skrupulatnie ukrywa swoją wrażliwość, ale rodzina i przyjaciele dobrze wiedzą, że wysłucha ich o każdej porze dnia i nocy.

Co się wydarzy, gdy mężczyzna o dość skomplikowanym życiorysie będzie chciał jej przypomnieć, czym jest miłość? Czy ona da mu szansę? Czy da szansę sobie? Czy będzie miała odwagę całkowicie odmienić swoje życie?

„Można mieć w życiu wszystko. Piękny apartament, lśniący samochód, dwa rasowe psy, dobrze płatną pracę i sushi na śniadanie. Tyle że żadna z tych rzeczy nie smakuje, kiedy człowiek jest sam. *Syndrom starszej siostry* to piękna opowieść o tym, że świat to nie tylko otaczające nas przedmioty. To przede wszystkim ludzie, którzy nas kochają i dla których gotowi jesteśmy poświęcić wszystko”.

Natasza Socha,  
autorka bestsellerów *Macocha* oraz *Ketchup*

Cena 29 zł 90 gr

ISBN 83-7298-908-7

ISBN 978-83-7298-908-6

[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

**ZYSK I S-KA**  
WYDAWNICTWO



MALWINA CHOJNACKA

# Syndrom starszej siostry

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

## Poniedziałek

— Nie dzwoniłam, bo nie było zasięgu, zapomniałam komórki, wykasowałam przypadkiem twój numer. W ogóle nudna jesteś z tymi telefonami! Już dawno nie jestem dzieckiem i nie muszę ci się spowiadać z każdego kroku! Dwa tygodnie nie dzwoniłam? No i co? Przecież żyję! A jakby coś mi się stało, to dowiedziałabyś się pierwsza jako matka denatki! Prawda? No... chyba że nie byłoby ciała! Mam przestać? To ty przestań! Dzwonię, kiedy chcę! Te telefony nie mogą być wymuszane! Nie jesteś przecież niedołątną staruszką! Nic ci się nie stanie, jak nie pogadamy sobie parę dni! Zresztą o czym z tobą gadać! Ciągłe narzekasz, a masz wszystko!

Taka jest Karolina i ja nic na to nie poradzę! Pyskata jest po mnie, niezależna także chyba po mnie. Dzwoni, kiedy ma ochotę, czyli najczęściej wtedy, gdy kończy się jej gotówka. Czyli coraz rzadziej. Powinnam być z niej dumna. Jestem dumna. Gdyby tylko zdecydowała się na jakieś studia... ja rozumiem — kariera — trzeba dać z siebie wszystko, ale cudownie byłoby, gdyby została panią magister! Nie marzyłam nigdy, żeby była na przykład lekarzem..., jak niektórzy rodzice; nie wybierałam jej zawodu... ale Karolina ledwo i z poślizgiem zdała maturę. Moje koleżanki chwaliły się: „Stasiek dostał się na prawo z pierwszą lokatą!”, „Jarek ma obronę w czerwcu!” A ja mogłam jedynie pokazać im okładkę jakiegoś męskiego szowinistycznego miesięcznika z Karolą na okładce! Na szczęście nie poszła na całość, ale jak daleko można

zajść, pokazując publicznie biust? Ona przekonywała mnie, że daleko! Dawałam jej wolną rękę, nie zmuszałam do nauki, nie zabraniałam. Chciałam być dobrą matką, która akceptuje swoje dziecko w stu procentach! Pozwoliłam jej się wyprowadzić po osiemnastych urodzinach! Do Grzesia! Wróciła po trzech tygodniach z płaczem, że on każe jej gotować, zabrania palić i dał w prezencie odkurzacz!

Odetchnęłam z ulgą, ale Karola nie wyobrażała sobie mieszkania ze mną:

— Zrozum! Jak ja mam zrobić nawet miniparty, jeżeli ty jesteś za ścianą!

— Często wyjeżdżam! Nie krępuj się! Korzystaj z okazji — odpowiedziałam, ale Karola znowu spakowała swój stary plecak i już jej nie było.

Wtedy moja córka była jeszcze inna. Dziecinna. Delikatna. Nosiła spodnie dzwony i eksperymentowała z kolorowymi dredami. Szybko zaczęła dostawać zlecenia z agencji modelek, przeszła na dietę jogurtową i przestała obgryzać paznokcie. Reklamowała, co się dało. Pał mucho nawet tampony i podpaski! Ale reklamy tabletek na zaparcia i „uciążliwe problemy z wątrobą” z jej udziałem zupełnie nie przypadły mi do gustu!

— Nie przesadzaj! Ta kasa była mi potrzebna! Jedziemy z Brianiem na Mauritius! — oświadczyła mi, gdy skarżyłam się jej, że sąsiadka z dołu nie odpowiada na moje „dzień dobry” i dziwnie na mnie patrzy.

Brian był grubutki i do tego z zakolami. Miał jednak istotną zaletę. Pracował w telewizji!

— Nagrywam płytę! — stwierdziła Karolina, gdy wręczyłam jej prezent na dwudzieste trzecie urodziny.

— Przecież nie masz słuchu! Wyrzucili cię z chóru w podstawówce!

— Wyrzucili, bo nabijałam się z księdza! Zresztą teraz komputer robi wszystko! Trzeba tylko mieć „look”, super wyglądać, a o to się nie martw!

No, o to akurat się nie martwiłam! Cieszyłam się, że ona ma plany... i marzenia. Rzadko pytała, co u mnie słychać, a działało się wiele! W redakcji gazety, w której pracowałam tyle lat, zaszyły

wielkie zmiany. Wykupili nas Austriacy. Bałam się tej rewolucji, ale jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie. Powierzono mi dział towarzysko-plotkarski. Dostawałam mnóstwo zaproszeń na premiery, otwarcia, wieczorki autorskie, festiwale.

Karola — jako doświadczona bywalczyń — wściekała się:

— Jak ty wyglądasz! Jak ty się ubierasz! Masz tu zamiary stylisty fryzur! Może on coś z tobą zrobi!

Otworzył mi młody mężczyzna z wygolonymi pachami w śmieszonym bereciku na głowie. Zanim znalazłam podany na wizytówce adres, minęło prawie półtorej godziny. Stara kamienica niedaleko Dworca Centralnego cuchnęła moczem i mydlinami.

— Karola mówiła, że pani przyjdzie, proszę, zapraszam. Jestem Ksawjer!

Oszło miły mnie ściany pełne luster i trzy prawie zupełnie nieruchome rosyjskie charty, które obserwowały mnie z gigantycznej zielonej kanapy, ustawionej na środku salonu.

— Dorni zajmie się pani włosami! Proszę usiąść!

— Nie pan? — zdziwiłam się, siadając grzecznie na malutkim, skórzanym pufie. Kanapę wolałam omijać z daleka, bo charty miały coś dziwnego w oczach.

— Nie! Ja nie strzygę! Nie jestem rzemieślnikiem, ale artystą! Koncepcję, architekturę pani fryzury mam w głowie! W umyśle! Od czego mamy nieskończoną potęgę naszej imaginacji! Dorni zrealizuje moją wizję! Napije się pani mandżurskiej herbaty?

Skinęłam głową, żeby go nie urazić. Piliśmy przedziwnie wyglądający napój przy drewnianym stoliczku, który został zakupiony ponoć w samym sercu Szanghaju.

— Lubi pani Callas? — Ksawjer dyskretnie włączył muzykę.

— Ona zawsze inspiruje! Dorni nigdy nie strzyże bez muzyki!

Natchniony fryzjer okazał się drobnym piegowatym blondynem, w srebrnej marynarce narzuconej na nagie ciało i w spranych dżinsach o półtora numeru za małych.

Po trzech godzinach nie poznałam się w lustrze. W redakcji przemykałam bocznymi korytarzami, błagając Boga i wszystkich

świętych, aby ten koszmar się skończył!

— Kto cioci to zrobił? — tylko Xenia, moja siostrzenica, która była u nas gońcem, rozpoznała mnie natychmiast.

— Karola poleciła mi stylistę fryzur, ja...

— To chyba da się jakoś odkręcić? Tu niedaleko jest taki osiedlowy salon fryzjerski! Ja się wszystkim zajmę, a ciocia niech tam biegnie!

Kochana Xenia! Dlaczego moja córka nie mogła być taka, jak ona! Zdolna, uprzejma i zwyczajna! Do bólu normalna! Karolina za karę nie odzywała się do mnie przez miesiąc. W końcu oświadczyła:

— Starzejesz się! Nic nie rozumiesz! Trzeba być trendy!

Staram się być trendy, ale nie jest to takie proste, gdy dobiega się pięćdziesiątki, a świat tak szybko się zmienia!

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu zostałam wybrana redaktorem naczelnym! Redaktorem naczelnym (no, nie oszukujmy się) brukowca! Ja? Najlepsza kiedyś studentka polonistyki, której proponowano zrobienie doktoratu? No cóż! Czasy się zmieniają i życie nas zmienia!

Kiedyś marzyłam nawet o studiowaniu filozofii, jak teraz Xenia, a potem chciałam zostać nauczycielką polskiego. Mój były mąż, którego spotkałam na studiach, skutecznie wybił mi to z głowy! Miał praktyczne podejście do życia, tak jak Karola. Ona ma to po nim:

— Zaszłaś tak daleko, a mieszkasz w bloku i jeździsz maluchem! Mamo, obudź się! Przecież stać cię na więcej!

Moja jedyna córka wciąż suszyła mi o to głowę!

Racja! Stać mnie było teraz na więcej, ale chciałam oszczędzać na wygodną emeryturę.

— Dom albo apartament! Zdecyduj się!

Gdy zainteresowałam się cenami tych wspaniałych, eleganckich, bezpiecznych miejsc, serce podskoczyło mi do gardła!

— Weź na kredyt! Co to za problem! — kusiła Karolina.

— Po co mi studwudziestometrowy apartament, skoro mieszkam sama? — broniłam się słabo.

— Nie wiadomo, czy zawsze tak będzie! A mężczyźni?

To akurat nie był trafiony argument. Pogodziłam się już z tym,

że nic mam do nich szczęścia, a może po prostu stawiałam poprzeczkę za wysoko. Próbowałam różnych sposobów, z wyjątkiem biura matrymonialnego. Na miłość swojego życia polowałam nawet w Internecie, ale irytowały mnie zbyt szybko stawiane pytania: „Jaki lubisz seks?” lub „Twoje mieszkanie w Warszawie jest własnościowe czy spółdzielcze?” Jeden z panów zapytał mnie nawet (po kilkumiesięcznej wymianie interesujących maili na przeróżne tematy): „Czy nie obawiasz się nadchodzącego końca świata? Twoją duszę może ocalić jedynie aktywne uczestniczenie w spotkaniach Naszego Zgromadzenia, którego jestem założycielem. Mityngi co miesiąc — Grudziądz — Dworcowa 4 — wejście od podwórka — pierwsza sobota miesiąca — godzina 17 — opłata 160 złotych”.

Zniechęciło mnie to bardzo do zawierania znajomości przez Internet, zwłaszcza że dzięki tej intensywnej korespondencji z nawiązanym panem zapłaciłam kilka słonych rachunków za telefon!

Tymczasem Karolina namówiła mnie na przeprowadzkę!

— W samym centrum Warszawy! Czynsz w euro! Kobieto! Pójdiesz z torbami! — mój były mąż, którego widywałam sporadycznie, pukał się w czoło. Ale ja cieszyłam się jak dziecko, że mam jacuzzi, basen na osiedlu, a mężczyźni (w większości bardzo przystojni) w ładnych mundurach pilnują mojego mieszkania i samochodu. Karola od razu poleciła mi znanego architekta wewnątrz:

— Jest na topie, mamuś, więc się z nim nie kłóć!

Po namyśle jego wizytówkę wyrzuciłam do kosza. Urządzą tę sto dwadzieścia metrów sama! Bez niczyjej pomocy!

Moje koleżanki reagowały typowo. Jedna z nich z przekąsem oświadczyła:

— No cóż! Jedni żyją na dwudziestu metrach kwadratowych z dwójką dzieci, mężem, chomikiem i psem, a inni sami jak palec na stu dwudziestu metrach.

Wstrętne baby! Niech zazdroszczą! To one serwowały mi opowieści o swoich niebywale zdolnych dzieciach właśnie kończących studia i to jeszcze z wyróżnieniem!

— Czy twoja Karolinka nie zagrała w jakimś filmie erotycz-



nym? — jedna z nich znowu próbowała zrobić mi przykrość:

— Mój Walduś wspominał, że ta dziewczyna była identyczna jak twoja córka!

— Wykluczone! Wiedziałybym o tym! A twój synek ogląda pornosy, zamiast szukać pracy! — odparowałam.

— No wiesz! To znaczy... miałam właśnie cię zapytać... nie znalazłoby się coś dla niego u ciebie w redakcji?

Wciąż słyszałam prośby o załatwienie pracy dla kogoś z rodziny, sąsiadów, przyjaciół, znajomych. Wszyscy nagle przypomnieli sobie o mnie! Wszyscy byli mili! Zwłaszcza gdy rozniosło się, że mam apartament i jeżdżę toyotą. Odezwały się nawet koleżanki z podstawówki. Jedna z nich płakała mi do słuchawki:

— Ja bez pracy, mąż bez pracy, a ciebie w gazecie widziałam! Pomyślałam — to jedyny ratunek!

Posłusznie załatwiłam jej etat recepcjonistki, ale wciąż narzekała na niską pensję, nie umiała obsługiwać komputera, a od darmowego kursu angielskiego wykręciła się, mówiąc:

— Po całym dniu w robocie to ja chcę odpocząć, a nie wkuwać słówka jak w szkole! Za stara jestem, żeby ktoś mi jeszcze pracę domową sprawdzał!

— Olej ich wszystkich! — radziła Karola.

Olewałam, ale miałam wyrzuty sumienia. Mówiłam:

— Zobaczę, co da się zrobić. Zastanowię się. Rozejrzę.

W nocy przewracałam się z boku na bok w jedwabnej pościeli. Nie mogłam uwierzyć, że to mnie (akurat MNIE!) udało się tak awansować! Po raz pierwszy w życiu tak mi się udało! Wcześniej bywało różnie... Gdy studiowałam, urodziła się Karolina... To była klasyczna wpadka zakończona skromnym ślubem i przeprowadzką do teściów. Nawet kłócić się nie mogliśmy głośno, tylko szepetem, bo rodzice mojego męża pukali ostrzegawczo w ścianę. Nie chciałam zawałać studiów, ale nie udało się. Powtarzałam rok, a moi rodzice i siostra zajmowali się Karoliną. Teściowa nie mogła — płacz małej powodował u niej częste migreny.

## Wtorek

— Pomieszkać z tobą trochę, bo George wrócił do żony!

— Jaki George? — zdębiałam.

— Przecież nie Bush! Mamo! Czy to ważne!?

Nie. Absolutnie nieważne. Nie nadałam za nią. Starzeję się. Przecież niedawno przedstawiła mi Petera — dziennikarza BBC akredytowanego w Polsce!

— Robię remont mieszkania. Mamuś! Nowe ściany! Industrialne! Przecież nie zamieszkać w hotelu!

Wiedziała, że się zgodzę. Zgadzałam się na wszystko.

Następnego dnia wróciłam tradycyjnie po dwudziestej pierwszej i potknęłam się o stos walizek w przedpokoju.

— Wczesnie dziś skończyłaś! — Karola w różowym szlafrocuku oglądała telewizję. — Potrzebuję dwóch pomieszczeń, bo w jednym to wszystko mi się nie zmieści!

— Dobrze, kochanie. Zjesz kolację? — spytałam przez grzeczność, bo domyślałam się, jaka będzie odpowiedź. Zawsze była niejadkiem, jakiś czas temu podejrzewałam ją o anoreksję.

Zajrzałam do lodówki. Pani Tosia co drugi dzień sprząta u mnie i gotuje obiady, które zjadam zwykle w nocy, oglądając powtórki moich ulubionych seriali.

W łazience kosmetyki Karoli zajęły aż cztery półki: najdroższe z najdroższych — kremy pod oczy, na powiekę górną, na powiekę dolną, na dekolci.

Westchnęłam, gdy nagle włączyła muzykę na full. Marzyłam o ciszy, spokoju, o cudownej, aromatycznej kąpieli, o...

O mój Boże! W wannie coś było! Coś obrzydliwie zielonego!

— Karola! — wrzasnęłam.

Zjawiła się natychmiast, bo zapewne przeraził ją mój histeryczny krzyk.

— Co to jest? — zapytałam drżącym głosem.

— Gdzie? A! To! To jest iguana, mamuś!

— Co ona tutaj robi?

— Nie przejmuj się! To pożegnalny prezent od Georga! Jutro przywiozę jej terrarium!

— Nie możesz oddać jej do sklepu albo do zoo? Boże! Ja prze-

cież mam dwa psy! One ją zagryzą! I gdzie one w ogóle są? — jęczałam.

— Xenia wzięła je na noc do siebie. Jutro wszystko wróci do normy. Alfik będzie mieszkał w moim pokoju!

Moja córka mnie wykończy! Odechciało mi się kąpieli i pysznej kolacji! Życie z nią przypomina jazdę na karuzeli! Może to moja wina? Może jestem zbyt pobłażliwa?

Niedawno moja była teściowa zrobiła mi przez telefon wykład o moralności. To było po tym, jak Karolina udzieliła w nocnym programie *Pieprzne dziewczyny* dość odważnego wywiadu. Swoją drogą sądziłam, że ta stara wiedźma chodzi spać wcześniej i nie ma kablówki.

— Jak ty ją wychowałaś! — grzmiała.

Rzuciłam słuchawkę. Będzie miała kolejny powód do zrzęczenia.

— Jaka matka, taka córka — i tak dalej.

Zawsze byłam nie dość dobra dla jej syna. Mieszkanie z nią pod jednym dachem wspominam jako najgorszy koszmar mojego życia. To przez nią nabawiłam się kompleksów i długotrwałej nerwicy. Podśluchiwała nasze rozmowy, w wyjątkowo złośliwy sposób krytykowała mój wygląd i moje zachowanie. Cokolwiek powiedziałam, było perfidnie wykorzystywane przeciwko mnie. Jak to dobrze, że Karolina nie popełniła mojego błędu! Zakładanie rodziny w wieku dwudziestu lat to kompletne szaleństwo!

\*

Patrę teraz w lusterko, zwinięta na kanapie. Kieliszek wina, w telewizji jakieś przerażające wiadomości: strzelaniny, wybuchy, krew...

Karolina już śpi. Nareszcie śpi. Czy ona coś dzisiaj w ogóle jadła? Nic na to nie poradzę, ale wciąż nałogowo się o nią martwię. Przecież ona nie ma stałej pracy i stałych dochodów! Oczywiście mogę jej pomagać, poza tym ma własne mieszkanie, na które zapracowała modelowaniem w Japonii, ale mój Boże, co ona będzie robić za dziesięć, piętnaście lat?

Patrę w lusterko i widzę obrzydliwe wory pod oczami, zmarszczki. Podobno jestem wymagającą i „lodową szefową”,

a moja córka owinęła mnie sobie wokół małego palca. Lubię być sama. Pewnie dziwaczej.

Dzwoni komórka. Marek. Mój były mąż. Jest prawie pierwsza w nocy. Wie, że ja nie śpię.

— Nie śpisz?

— Nie pytaj głupio! Co się dzieje? — ziewam.

— Wracam właśnie z firmy do domu. W sumie nie wiem po co? Mógłbym tam przekimać do rana na fotelu.

— O co chodzi? — przerywam mu.

— Ona jest u ciebie? — Marek jest troskliwym ojcem, ale potwornie zapracowanym. Jesteśmy jak para bezradnych głupków.

— Jest. Skąd wiesz?

— Ten facet ją rzucił. Strasznie płakała, gdy dzwoniłem do niej dwa dni temu!

— Zawsze wychowywałeś ją przez telefon! — odpowiadam z przekąsem.

— To dobrze, że ją rzucił, bo był żonaty. Niedobrze, że płakała!

— Niedobrze! — potwierdzam.

— Ale da sobie radę! To twarda dziewczyna! — Marek wzdycha. — Pozdrów ją ode mnie! Jutro zadzwonię!

Mój były mąż spłaca dom z ogrodem i basenem. Pracuje po czternaście godzin na dobę. Niedawno całkowicie osiwiął. Nieporadny, roześmiany blondyn — taki był, gdy się poznaliśmy. Rozczulał mnie — a to bukietem stokrotek, a to konwalii. Warszawa była wtedy inna. Ludzie byli inni...

Nastawiam budzik na siódmą. Lubię celebrować poranki. Kawa parzona w japońskim ekspresie, delikatna muzyka, kąpiel.

No właśnie! Kąpiel z iguaną!

Zaczynam się śmiać.

## Środa

Rano Karolina spała jak zabita. Siódma to dla niej środek nocy! Zostawiłam jej kanapki, chociaż domyślałam się, że nawet ich nie ruszy.

W redakcji od razu natknęłam się na Xenię.

— Witaj! Psy nie rozrabiły? — uśmiechnęłam się do niej.

— Ciociu! Wszystko dobrze, ale Happy chrapie głośniejsze niż tata, no i, niestety, musiałam cały czas wietrzyć, bo on strasznie psuje powietrze.

Happy to mój pupilek — okazały chow-chow, na którego widok wszyscy przystają z zachwytem. Jest wychuchanym championem. Co dwa tygodnie pani Anetka z zakładu „Pretty puppy” kąpie go i suszy specjalną suszarką ponad osiem godzin. Śmieję się, że Happy to mężczyzna mojego życia. Jedyń jego wadą jest dziuki upór. Czasem kładzie się akurat tam, gdzie stoi i nie chce się ruszyć nawet o milimetr! Nie daje się przekupić i nie reaguje ani na prośby, ani na groźby! Jedyne Xenia ma na niego sposoby. Płacę jej za wyprowadzanie moich psów (jest jeszcze leniwy York — Maciuś) na spacer. Jest typową psiarą, ma sporo czasu.

es

Piję hektolitry kawy. Krzyczę na ludzi. Normalny dzień pracy. Kiedyś jeszcze paliłam. Teraz już nie. Palenie postarza, skóra staje się jak pergamin i marszczy się ohydnie. Nie mam czasu iść na lunch. Czuję, jak żołądek wżera mi się w kręgosłup.

Jestem złośliwa, cyniczna, drobiazgowa aż do bólu. Pewnie wszyscy mnie tu nienawidzą. Co innego twierdzi Xenia, ale wiadomo, że przy niej nie odkryję się do końca.

Ja przecież gram! Nie mam zielonego pojęcia o wydawaniu brukowca! Uważam, że nachalne fotografowanie sławnych ludzi w kompromitujących sytuacjach to chamstwo, ale zatrudniam kilku „fotografów” do zadań specjalnych. Za wyjątkowo niedyskretne zdjęcie otrzymują wyjątkowe pieniądze. Nie interesuje mnie, jak je zdobyli. Wiem, że przekupują taksówkarzy, ochroniarzy, kelnerów, a nawet lekarzy i pielęgniarki.

Motywuję moich dziennikarzy, daję im premie za gorącego „newsa”. Wyrzucam z pracy, gdy są za mało drapieźni lub mają jakieś skrupuły.

Wiem, że mam różne ksywki. Złośliwe i bardzo trafione.

Gdy przychodzę do redakcji, ogarnia mnie potworna złość!

Co ja tutaj robię! Powinnam pracować w jakimś miesięczniku krytycznoliterackim dla intelektualistów, a nie na dwudziestym piętrze oszklonego wieżowca z widokiem na Pałac Kultury i Dworzec Centralny.

Za ten widok i skórzany fotel, na który padam po całym dniu pracy, wielu oddałoby wszystko.

Często zaglądam do redakcji także w soboty i w niedziele. Moje życie to moja praca.

Nie gotuję. Nienawidzę tego robić. Kuchenka mikrofalowa to wynalazek wszechczasów. Nie sprzątam, nie pamiętam, gdzie pani Tosia chowa odkurzacz. Nie jestem pewna, czy wiem, jak się obsługuje moje supernowoczesne, amerykańskie żelazko. Zakupy robię raz na dwa tygodnie. Omijam tanie supermarkety. Wolę eleganckie sklepy z oryginalnymi przyprawami z całego świata. Moi współpracownicy myślą, że uwielbiam sushi i zupę miso, bo to jest zwykle serwowane na naszych świątecznych przyjęciach w redakcji.

A ja wieczorami, w mojej ogromnej, supernowoczesnej kuchni wcinam żurek, bigos i schabowe, przygotowane przez panią Tosię. Zbędne kilogramy maskuję odpowiednimi strojami. Rowerek do ćwiczeń — prezent od Karoli, stoi pokryty kurzem.

Nie lubię tego, jak wyglądam, swojej twarzy... jest już stara.

Operacja plastyczna jednak nie wchodzi w grę. To wyłączyłoby mnie z życia na co najmniej miesiąc. Ktoś mógłby zająć moje miejsce, a wiem, że jest wielu chętnych. Poza tym boję się bólu i bezradności. Już wolę swoją starą twarz, w którą wklepuję kremy za kilkaset złotych.

Jest wiele rzeczy, których się boję albo bałam.

Gdy zostałam sama z kilkuletnią córeczką, tułałam się po wynajmowanych kawalerkach. Nigdy nie wiedziałam, czy wystarczy mi pieniędzy do pierwszego. Nie jestem feministką. Nie twierdzę, że można żyć bez mężczyzny, chociaż jakoś żyję.

— Gdyby ona miała chłopca, nie byłaby taka wredna! — usłyszałam taki komentarz kiedyś, przypadkowo, na korytarzu w redakcji.

Z drugiej strony, gdybym zaprzętała sobie głowę randkami, nie byłabym tam, gdzie jestem! Moje główne zalety to dyspozycyjność, oddanie pracy!

Moja siostra twierdzi, że jestem jak cyborg, jak robot.

To nie jest prawda! Jestem po prostu sprawiedliwa i bardzo wymagająca!

Jedna z dziennikarek, śmieszna ropucha z nadwagą, zarzuciła mi mobbing, zanim odeszła. Idiotka! Dla świetnych dziennikarzy jestem przemiła, a słabych eliminuję w przedbiegach!

Wszystkie moje sny dotyczą redakcji. Mam taki jeden klasyczny koszmarek, który pojawia się zwykle nad ranem, gdy jest zbyt duszno w mojej sypialni: Mamy zebranie — ja mówię do wszystkich, lecz mój głos zanika, słabnie. Przestają zwracać na mnie uwagę. Przestają mnie słyszeć. Chcę krzyczeć, ale tylko poruszam ustami...

\*

— Kiedy zjesz z nami obiad? — moja siostra uparcie zostawia mi wiadomość.

Zosia nie rozumie mojej pracy, tak jak ja nie pojmuję jej pasji nurkowania i wyrozumiałości wobec męża. Zawsze, gdy do nich przyjeżdżam, Tomek wita mnie w poplamionym T-shircie i kolorowych bermudach. Roześmiany, z resztkami piwa na wąsach.

— Jak się masz, mała? — powita mnie jak zwykle i przytuli.

Tomek dużo je, dużo pije, ma duży, swojski brzuch i (w jego mniemaniu) duże poczucie humoru. Nie pojmuję, co Zośka w nim widzi. Gdy ich obserwuję, szokuje mnie ich nierozłączność. Razem uprawiają ogród, razem gotują, razem prowadzą firmę, razem chodzą do dentysty.

Kiedy zamierzam spotkać się z moją siostrą, wiem, że Tomek będzie zawsze w pobliżu. Śmieję się z nich, że są jak Flip i Flap, jak Bolek i Lolek, Tom i Jerry. Ona chudziutka, obcięta na „zapałkę”, ubrana z nieco przesadną nonszalancją i bez śladu makijażu, i on — o dwie głowy wyższy i mniej więcej o osiemdziesiąt kilo cięższy.

— No to kiedy zjesz z nami obiad? Nie odczepię się tak łatwo. — Zośka dzwoni czwarty raz.

— Jestem zajęta! Oddzwonię!

— Nie jesteś zajęta, bo jest już ósma wieczorem! Co ty robisz w pracy o tej porze?

— Pracuję! Słuchaj! Daj spokój! — wzdycham.

— Podoba ci się napis na koszulce: "JESTEM SEKSOWNYM ŁYSOLKIEM?"

Zośka i Tomek prowadzą firmę produkującą koszulki z prowokacyjnymi napisami „PROVOCATIVE T-SHIRT”.

— To dla twojego męża? — śmieję się.

— On to wymyślił. Sądziś, że wielu facetów by to kupiło?

— A może: JESTEM ŁYSYM SEKSOHOLIKIEM?

— Niezłe! — chichoczymy jak nastolatki.

— Zadzwoń później! Obiecuję!

Nie chce mi się wracać do domu. Karola miała zaprosić kilka osób... Może wynająć pokój w hotelu?

## Czwartek

Kocioł w pracy. Wszyscy myślą tylko o urlopie. Jeden z moich zastępców — Jarek, ucieka przede mną, zaczyna się jąkać, pocić i ma pierwsze objawy nerwicy. Jakiś czas temu zastanawiałam się, czy poznać go z Karoliną. Inteligentny trzydziestolatek po dwóch kierunkach studiów to wymarzony, potencjalny i hipotetyczny zięć.

Zaczęłam go obserwować... szczupły, chłopięca twarz, długie palce... Gej? Nie wspominał nigdy o dziewczynie czy narzeczonej, a pracujemy razem ponad dwa lata...

Wiedziałam, że jest u mnie w redakcji osoba, która natychmiast udzieli mi informacji na każdy temat dotyczący prywatnego życia moich podwładnych. To Marysia, moja sekretarka.

Kilkanaście razy myślałam o tym, żeby ją wyrzucić. Była roztrzepana, niesolidna, a swoje wpadki tłumaczyła absurdalnie:

— Mam zespół napięcia przedmiesiączkowego i wszystko leci mi z rąk.

— Do trzeciej nad ranem czytałam szósty raz *Bridget Jones* i zasnęłam.

— Ciągle zastanawiam się, co będzie w następnym odcinku *Mjak miłość* i dlatego zapomniałam przepisać ten kontrakt.

— Zdechł mój ukochany chomik i stąd ten bałagan w dokumentach!



Ale Marysia — ta tłustawa, roztrzepana osóbką, miała jedną wielką zaletę — była i jest kopalnią wiadomości o moich współpracownikach. Co pół godziny majestatycznie wstaje zza biurka, nerwowo bawiąc się swoimi dziwnymi kolczykami (na przykład w kształcie amorków), i udaje się do toalety, w której spędza sporo czasu. Zastanawiałam się kiedyś, czy biedaczka nie ma problemów z żołądkiem, przecież bez przerwy je słodczy. To jednak nie to!

Marysia podsłuchuje, wyłapuje każdy szmer i półszept. Wie wszystko o wszystkich. Obserwuje...

Myślę, że byłaby świetnym szpiegiem. Nie jest gadułą, wiele osób zwierza się jej, bo sprawia wrażenie niepozornej, nieszczęśliwej starej panny.

Marysia mówi mi wszystko, ale nie od razu.

Trzeba ją odpowiednio podejść, stworzyć przyjazną do zwierzeń atmosferę, dać jej odczuć, że jest osobą zaufaną i niezbędną. Musiałam mocno się wysilić, gdy chciałam wyciągnąć od niej informacje o Jarku.

Wezwałam ją do swojego gabinetu pod byle pretekstem. Wtoczyła się majestatycznie, ubrana w różowy, obcisły golfik, w szokujący sposób podkreślający jej rubensowskie kształty.

— Siadaj — wskazałam jej krzesło.

— Czy zrobiłam coś nie tak? — jęknęła Marysia płaczącym głosem.

— Nie! Skąd!

— Ja wiem, że nie jestem doskonała! Ale się staram! Naprawdę! — w jej oczach pojawiły się łzy.

— Oczywiście — przytaknęłam.

— Słuchaj, dostałam trzy bombonierki... wiesz, że nie jem słodczy, może wzięłabyś dla swoich siostrzeńców? — wręczyłam jej kilka pudełek.

— Ale ja nie mogę, nie, nie... — krygowała się.

— Wspominałaś, że twoją siostrę opuścił mąż. Jej i dzieciom jest ciężko! To chociaż trochę osłodzi im te smutne chwile! — westchnęłam.

— Tak mówiłam? No... Magda jest taka samotna, a chłopcy to istne diabły! — Marysia otarła oczy i machinalnie otworzyła pierwsze pudełko.

— Wszyscy pracują, jak należy? Jak ty to widzisz? A przecież widzisz wszystko, jesteś bystra, nic ci nie umknie! — zagadnęłam ją, gdy dobrała się do pierwszej czekoladki Orzechowy Pierrot.

— Tak, wszyscy — wybełkotała z pełnymi ustami.

— Tylko pani Joasia...

— Tak? — uniosłam brwi.

— Chyba jest w ciąży, dziś rano wymiotowała dwa razy.

— Może ma kaca? — zaśmiałam się.

— Ale pani Joasia nie pije już od ośmiu lat! Działa w ruchu AA! Tego nie wiedziałam! Jak zwykle zaskoczyła mnie swoją wiedzą.

— No cóż, jeżeli jest w ciąży, to w jej wieku ryzykowne! Ma trzydzieści dziewięć lat!

— Czterdzieści jeden — poprawiła mnie Marysia.

— I nie ma męża.

— Wychodzi za mąż za trzy tygodnie. Wręczy pani zaproszenie w poniedziałek. Drukują się! — zajęła się teraz Kokosowym Skrzatem. W kącikach jej ust lśniły plamki z czekolady.

— No dobrze! Zostawmy Joannę. Ta ciąża będzie ją drogo kosztować! Chyba że będzie mi pisała teksty na porodówce! — zagryzłam wargi.

— A Jarek? Myślisz, że bardzo się stara?

Marysia zamyśliła się nad Kawową Muszelką.

— Pan Jarek? Oczywiście! On przychodzi przed panią, a wychodzi po pani!

— Sądziś, że chciałby zająć moje miejsce?

— Nie tylko on... — moja sekretarka nabrała powietrza.

— Dobrze! Dobrze! — przerwałam jej. — A sprawy prywatne nie przesłaniają mu pracy?

— On nie ma życia prywatnego! — Marysia rozłożyła ręce.

— Co ty nie powiesz? Nie ma dziewczyny?

— Przecież pani wie... — obracała w dłoni Nugatową Kulkę.

— Nie wiem! — upiłam łyk kawy. — Może napijesz się czegoś?

— Dziękuję! — Marysia potrząsnęła głową. — Jest w jego życiu jedna kobieta.

— O, proszę! Wiedziałam! — wykrzyknęłam.

— Jedna ważna kobieta — kontynuowała moja sekretarka, zakładając nogę na nogę.

Obcisła, krótka spódnica w kolorowe groszki opinała jej uda. Marysia miała słabość do dziwacznych rajstop. Te dzisiejsze miały niezwykle wzory. Nie mogłam oderwać wzroku od sinych liści na jej potężnych łydkach.

— Z którą on najbardziej się liczy, do której dzwoni kilka razy dziennie.

— No mam nadzieję, że nie ze służbowego telefonu! — wtrąciłam.

— O nie! On bardzo się pani boi!

— Kim ona jest?

— To jego matka! — Marysia uniosła triumfalnie palec do góry.

— Matka? — byłam rozczarowana.

— Robi mu dietetyczne kanapki, o dwunastej dzwoni, żeby przypomnieć mu o tabletkach na wątrobę, a o szesnastej on opowiada jej ze szczegółami, co było na lunch!

— Boże! Patologiczny maminsynek! — westchnęłam. A ja chciałam wyswatać z nim moją córkę! Nie ma normalnych facetów na tym świecie!

\*

Boli mnie głowa. Jarek usłużnie podaje mi szklankę wody i tabletki. Spałam tylko trzy godziny. Świeci piękne słońce. Widzę to przez nasze ogromne, zamknięte szczelnie okna. Klimatyzacja działa bez zakłóceń, dlatego nigdy dokładnie nie wiem, jaka jest pogoda. W moim mikroświecie jest taka temperatura, jaką sobie wymyślę. Czyli niska.

Mam uderzenia gorąca, tabletki i plastry hormonalne niewiele pomagają. Przekwitam. Wciąż mocuję się z guzikami mojego eleganckiego żakietu. Inni w naszej redakcji otulają się w ciepłe szale i swetry, a ja czuję, jak pot ścieka mi po plecach. Francuskie antyperspiranty są mocno przereklamowane.

— Mało pani spała? — Jarek próbuje być uprzejmy.

— A co? Widać? Mam wory pod oczami?

— Nie, nie, skąd! — jest przerażony. — Wygląda pani, jak zwykle świetnie!

— Nie kłam! — warczę. — Stać cię chyba na szczerłość! juź się trochę znamy!

Jarek czerwieni się i próbuje poluzować krawat.

— Muszę coś zjeść! Idziemy do bufetu! — rozkazuję.

Podąża za mną bez słowa sprzeciwu. Wiem, że jadł juź lunch, ale zje drugi, jeżeli będzie trzeba. Wsiadamy do lśniącej windy, która bezszelestnie pokonuje piętra. Odwracam się tyłem do lustra. Nienawidzę tak ostrego oświetlenia! Moje zmarszczki wyglądają tu fatalnie.

W bufecie oczywiście tłumi: pracownicy różnych firm, agencji reklamowych, banków. Tylko kilka znajomych twarzy. Sztuczne palmy i jedzenie w gablotach — jak w muzeum. Gwar rozmów jak w ulu — to wszystko mnie drażni.

— Poszukaj mi jakiegoś cichego stolika! — rzucam do Jarka, któremu jak na złość dzwoni komórka.

— Mamo! Nie teraz! — jego szept do słuchawki jest bardzo nerwowy.

Jemy w milczeniu. Wszystko tutaj smakuje jak wata: kurczak z waty, ziemniaczane kulki i gotowana marchewka z waty.

— Wiedziałeś, że nie lubię marchewki! — próbuję sprowokować Jarka.

— Nie wiedziałem! Przysięgam! — z przyjemnością patrzę, jak wpada w panikę.

— Czy to miejsce jest wolne? — ktoś beczelnie odsuwa krzesło, na którym rozpiera się dumnie moja torebka z krokodylej skóry.

— Jak widać — nie! — warczę.

— Zuzanna? — męski głos nie daje za wygraną. Odwracam się z widelcem w garści, jakbym chciała ugodzić intruza.

Patrzę i oczom nie wierzę! Marcin! Moja dawna, studencka miłość zmartwychwstała w jednej chwili! Zmienił się! Mój Boże, jak on się zmienił! Jak wyprzystojniał!

Mężczyzna stojący przede mną ma prawie dwa metry wzrostu, gęstą, lekko siwiejącą czuprynę i obłądny uśmiech. Jak za-

wsze niebywale elegancki i pachnący markową wodą po goleniu.

— Co ty tutaj robisz? — pytam słabym głosem.

— A co to za powitanie? — śmieje się, siadając bez pytania przy moim stoliku.

— Okazuje się, że pracujemy w jednym budynku! Słyszałem, że awansowałaś i wcale mnie to nie zdziwiło, bo zawsze w ciebie wierzyłem! Pamiętasz?

Szczerze mówiąc, nic takiego nie pamiętam, ale jestem tak oszołomiona, że uwierzę we wszystko, co on powie. Przytakuję więc skwapliwie i czuję, że moje serce topnieje.

Dwadzieścia kilka lat temu był moją wielką miłością. Niestety, platoniczną. Uwielbiałam jego głos, zapach, sposób bycia. Był dla mnie totalnym ideałem pozbawionym wszelkich wad. No, może poza jedną — nie widział we mnie kobiety tylko kumpla!

— Wydaje mi się, że to minęło zaledwie parę miesięcy, a nie tyle lat! Nic się nie zmieniłaś! — jest miły, ale potwornie kłamie!

On wie, że kłamie i wie, że ja wiem, że kłamie!

Wściekam się w myślach i ogromnie żałuję, że nie poprawiłam makijażu przed wyjściem na lunch.

— A pan jest? — Marcin zwraca się do Jarka, który nerwowo skubie serwetkę.

— Zastępcą pani redaktor.

— Oczywiście! Jestem z ciebie dumny! Gratuluję awansu!

Nie wiem, co powiedzieć. Jest taki miły. Mogłabym w nieskończoność słuchać jego głosu.

Chwila ciszy trwa jednak zbyt długo. Jarek rozumie to po swojemu.

— To ja już pójdę, mam dużo pracy, a państwo na pewno chcecie porozmawiać — zrywa się z miejsca.

— Nareszcie sobie poszedł! — Marcin uśmiecha się szeroko. — Co u ciebie? Opowiadaj!

Odzywam się trochę niepewnym głosem. Spędzamy w kafeterii dwie godziny. Moja komórka wciąż brzeczy w torebce, ale udaję, że tego nie słyszę. Nic dookoła nas się nie liczy. Wracają do mnie sytuacje, gesty, słowa sprzed lat...

Zawsze traktował mnie jak dobrą koleżankę, ale na pewno domyślał się, że marzyłam, aby ta znajomość ewoluowała w inną

stronę. Spędzaliśmy ze sobą kiedyś mnóstwo czasu: studenckie życie, imprezy, wciąż nowi znajomi. Nowe dziewczyny. Marcin miał wielkie powodzenie, a ja cierpiałam. Gdy widziałam go z jakąś nową „narzeczoną”, sprawiało mi to niemal fizyczny ból. Cieszyłam się, gdy zrywali ze sobą, pocieszałam go, miałam nadzieję, że tym razem przejrzy na oczy i zrozumie, że nie musi daleko szukać, że bardzo, bardzo blisko jest ktoś, kto może ofiarować mu głęboką i prawdziwą miłość... Może pochlebiało mu moje oddanie, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Czasem specjalnie igrał moimi uczuciami, nazywał najlepszą przyjaciółką, być może wśród kolegów kpił sobie z moich maślanych oczu.

Potem wyjechał na kilka miesięcy za granicę, a ja ułożyłam sobie życie z kimś innym.

Teraz słucham go oszołomiona, jakbym wypita zbyt dużo wina. Jestem szczęśliwa, ale w pewnej chwili Marcin wyjmuje zdjęcia żony i dziecka.

Ona jest dużo młodsza, niemalże idealna, filmowa uroda...

## **Piątek**

Oczywiście śnił mi się Marcin. Dzisiaj także jemy lunch. Jego firma niedawno przeniosła się do mojego wieżowca. W małżeństwie niezbyt dobrze mu się układa — jego żona jest zaborcza.

— Ten facet nie ma klasy, jeżeli tak mówi o żonie! — stwierdza moja siostra, której spowiadam się ze wszystkiego.

Może nie ma, ale ma inne zalety widoczne gołym okiem.

Karola ma dzisiaj sesję zdjęciową i potykamy się o siebie w łazience i w kuchni.

— Mamuś! Super wyglądasz! — mówi, popijając kawę z mojego ulubionego kubka z Kubusiem Puchatkiem.

— Dzięki, kochanie! To mój kubek! — zwracam jej uwagę.

— Jakiś nowy krem? — pyta, ignorując uwagę.

Jestem obrażona o kubek, chociaż staram się być miła. Nic, absolutnie nic, nie zepsuje mi dzisiejszego dnia!

— A! Chodzi ci o kubek! — śmieje się Karola. — Przecież masz ich całą kolekcję! Co za różnica, z którego piję?

Jasne! W sumie żadna! Używa moich ręczników, perfum, pościeli!

Patrzę na nią z mieszaniną podziwu i irytacji. Jest piękna: regularne rysy twarzy, śliczny, mały nos, któremu tylko odrobinię pomógł chirurg plastyczny dwa lata temu, długie nogi i oszałamiające blond włosy. Zupełnie nie jest do mnie podobna!

Nie mogę doczekać się trzynastej! Warczę na wszystkich w re-dakcji i obserwuję wskazówki zegara — najpierw z wściekłością, a potem z rezygnacją. Jego gigantyczna tarcza zajmuje całą ścianę. Podaje także czas w Nowym Jorku, Londynie i Tokio. Czy ja dobrze wyglądam? Spędziłam godzinę, buszując w garderobie. Piękny zakiet w panterkę (w który mieszczę się z trudem) wybrałam w ostatniej chwili. Czy nie wyglądam zbyt...?

Wzywam Marysię przez interkom. Zjawia się po trzech minutach mocno zadyszana. Ma na sobie dżinsowy komplecik z gruszką wyhaftowaną na piersiach, zielone lakierowane sandały na koturnach i indyjskie kolczyki sięgające ramion. No nie! Ona nie będzie dla mnie arbitrem elegancji!

Waham się jeszcze przez chwilę, wreszcie ryzykuję:

— Jak wyglądam?

— Słucham, proszę pani?

— Nic! Nic! Zapomnij! — odprawiam ją jeszcze bardziej zde-nerwowana.

Maluję usta co pięć minut — wiem, wiem — krwistoczerwona szminka postarza, ale jednocześnie jest taka seksowna!

Może lepiej, jak spóźnię się piętnaście minut. Niech on nie myśli, że tak wyczekuję tego lunchu! Z drugiej strony — jeżeli wejdzie do bufetu i zobaczy, że mnie nie ma, to może wróci z powrotem do swojego biura? Dał mi numer swojej komórki, ale przecież nie będę dzwonić do niego pierwsza.

Jestem potwornie głodna. Rano nie przełknęłam zbyt wiele. Wszystko przez te nerwy! Ale w sumie czym ja się tak denerwuję? Przecież to tylko kolega sprzed lat!

Znowu dzwoni moja siostra:

— Jutro grill u nas o czwartej!

— Pamiętam — mruczę.

— Wiem, że pamiętasz i wiem, że znowu znajdziesz jakiś pre-

tekst, żeby nie przyjsć! Jest cudowna pogoda! Nie możesz wciąż siedzieć w tym cholernym biurówcu! (głos Zośki staje się coraz bardziej niecierpliwy). Mówiłaś, że wreszcie zabierzesz swoje psy na długi spacer! Dla zdrowia!

— Czasami nie mam siły. Wiesz o tym! — westchnęłam.

— Wiem, ale one niedługo zapomną, jak wyglądasz!

— Zabiorę je w sobotę do siebie! Nie chcę już was obarczać swoimi problemami!

— To żaden problem! Zwłaszcza że płacisz Xeni za opiekę nad nimi! Nie o to chodzi! Zobacz, jak wygląda twoje życie! — Zośka znowu podnosi głos.

— A jak wygląda moje życie?

— Praca i praca! Zero życia osobistego! Ty się wykończysz!

Na zegarze za minutę pierwsza! Boże! Rzucam słuchawkę.

Mam nadzieję, że Zośka się nie obrazi. Nie raz dochodziło między nami do potwornych awantur. Uważała, że jestem zafanana w sobie, nudną starszą siostrą.

Wybiegam szybko na korytarz. A gdzie torebka? Wracam pędem po torebkę i dostrzegam mikroskopijne oczko w rajstopach nad lewym kolaniem. Przeklęte rajstopy za siedemdziesiąt pięć złotych! Francuskie! Supertrwałe! Jak każda kobieta — mam oczywiście rajstopy zapasowe, w torebce, ale przecież nie zdążę ich zmienić! Poprawiam spódnice, może nie będzie widać. Muszę pamiętać, żeby nie zakładać lewej nogi na prawą, a koniecznie prawą na lewą. Pędzę do windy. Jak na złość jest na najwyższym piętrze. Druga winda jest po przeciwnej stronie korytarza, bliżej są schody, ale straszliwie śliskie! Ktoś umył je niedawno i zbiegać po nich na szpilekach to mistrzostwo świata akrobacji. Wolę nie ryzykować, więc schodzę po nich ostrożnie, trzymając się kurczowo poręczy.

Kwadrans po pierwszej wpadam do bufetu. Przepycham się do stolików, potraçam kogoś z tacą pełną szklanek.

— Mam cię! — Marcin kładzie mi dłoń na ramieniu. Rumienię się jak pensjonarka.

— Już miałem iść! Dostałem pilny telefon, ale możemy wypić szybką kawę.

Piję więc czwartą kawę na pusty żołądek.



— Wyglądasz fantastycznie! Podziwiam cię! — mówi i patrzy na zegarek.

Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. On prawie nie zwraca na mnie uwagi, rozgląda się po sali, macha do kogoś, odbiera SMS-y...

— Zdzwonimy się! — rzuca mi na pożegnanie i znika w tłumie.

I to by było na tyle! Na co ja liczyłam? Jem obiad. Samotnie. Moi dziennikarze tłoczą się przy innych stolikach, ale żaden nie ma odwagi usiąść koło mnie. Boją się. To dobrze! W życiu prywatnym sobie nie radzę, ale w pracy staram się być perfekcyjna. Żadnego spoufalania się! Zrobię im dzisiaj „odprawę” o osiemnastej! Jest piątek — już pewnie marzą o weekendzie i o wcześniejszym wyrwaniu się z pracy! A ja szykuję im niespodziankę! Mnie się nie spieszy! Nikt na mnie w domu nie czeka! Zakupy mam zrobione, mieszkanie posprzątane, a moje jedyne dziecko ma własne życie i swoje sekrety. Karolina ostatnio jest jakaś przygaszona, ale to na pewno przez tego wiarołomnego Georga!

Dzwoni moja komórka.

— Rzuciłaś słuchawką! — krzyczy Zośka.

— Wiem. Przepraszam. Wszedł prezes wydawnictwa! Nie mogłam rozmawiać! — tłumaczę się.

— Bzdura! Znam cię! Jak usłyszysz coś, co ci się nie podoba, to po prostu nie przyjmujesz tego do wiadomości!

— Przyjadę jutro, to pogadamy! — wzdycham.

— Piszą o Karolinie w jakiejś szmatławej gazecie! Wiesz coś o tym?

Nic nie wiem i jestem wściekła! Redaktora naczelnego tej gazетки doskonale znam i mamy niepisany układ. On zostawia moją córkę w spokoju albo pisze o niej bardzo pozytywnie, a ja nic nie drukuję na temat jego syna — znanego muzyka sesyjnego i jego ekscesów narkotykowych. Mój wywiad działa doskonale i w sejfie mam sporo zdjęć, które panu redaktorowi mogłyby mocno napsuć krwi.

Prawie każdy ma jakiegoś „trupa” w szafie, czyli tajemnicę, o której nie za bardzo chciałby wypowiadać się publicznie. Czasem jest to niezdrowy nałóg albo wstydliva choroba, odmienne preferencje seksualne czy kłamstwa na temat swojego wykształcenia.

Wzywam Jarka i zastanawiam się, co byłoby najlepszą zemstą. Na szczęście okazuje się, że artykuł jest niegroźny. Oczywiście wolałabym czytać o sukcesach Karoliny, a nie o jej ciągle nowych narzeczonych.

Jestem w domu po dwudziestej pierwszej. Wykończona. Mój apartament lśni. Lodówka pełna. Podpisane pojemniki z żywnością: kurczak w cieście, kotlety schabowe z marchewką, grzybowa z łazankami.

Karoli nie ma. W piątki wieczorami robi zwykle rajdy po nocnych klubach. Zakładam moje ukochane kapcie w kształcie misiów i bawełnianą, bardzo wygodną piżamę w kaczuszki. Jem masło orzechowe prosto ze słoika. Teraz nie muszę grać wrednej szefowej, mogę być małą-dużą dziewczynką i zatroszczyć się o siebie.

Słucham muzyki: Diana Krall, Norah Jones, Celine Dion, Dido. Prawie zasypiam, gdy dzwoni telefon.

— To ty? Przepraszam, że tak późno i przepraszam za ten nieudany lunch!

To on! Bóg jednak istnieje! Ruszyło go sumienie!

— Dopiero wyszedłem z pracy... no, ale ty na pewno już spałaś! — w jego głosie jest autentyczna troska!

— Ależ nie! Co ty! Skąd! Wcale nie spałam! — zapewniam gorliwie.

— Wiesz, mam problem — Marcin zawiesza głos. Słyszę jego oddech w słuchawce. — Ale to nie na telefon... Możemy się spotkać?

— Jasne! Jasne! — krzyczę podekscytowana.

— Jesteś cudowna! — w jego głosie słychać ulgę. — Zaraz u ciebie będę!

— Ale... jak to „zaraz”? Muszę się przecież z powrotem ubrać, zrobić makijaż, sprzątnąć słoiki po nutelli i pochować kubki z Kusbusem Puchatkiem! To zajmie co najmniej godzinę!

Rzucił, że będzie za kwadrans. Biegam jak szalona! Karolina wszędzie zostawiła swoją bieliznę! Nie wiem, co nałożyć! Wybieram dżinsy i śliczny sweterek. Zrzucam bambosze i chowam je głęboko do szafy w przedpokoju. Zakładam superseksowne, ale

o numer za małe kłapeczki mojej córki, ozdobione różowym puszkami z brokatem.

— Wiem, że jestem egoistą, zamęczając cię swoimi sprawami! — mówi Marcin, gdy otwieram drzwi. Jego włosy są odrobinę wilgotne od czerwcowego deszczu. Podaje mi mały pakunek.

— To są lody! Truskawkowe! Pamiętam, że zawsze takie lubiłaś!

Jestem wzruszona, chciałabym przytulić się do niego. W beżowym płaszczu wygląda rewelacyjnie, tak męsko i elegancko.

Przygotowuję herbatę, a Marcin bez przerwy mówi. Zupełnie nie zmienił się pod tym względem! Zresztą w ogóle się nie zmienił! W Polsce mężczyźni tak paskudnie się starzeją, a on — proszę! Żadnej nadwagi! Żadnej łysiny! Lśniące, białe zęby i żadnego smrodu papierosów, potu czy taniej wody kolońskiej!

— Jesteś cudowna, że chcesz mnie wysłuchać! Nie mam z kim pogadać, a jest mi bardzo ciężko!

Jestem pełna współczucia i zrozumienia, chociaż nadal kompletnie nie wiem, o co chodzi! Robi mi się ciepło koło serca. No proszę! Tyle lat minęło, a ja jestem jedyną osobą, do której on może się zwrócić!

— Widziałaś zdjęcie mojej żony? Prawda? Co o niej myślisz?

— Jest bardzo ładna... — jąka mi się zdezorientowana.

— To prawda, ale to nie wszystko. Chciałem mieć perfekcyjny dom, taki, jakiego nigdy nie miałem. Reprezentacyjną żonę, słodkie dzieciaki. Długo szukałem odpowiedniej kobiety... — zamyśla się.

Robi mi się smutno. Widocznie nie byłam dość reprezentacyjna, skoro nie brał mnie nigdy pod uwagę! Z drugiej strony, odzywa się we mnie także wściekła feministka i mam ochotę zapytać go, czy dobierał żonę tak, jak kanapę do salonu!

— Gdy zobaczyłem Kasię dziesięć lat temu, wiedziałem, że to musi być ta! Albo żadna! Piękna! Elegancka! Wykształcona!

— Ideał! — wzdycham.

— Ideał! — podchwytuje Marcin z entuzjazmem. — Dużo młodsza ode mnie, co także jest dużą zaletą!

— Mogłeś ją sobie wychować! — śmieję się.

— Walczyłem o jej uczucia! Była jak Gioconda! Mówiłem, że

spotkamy się za tydzień. Odpowiadała — „dobrze”. Za miesiąc — też „dobrze”! Nie wiedziałem, czyjej w ogóle na mnie zależy! Bałem się, że jakiś palant sprzątnie mi ją sprzed nosa! Musiałem ją błagać o każdy wspólny weekend! Wahała się, zastanawiała! Pierwszy raz spotkałem taką kobietę!

No! Ja myślę! — chichoczę w duchu. Trafiła kosa na kamień!

— Ona była wciąż daleka, na dystans. Jak w tej piosence: „dobrze, że jesteś, a jak cię nie ma, to też niewielki żal” — Marcin smutnieje.

— Może cię nie kochała, może tylko opłacało się jej być z tobą? — zastanawiam się.

— To nie to! Kasia pochodzi z bogatej rodziny. Gdy ją poznałem, była świeżo po studiach i miała świetną pracę w banku. Nie chciała przyjmować ode mnie drogich prezentów. Taka jest. Ma zasady.

— To dobrze o niej świadczy — tłumię ziewnięcie.

— Nie nudzę cię? — Marcin patrzy na mnie uważnie.

— Ależ skąd! — zaprzeczam gwałtownie. — Ona była taka nieprzystępna i zimna, ale w końcu została twoją żoną, więc gdzie tu jest problem?

— Otóż jest! — mój gość zaczyna gwałtownie gestykulować. — Wszystko diametralnie zmieniło się po ślubie!

— No, tak to w życiu bywa... wiele osób zmienia się po ślubie — śmieję się.

— To nie jest śmieszne! — Marcin jest urażony. — Zrobiła się potwornie zazdrosna i zaborcza! Zawsze mówiłem jej, gdzie jestem i z kim, ale wiem, że czytała moje listy, SMS-y, maile. Wypytywała, zamęczała mnie swoimi dociekaniem, sprawdzała na każdym kroku.

— Rozmawiałeś z nią o jej zachowaniu? — pytam jak profesjonalny psycholog.

— Oczywiście. Wiele razy! Mówiłem, że jest mi przykro, że mi nie ufa! Nie mogłem nawet spojrzeć na inną kobietę, bo robiła mi koszmarnie awantury!

— To wszystko? — dyskretnie patrzę na zegarek.

Północ! Świetnie!

— Skąd! To dopiero początek! Zaczęła mnie śledzić!

— Nie! — udaję oburzenie.

— Tak! Niestety tak! Podejrzewam, że to hormony! „Przypadkowo” spotykaliśmy się w różnych miejscach! Na początku to było nawet zabawne myślałem, że Kaśka tak za mną tęskni potem myślałem, że oszaleję przez jej wścibstwo, przesłuchania. Nie miałem spokoju w domu nie mogłem odpocząć ona chciała bez przerwy przeprowadzać ze mną poważne rozmowy na temat naszego małżeństwa. Wciągała w to dziecko: — Zapytaj tatusia, dlaczego znów przyszedł tak późno i skąd ma ten nowy krawat! Wmawiała mi, że mam romans z moją sekretarką, która chociaż jest bardzo atrakcyjna, notabene woli kobiety. Do Kaśki nie trafiły żadne racjonalne argumenty. Twierdziła, że na pewno szukam innych, bo własna żona po cesarskim cięciu nie może mnie pociągać! Wyobrażasz sobie? — Marcin gwałtownie zgniata serwetkę w dłoniach.

Obserwuję go z rosnącym zaciekawieniem. Już nie chce mi się spać.

— No i stało się! Nic na to nie poradzę! Przy tej kobiecie odpoczywam od żony! Relaksuję się! — Marcin wzdycha.

— Zdradziłeś ją! — nie dziwi mnie to specjalnie, ale udaję wielkie zdumienie.

— Tak! Niestety! Stało się! Ale to nic poważnego! Naprawdę kocham Kaśkę, tę drugą tylko lubię. Nie zdradziłem jej duchowo, tylko fizycznie, co oczywiście nie zmniejsza mojej winy! Mam ogromne wyrzuty sumienia! Chcę to przerwać! Muszę powiedzieć żonie o wszystkim i oczyścić się wewnętrznie!

— Zwariowałeś? — już nie udaję zdumienia.

— No co? — Marcin jest zbity z tropu. — Wiem, że mnie kocha i mi wybaczy!

— Może wybaczy, ale nie zapomni! Może odejdzie od ciebie z dzieckiem! Może złoży pozew o rozwód!

— Kaśka taka nie jest! Ślubowaliśmy sobie przed Bogiem! To ma dla nas ogromne znaczenie! — Marcin zrywa się z fotela.

— No właśnie widzę!

— Co mówisz? Nie dosłyszałem? — drapie się za uchem. — Potrzebuję rady kogoś zaufanego. Jeżeli jej nie powiem, będę czuł się fatalnie nie jestem przecież potworem!

— Jeżeli jej powiesz, ona będzie się czuć fatalnie! Zastanów się!

— No właśnie się zastanawiam.

Mój Boże! Dlaczego wciąż tyle osób obarcza mnie swoimi problemami! Jest druga w nocy! Prawie mdleję z niewyspania, a on dopiero teraz się rozkręca! W sumie to dobrze, że nie stworzyliśmy jakiegoś związku, a już Boże broń — małżeństwa! Marcin należy do takiego typu ludzi, którzy choćby nie wiadomo jakie zrobili świństwo, zawsze znajdują doskonałe argumenty, żeby się wybielić...

## Sobota

Śpię do jedenastej. Rzadki luksus. Nie słyszałam nawet, kiedy wróciła Karolina.

Zderzamy się w przedpokoju z kompresami na czołach.

— Był tu jakiś facet? — moja córka patrzy na mnie podejrzliwie.

— Ależ kochanie... — j ę c z ę , zastanawiając się, skąd, u licha, ona to wie?

— Ten imponujący parasol z rzeźbioną rączką to chyba nie twój? — zagaduje złośliwie.

— Kolega z pracy tu był z dokumentami! Wiesz, jak ciężko pracuję! — odpowiadam niepewnie.

— Ładny ma parasol! — Karola chichocze i znika w łazience.

Dzwoni telefon. Szósty zmysł mówi mi, że to moja siostra dwudziesty raz przypomni mi o grillu.

Głos Zośki jest napięty i piskliwy:

— Przypominam ci ostatni raz.

— Wiem, zaraz do was jadę. Kupić coś do jedzenia? — zagaduję słodko.

— Ty nawet własnymi psami nie potrafisz sama się zająć!

— Przecież Xenia robi to doskonale i jeszcze ma spore kieszonkowe.

— Dla ciebie pieniądze są najważniejsze! Ona dostała dzisiaj czwórkę z kolokwium! — Zośka prawie syczy.

- Gratuluję. — zaczynam entuzjastycznie.
- Mogła dostać piątkę, ale jeden z twoich psów robił kupy na zielono i była cała afera!
- Niemożliwe! Który? — denerwuję się.
- Bury! Zadzwończyliśmy do Rysia, który, jak wiesz, skończył weterynarię z wyróżnieniem.
- No i? — dopytuję się.
- Rysio to dawny kolega mojego męża.
- Tak. Tak, wiem. Tomek miał i ma setki kolegów — wzdycham.
- Ten należy do tych w miarę niegłupich, bo reszta to dno! Nie widzieli się sześć miesięcy i musieli oczywiście pogadać. Rysiek był w Afryce i Xenia, zamiast się uczyć, słuchała tych opowieści do czwartej rano. Swoją drogą wiesz, jak Masajowie obliczają pory roku?
- Nie wiem i nie chcę wiedzieć! Czy to moja wina, że prowadzicie dom otwarty? — wzdycham znowu.
- Xenia chce mieć stypendium! Jak ona to zdobędzie, jeżeli będzie się zajmować cudzymi psami? — Zośka znowu jest wściekła.
- Może to wpisać do CV. Będzie oryginalnie! — śmieję się.
- Tobie zawsze do śmiechu! Ona ciężko haruje w twojej redakcji i jeszcze musi się martwić o zielone kupy twoich psów!
- Dobrze! Podwyższę jej pensję! — obiecuję.
- Nie myśl, że o to mi chodziło! — przerywa mi Zośka.
- Wiem wiem, no ale jeżeli przeze mnie ma stracić stypendium naukowe...
- Jeszcze nie wiadomo, czy straci. Jest bardzo zdolna! — podkreśla moja siostra.
- Jak się czują psiaki? Czy ten Rysiek coś pomógł?
- Chyba zjadły kreta.
- Robi mi się słabo. Nie wiem, czy ona żartuje, czy jest śmiertelnie poważna.
- U ciebie, na twoim sterylnym, strzeżonym osiedlu na pewno nie znalazłyby ani kreta, ani myszy...
- Dobrze! — zerkam na zegarek. — Zaraz do was jadę!
- Wszystko z nimi w porządku! — oświadcza Zośka litościwie. Strasznie zazdrościsz mojej siostrze, że ma taką normalną

córkę. Xenia — drobny, mały, piegowaty rudzielec, nie jest ładna, ale ma tyle wdzięku, co pułk najświetniejszych modelek. Gdy się urodziła, patrzyliśmy na nią z przerażeniem.

— Mój Boże! — westchnęła wymęczona porodem Zosia. — Jaka ona brzydka, nawet Tomek był ładniejszy w jej wieku!

Wiedziałam, że żartuje. Musiała odreagować długie miesiące strachu i niepewności. Długo starała się o dziecko, a później ciąża była zagrożona. Jej mąż, za którego nie dałabym wtedy pięciu groszy, oszalał na punkcie Xenii. To on wygrzebał to imię ze starego kalendarza. Mył małeńką, przewijał i cała rodzina otwierała oczy ze zdumienia, gdy ten ogromny, gruboskórny i dość prymitywny facet wzruszony płakał.

— Bo ona taka maciupenka i taka do nas podobna!

Po kilku latach Xenia wyładniała. Wszędzie jej było pełno. Zawsze pytała — „dlaczego?”

— Ciociu, dlaczego stół ma cztery nogi?

— Bo piąta się nie zmieściła! — odkrzykiwałam z kuchni, walcząc z obiadem.

— Zmieściłaby się na górze, między cukiernicą a wazonem!  
— polemizowała ze mną. To była logika Xenii. Nie dziwię się, że wybrała filozofię.

Karolina jako kilkulatka była zupełnie inna. Musiałam chować przed nią moje pudry i szminki. Flamastrami robiła sobie i lalkom makijaż, ze spódniczek tworzyła kapelusze, ze skarpetek rękawiczki. Kręgle ubierała w sukienki i rysowała im oczy. Nie znosiła gier planszowych, bierek, warcabów i oczywiście lalek niemowlaków.

— Mają grube, krzywe nóżki, rozczochrane włosy i są nudne!  
— stwierdzała i rzucała je w kąt.

Kochała natomiast Barbie, która stała się dla niej księżniczką ze snów. Moja teściowa oczywiście krytykowała fakt, że kolekcja tych lalek dzięki mnie stale się powiększa:

— Żadna mądra matka nie będzie kupować dziecku takiego czegoś! Jakie ona wzorce utrwała! Wygląda jak ostatnia lafirynda! Powinnaś jej kupować raczej lalki w strojach ludowych, narodowych!

Rozumiałam Karolinę: jak każda normalna, mała dziewczynka chciała być królewną. Dlaczego wszystkim się wydaje, że takie



małe pannice marzą tylko o tym, aby być mamą i wozić w wózku płaczącego niemowlaka? Na to jeszcze przyjdzie czas w dorosłym życiu!

— Kim będziesz, Karolinko, jak dorośniesz? — pytałam ją często.

— Panią od pogody! Albo tancerką w telewizji! — odpowiadała rezolutnie.

es

— Mamuś! Mamuś! — woła teraz z kuchni.

Zastają ją nad plikiem kartek rozrzuconych na kuchennym stole.

— Dostałam teksty do mojej płyty. Mam wybrać dziesięć, które najbardziej mi odpowiadają! — wzdycha. — To całe nagrywanie płyty to gehenna! Wciąż gonią nas terminy!

Robię tosty, a ona popija tylko sok.

— Przeczytam ci ten! — Karola wachluje się kartką. — Ma rytm i łatwo wpada w ucho:

— Pusta plaża, tupot mew  
Kocham cię, a ty kochasz mnie!

Wybałuszam oczy, ale moja córka niezrażona czyta dalej.

— Te wakacje to nasz czas  
Dyskoteka wzywa nas  
Będą tańce aż do rana,  
nigdy już nie będę sama  
Słońce grzeje wszystkie ciała,  
miłość nasza jest niemała.

Dobre?

Jestem zszokowana. Karolina chce śpiewać profesjonalnie, mimo że nie umie, wie o tym, że nie umie i zupełnie jej to nie przeszkadza!

— No co? Są lepsze, ale ten nadaje się na stuprocentowy przebój lata! Damy trochę koncertów na największych plażach i w amfi-

teatrach, będzie balecik, lasery, sztuczne ognie i ludzie to kupią! Tak mówi mój producent, a on się zna!

— Jak ty będziesz śpiewać? Przecież wszyscy zorientują się, że... — zastanawiam się.

— Nic kompletnie nie rozumiesz! Będę śpiewać z playbacku, komputerowo tak to przerobią, że nie poznasz mojego głosu! No nie patrz tak! Przecież nie ja to wymyśliłam! Miliony artystów tak robią! — Karolina zaczyna się denerwować.

— Artystów? — kończę jeść tosty, parzę kawę, a moja córka dalej prezentuje mi jakieś przerażające utwory na cześć lata. W sumie może wakacje i upał tak działają na ludzi. Stają się mniej wymagający, a żar lejący się z nieba rozleniwia ich mózgi. Jednego Karolinie odmówić nie można — odwagi!

— Dyskoteki szał, będziesz dziś ją miał!  
Twoje stopy na parkiecie,  
tak się tańczy tylko w lecie!  
Dyskoteki szał, szał spoconych ciał!

— A nie, czekaj, tutaj jest: szał splecionych ciał!

— Ten jest lepszy. Nie boisz się obciachu? — dopijam moją kawę.

— Jakich ty słów używasz! Teraz nikt już tak nie mówi! — moja córka krzywi się. — Chcesz, żebym do końca życia chodziła po wybiegu? Znam takie modelki: przekroczyły trzydziestkę, skóra już nie ta, paradują na pokazach obok piętnastolatek, nic innego nie potrafią robić, a wszyscy się z nich śmieją za kulisami! Może trochę ryzykuję, ale może być niezła jazda!

To jest filozofia Karoliny! Wiem, że nie jest głupia. Jest sprytna, pewna siebie, ale w ogóle się nie rozwija! W księgarniach kupuje tylko poradniki: *Dieta kokosowa — sześć kilko w dwa dni, Jak mieć seksowne paznokcie — trzydzieści porad ze zdjęciami*. Boję się, że show-biznes zrobił z niej pustą lalę. Mam jedynie nadzieję, że wyrośnie z tego i zmądrzeje.

Mój telefon drży. Odczytuję SMS-a: CZY MASZ MÓJ PARASOL? ŻONA COŚ PODEJRZEWA. BYŁA AWANTURA. SPOTKAJMY SIĘ WIECZOREM. MARCIN

Myślę, że on zwariował: wraca do domu w środku nocy i dziwi się, że jego żona szaleje.

Odpisuję: DZIŚ NIE MOGĘ. GRILL Z RODZINĄ. POWIEDZ, ŻE ZGUBIŁEŚ.

Telefon znów drży: MUSZĘ GO MIEĆ. TO PREZENT OD TEŚCIA.

Zaczynam się denerwować. Co on się tak uparł z tym parasolem? A może to pretekst, aby spotkać się ze mną?

W PONIEDZIAŁEK W REDAKCJI. W WEEKEND NIE BĘDZIE PA-DACĆ.

Odpowiedź dostaję natychmiast. TĘSKNIĘ ZA NIM, A WŁAŚCIWIE ZA TOBĄ.

Wzdycham głęboko. Służę mu tylko za konfesjonał, a on prozę: próbuje mnie czarować! Ale ja się nie dam!

Grill z rodziną. Jadę taksówką z wyjątkowo gadatliwym kierowcą. Dowiaduję się, że wozi sól i paralizator na ewentualnych napastników: bo solą to w oczy, a prądem między nogi!

Czuję się trochę nieswojo, ale na szczęście jemu nie zależy na mojej opinii na żaden temat, bo nie dopuszcza mnie do głosu. Staram się wtrącić niekiedy nieśmiałe „no tak” albo „mhm” na dowód, że słucham uważnie.

Kluczymy po Białołęce, ale w końcu dostrzegam mały, biały domek mojej siostry. Ku mojemu zdumieniu oprócz Zosi, Tomka i Xeny, jest także Rysiek i grupa bliżej mi nieznanymi znajomych.

Patrę z zazdrością na śliczny ogródek, o który wytrwale dba moja siostra, werandę, hamaki i zazdroścuję jej takiego miejsca. Z drugiej strony, wiem, że wzięła z mężem potężny kredyt, aby to cudencko spłacić i wiem, że gdy ma się dom, to ma się mnóstwo roboty. Ja jestem sama, pracuję całymi dniami i kto miałby zająć się ogrodem, odśnieżaniem, szambem i naprawą dachu na przykład?

Smutnieję, ale tylko na chwilę. Przyglądam się Ryškowi i wydaje mi się interesujący. Całkiem łyсы, bardzo szczupły i dowcipny. Przykuwają mój wzrok jego duże, zniszczone dłonie z wyraźnie widocznymi żyłami.

— Łyse konie! Znają się jak łyse konie! — szepcze mi Zośka, gdy płuczemy kieliszki nad zlewem w kuchni.

Moja siostra pięknie dziś wygląda. Zero makijażu, a twarz prawie bez zmarszczek. Jest drobniutka, rozmiar trzydziesty czwarty — jak mała dziewczynka. Dziś, w indiańskim pareo i obcisłych czarnych spodniach, wygląda ekscentrycznie i pociągająco. Zawsze prowadziła trochę hippisowski tryb życia: w domu tłumy gości, dyskusje do rana, joga, medytacje, podróże autostopem. Zazdrościłam jej luzu, no i oczywiście tego, że jest młodsza ode mnie o pięć lat.

— Czemu tak się na mnie gapisz? — pyta podejrzliwie. — Wiem, że zapomniałam się umalować, ale jest ciepło i nie chce mi się pudrować nosa co pięć minut, a poza tym mam już faceta, więc to bez znaczenia.

Patrzę na nią zdumiona. Zośka pokazuje mi towarzystwo za oknem.

— Kilka babek, które przyszły, to singielki albo z odzysku. Po czym je poznać? Są kompletnie umalowane: oczy, usta, lakier na włosach!

— O, dzięki ci, kochana, za tę trafną obserwację! — śmieje się. — Chcesz powiedzieć, że przyszliśmy tutaj na łowy? Kogo mamy kokietować: Tomka, Ryśka, a może tych trzech grubasków już mocno na bani?

— Tylko nie grubasków! To jest daleka rodzina mojego męża! — moja siostra udaje obrażoną.

— Nie wywyższaj się tylko dlatego, że masz męża, bo nic w życiu nie jest constans. Lepiej dbaj o siebie, bo Tomek poszuka młodszej! — przekomarzam się z nią.

— Dbam o swoje wnętrze! To wystarczy!

— Miłe panie! Błagam o coś na komary! — Rysiek zagląda do kuchni z butelką piwa w dłoni.

— Widziałaś jego tatuaże? — Zośka chichocze jak pensjonarka. — Przepiękny i strasznie groźny smok! Pokaż jej!

— Pokazywałem, jak byłem mały! — Rysiek uśmiecha się niepewnie trochę zaskoczony.

— Damy czekają! — woła Tomek z werandy. Ubrany z non-szalanckim luzem w koszulkę, mocno już spraną, z napisem BABY DOLL i w błękitne dżinsy rozmiar XXXL, bryluje w towarzystwie. Czasem wydaje mi się, że swoim rubasznym dowcipem próbuje

ukryć nieśmiałość i niepewność, a może nawet kompleksy.

— Kłóćcie się czasem? — pytam Zośkę, gdy panowie zajęci są rozpalaniem ogniska.

— Bez przerwy! — śmieje się moja siostra. — O wszystko! O firmę! O to, kto lepiej prowadzi samochód! O wychowanie Xeni! Nazywam go w stanach maksymalnej wściekłości głupim wieprzem, a on mnie zadra za paznokciem albo wredną weszką!

— To miło.

— Bijemy się czasem.

— On cię bije?

— Nie mówię, że on mnie bije! Mówię, że bijemy się, to znaczy: ja go głównie drapię! Uderzyłam go kiedyś pięścią w kolano, on nic nie poczuł, a mnie ręka bolała jeszcze tydzień!

— O czym rozmawiacie? — dosiada się do nas Klara, jedna z singielek.

— O pracy! — Zośka robi poważną minę.

— Ach... o pracy? Pyszna ta karkówka, jestem na diecie, ale dzisiaj mam dyspensę — Klara niezdarnie manewruje plastikowym widelcem. Rysiek nalał jej wina i poczułam ukłucie zazdrości.

— Bierz się do niego, jest wolny. Żona zostawiła go trzy lata temu! — moja siostra próbuje mówić scenicznym szeptem.

— Weź zastopuj z tym winem! — denerwuję się.

Tomek brzdąka na gitarze. Jest cudownie, beztrudnie i gdyby nie komary, to mogłabym tu siedzieć całą noc. Xenia wraca z psami ze spaceru, są wykończone, ale ze wszystkimi, z wyjątkiem mnie, witają się bardzo serdecznie.

— Są obrażone! — wzdycham.

— Kto? Psy? — Xenia śmieje się. — Miały trzygodzinny spacer. Są okropnie zmęczone!

— Czy to prawda, że psy upodabniają się do właścicieli? Chciałabym zapytać eksperta! — Klara wyraźnie kokietuje Ryśka.

— Chcesz powiedzieć, że jestem podobna do chow-chowa, a może do yorka? — pytam ze złośliwym uśmiechem.

— No nie obrażaj się od razu! To było pytanie ogólne! — Klara coraz mniej mi się podoba, chyba także dlatego, że jest ode mnie sporo młodsza i szczuplejsza. Dostrzegam z satysfakcją, że

ubrzdziła sobie jasną spódniczkę musztardą, a makijaż jej oczu mocno się rozmazał z powodu dymu z ogniska.

— Myślę, że jest wiele zwierząt podobnych do ludzi i na odwrót! — wygłasza złotą myśl Tomek.

— Ja marzę o takim piesku, którego nosi się w torebce! — wzdycha Klara.

— Żeby podawał ci szminkę? — śmieję się.

— I lusterko! — moja siostra krztusi się i omal nie upuszcza papierowego talerzyka. Klara jest obrażona i wychodzi do toalety.

— No co wy takie niemiłe jesteście? — Tomek zdezorientowany otwiera kolejne piwo. — Koleżanka na łowach, a wy psujecie jej humor!

— A kogo ona chce złowić? — interesuje się Rysiek.

— No chyba nie ciebie, nie? Czy nikt jej nie powiedział, że jeździsz trabantem? — Tomek z upodobaniem zjada piątą już dzisiaj kiełbasę.

— To pamiątkowy trabant mojego dziadka!

— Wpisany do rejestru zabytków? — pyta spokojne małżonk swojej siostry, a my zwijamy się ze śmiechu,

— Jak można oceniać ludzi po samochodach, jakimi jeżdżą! To dyskryminacja! A co mają powiedzieć ci, którzy jeżdżą autobusami! — Rysiek doskonale udaje oburzenie. — Nie wiecie, że działałam w Kole Przyjaciół Trabantów, Wartburgów i Syrenek! I jest nas wielu! Jest nas cały legion!

## **Niedziela**

— No mówię ci, że on specjalnie zostawił ten parasol!

— Co? — j ę c z ę .

— Specjalnie zostawił ten parasol! Żałosny podrywacz!

Jest południe. Pokój Xenii na poddaszu skąpany w słońcu. Dlaczego to światło jest tak ostre? Ratunku!

— Skompromitowałam się? Tak? — pytam Zosię, która czule wygładza kompres na moim czole.

— Nie do końca! Po prostu zasnąłś w fotelu!

— Przy wszystkich? A chrapałam?

— No nie wiem! To były dźwięki bardziej subtelne! — moja siostra chichocze.

Ma na sobie czarny szlafrok — kimono i drewniane chodaki, które okropnie mnie dzisiaj irytują.

— Zapraszam na śniadanie.

— Nie chcę śniadania! — j ę c z ę . — Chcę spać i zapomnieć, że jest mi niedobrze.

— Tomek zna świetne sposoby na kaca — lata praktyki! — Zośka wychodzi i złośliwie zamyka drzwi z trzaskiem.

Wyglądam przez okno. Wspaniała pogoda, a ja marzę, żeby było ciemno i cicho! Z niechęcią myślę o kolejnym dniu w pracy.

Nic nie jem. Tomek odwozi mnie i psy do domu. Karoliny nie ma. Próbuję spać i nie wymiotować. Moja siostra tak bardzo obrzydziła mi Marcina, że myślę o nim z odrazą. Na co ja liczyłam? Na romans? Na dawne sentymenty? Karolina wraca wieczorem.

— Jak Ci idzie śpiewanie?

— Nie pytaj — wzdycha i zamyka się w łazience na trzy godziny.

Nie pytam. Zachowuję się, jakby mnie nie było. Wieczorny spacer z psami wydaje mi się zadaniem ponad siły. Trwa więc tylko kwadransik.

Słyszę głos mojej córki modulowany na różne sposoby:

— Pusta plaża, tupot mew  
Kocham cię a ty kochasz mnieeee.

— Karola! Błagam! Miej litość — pukam do drzwi łazienki.

— Nie podoba ci się? — moja córka ma zgniłozieloną maseczkę na twarzy i masę papilotów.

— Jutro idę na zajęcia z emisji głosu! — oświadcza triumfalnie.

— Więc jednak będziesz śpiewać? — wzdycham.

— Te wakacje to nasz czas  
Dyskoteka wzywa nas — drze się dalej.

Nie jestem bezkrytyczną matką. Wolałabym, żeby Karolina wybrała sobie pewniejszy zawód.

Siedzę na moim balkonie i obserwuję zachód słońca. Filizanka zielonej herbaty i psy grzejące moje stopy niby wszystko jest OK. Ból głowy minął, ale tęsknota do wielkiej miłości chyba nie. Byłoby cudownie, gdybyśmy siedzieli tutaj we dwoje...

## **Poniedziałek**

Od rana szaleństwo w redakcji.

Wróciła ze zwolnienia moja prawa ręka — Hanka. Ostra, przebojowa dziennikarka, która czyta w moich myślach. Niepozorna z wyglądu — niska, krępa, w spranych dzinsach i męskich koszulkach. Jest złośliwa, zakręcona i wszystkowiedząca.

— Mamy problem — raportuje mi w windzie o siódmej czwartej osiem rano.

— Mów! — wzdycham.

— W twoim gabinecie czeka Jej Wysokość Nora!

Kręcę głową. Eksportowa gwiazda filmu i teatru w moim gabinecie! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Ostatnio moja gazeta sporo pisała na jej temat. No cóż nie były to może recenzje jej filmów, w których Nora gra jakby mniej. Raczej były to refleksje na temat sposobu, w jaki nasza gwiazda bryluje na salonach. A była dosłownie wszędzie: premiery, wernisaże, otwarcia, promocje, odsłonięcia, jubileusze, wręczenia nagród.

Zasugerowaliśmy (moim zdaniem delikatnie), że Nora ma problem alkoholowy (w artykule na pierwszej stronie: JAKA TERAPIA POMOŻE NASZEJ GWIEZDZIE?).

— Jest wściekła? — pytam Hankę i zaczynam się pocić.

— A jak myślisz? Szaleje! To, że zjawiła się z adwokatem przed ósmą rano, chyba o czymś świadczy? Dla niej to przecież środek nocy!

Nigdy wcześniej nie miałam zaszczytu z nią rozmawiać. Wiedziałam ją kilka razy na bankietach. Nora jest w moim wieku, ale trzeba przyznać, że trzyma się o niebo lepiej. Chodzą słuchy, że ma za sobą kilka liftingów i operacji plastycznych, tak jak kilka



małżeństw i awantur miłosnych.

Wita się ze mną chłodno. Wystroiła się w skórzany płaszcz (w czerwcu) i obłądny szeroki kapelusz z szerokim rondem. Skóra na twarzy idealnie ponaciągana, lśniące kozaczki do połowy ud pod kolor płaszcza i mikroskopijna minispódniczka. Robi wrażenie! Szukam jakiejś skazy, zmarszczek, rozmazanego makijażu, plamy na ubraniu. Nic! Jest jak perfekcyjnie ubrany i umalowany manekin. Jej adwokat to jowialny grubasek w garniturze od Hugo Bossa.

— W czym mogę państwu pomóc? — j e s t e m uprzejma. Nora nie pytając o zgodę, wyjmuje srebrną papierośnicę!

— Tutaj się nie pali! — wzdycham.

Zero reakcji.

— Moje nazwisko ...ski. Jestem przedstawicielem kancelarii Sobieski/Morowitz. Moja klientka jest oburzona waszymi publikacjami sugerującymi, że cierpi na chorobę alkoholową!

— Te publikacje miały swoje uzasadnienie! — odzywa się Hanka. — Pani Nora zawsze widywana jest na premierach i bankietach z kieliszkiem w ręku!

— To o niczym nie świadczy! — grubas uśmiecha się kpiąco.

— Spójrzmy tutaj! — Hanka podsuwa im archiwalny numer naszej gazety — premiera filmu *Czerwony kapturek i przyjaciele*, sobota, maj, samo południe. Serwowano lizaki, ciastka i soki, a pani Nora ma kieliszek w ręku. Skąd go miała? Na tej premierze nie podawano alkoholu!

Podziwiam Hankę. Jest niezła.

— Moja klientka lubi pić sok w kieliszku. Czy to zbrodnia? — adwokat nie przestaje uśmiechać się kpiąco.

— Popatrzmy na te zdjęcia! — Hanka otwiera jeden z numerów gazety na kronice towarzyskiej.

— Bankiet z okazji wprowadzenia na rynek nowego gatunku wódki. Pani Nora przewróciła się na schodach! Są świadkowie!

— Złamał mi się obcas! — nasza gwiazda wydobywa z siebie głos podobny do syku nadepniętej żmii.

— Proszę nic nie mówić! — grubas macha rękami.

— Jeden z kelnerów obsługujących tę imprezę potwierdził, że pani Nora wypowiedziała się w sposób bełkotliwy i chwiała się na no-

gach — Hanka nie daje za wygraną — mamy jego zeznania na piśmie!

— Pytanie: ile za nie zapłaciliście? — adwokat gwiazdy prze staje być miły.

— Co pan sugeruje? — próbuję użyć groźnego tonu.

— Nic, pani redaktor. Spotkamy się w sądzie, jeżeli wasza gazeta nie zamieści sprostowania i przeprosin!

— Za co mamy przepraszać? Za to, że piszemy prawdę? Publiczność pani Nory ma prawo wiedzieć! Cała Polska ma prawo wiedzieć, że nasza czołowa gwiazda ma pewien problem, który powinna rozwiązać jak najszybciej dla swego dobra i dla dobra swoich widzów!

— Wzrusza mnie wasza troska o mnie i o moją publiczność! To jest śmiechu warte: przekupywanie kelnerów, taksówkarzy i podawanie ich jako świadków — Nora gwałtownie gasi papierosa.

— Ta dyskusja nie ma sensu. Spotkamy się w sądzie! — grubas zrywa się z fotela.

Po ich wyjściu oddycham z ulgą. Nie pierwszy to proces i nie ostatni.

— Przekupiłaś tych świadków? — pytam Hankę.

— Zaraz przekupiłam! Zapłaciłam tylko za informacje. Wszystko ma swoją cenę!

— Jeśli to wyjdzie na jaw, będziemy niewiarygodni — tłumaczę jej zmęczonym głosem.

— Nie wyjdzie. Mam swoje sposoby — Hanka wzrusza ramionami.

Jest niesamowita. Prawdziwa torpeda. Po śmierci męża, który także był dziennikarzem, zrobiła się jeszcze bardziej ostra i bezkompromisowa. Bez pardonu pisze o wpadkach polityków i artystów. Myślę, że odreagowuje w ten sposób swoje frustracje i rozczarowania. Nie ma dzieci. Dom traktuje jak hotel. Hoduje tylko kaktusy. Zero uczuć i zero litości.

— Kogo masz teraz na celowniku? — pytam.

— Twoją córkę. Seksowne beztalencie — śmieje się.

Tylko Hanka wie, że może pozwolić sobie na takie żarty. Temat Karoliny to tabu dla innych.

— A serio?

- Mam kilka osób na oku.
- Odpoczęłaś na zwolnieniu?

Dla wszystkich to był szok, że Hanka poszła na dwutygodniowe zwolnienie. Przecież ona nigdy nie chorowała. Przesiadwała w redakcji od rana do nocy. Była jak ze skały.

- Już jesteś zdrowa? Co ci było? — dopytuję się.
- Nic specjalnego. Rak.

Zamieram i patrzę na nią zszokowana.

— Niech pani redaktor tak się na mnie nie gapi. Drobny zabieg chirurgiczny i po wszystkim! — uśmiecha się trochę jakby z przymusem.

- Nie powinnaś wziąć więcej wolnego? Musisz odpocząć!
- Już nic nie muszę! — Hanka wzrusza ramionami. — Mam trochę roboty, idę. Nie przejmuj się. Jeszcze trochę pożyję i dam komuś w kość!

Po jej wyjściu wołam Marysię. Wiem, że słyszała naszą rozmowę. Przybiega zdyszana. Jej żółty golf zachlapany jest korekto-rem, a na czerwonej plisowanej spódnicy ma resztki kanapki.

- Wiedziałaś o tym? — pytam.
- Domyślałam się. Ona nigdy nie chorowała, więc jeżeli poszła na zwolnienie, to musiało być coś poważnego!
- Dlaczego nikomu nie powiedziała? Pomogliśmy jej!
- *No mercy!* Żadnej litości dla innych i dla siebie! — Marysia udowadnia, że zna angielski.

Dzwoni moja komórka.

- Myślałem o tobie przez cały weekend!

Marcin? Marcin!

Gdy go nie widzę i nie słyszę, potrafię myśleć o nim chłodno i z dystansem, a gdy mówi do mnie, tracę głowę i nogi mam jak z waty.

- Zjemy razem lunch, pani redaktor? Ten parasol to był tylko pretekst, na pewno się domyśliłaś.

Domyśliłam się?

- Za godzinę? — Marcin nie daje za wygraną.

Czuje się jak oszołomiona mucha, wokół której pająk snuje swą sieć. Wiem, że on jest niepoprawnym podrywaczem, mój Boże, znam go nie od dziś. Nie nadaje się do dłuższych zwią-

ków, a ja nie nadaję się do przygód bez zobowiązań. Boję się rozczarowania, porzucenia. A z drugiej strony: czy ja naprawdę mu się podobam? Może jest miły, bo jesteśmy przyjaciółmi sprzed lat? Postanawiam podejść do tej znajomości spokojnie i bez zbyt-nej ekscytacji.

— Mamy dylemat co do tematów na jutrzejszą pierwszą stronę — Hanka wpada do mojego gabinetu bez pukania.

Ona jedna może sobie na to pozwolić. Za nią wchodzi Damian. Jak zwykle cuchnący tanimi papierosami, chudy okularnik w wymiętej marynarce. Nie przepadam za nim. Ma w sobie coś, co powoduje, że czuję do niego niechęć. Nie zaprzeczam — j e s t dobry. Tydzień temu obchodził hucznie swoje trzydzieste dziesiąte urodziny. Trzy razy rozwiedziony, nasz redakcyjny rekordzista! Podwójnych rozwódek i rozwodników jest u nas sporo, ale trzykrotnie? Wiem to wszystko od Marysi. Damian uwodzi teraz naszą młodziutką recepcjonistkę. Nie wiem, co widzi w nim ta miła dziewczyna. Kilka razy chciałam go wyrzucić, bo wysyłał do druku materiały bez mojej zgody. Skończyło się tylko na upomnieniach, bo wstawiała się za nim Hanka.

— Co my tu mamy? Jaki problem? — dopytuję się.

— Uważam, że Hanka nie ma racji. Informacje o karambolu można dać na drugą stronę!

— Co damy na pierwszą? — przerywam mu niecierpliwie.

— No! Posłuchaj tylko! — moja przyjaciółka nerwowo bawi się długopisem. — On uważa, że tekst typu „znany projektant mody poturbował policjanta” to wydarzenie dnia, a w rzeczywistości była to zwykła pyskówka bez rękoczynów!

Następna godzina mija mi na wysłuchiwanie argumentów jednej i drugiej strony. Hanka dowodzi, że karambol to ważne wydarzenie, chociaż nie było ofiar ani ciężko rannych. Damian sugeruje nowy tytuł: *Masakra na moście*.

Mam dość! Całe moje zawodowe życie (a innego nie posiadam) upływa na rozstrzyganiu tego typu spraw. Tęsknie patrzę w okno.

W kafeterii czekam na Marcina. Bezskutecznie. Zapomniał? Nie mógł? Żadnego SMS-a? Żadnego telefonu? Nic? Jestem wściekła. Jem zimną zupę.

Do końca dnia warczę na wszystkich. Nawet na Hankę. Krytykuję. Wyśmiewam. Lekceważę. Jestem zołą. O dwudziestej już w samochodzie dostaję SMS-a: MAM KŁOPOTY. NIE WIEM, CO ROBIĆ. KIEDY MOGĘ WPAŚĆ? Wpaść? Nigdy! Nie odpisuję mu!

Karoliny nie ma. Jestem tak wściekła, że nie mogę zasnąć. O trzeciej nad ranem słyszę chrobotanie klucza i szepty przerywane chichotem mojej córki. Dyskretnie uchylam drzwi. Karolina tuli się do brodatego osiłka.

— Mamo? Nie śpisz? — dostrzegają mnie.

Natychmiast zamykam drzwi. Może to niegrzeczne, ale nie będę witać się z obcym facetem o trzeciej w nocy! Mam zaproponować mu herbatę? Udaję, że mnie nie ma. Prawda, to wielkie mieszkanie, ale swoją drogą Karolina mogłaby bardziej liczyć się z moją osobą!

Dostaję kolejnego SMS-a: JESTEŚ NA MNIE ZŁA? POTRZEBUJĘ TWOJEJ RADY! Nagle jestem Marcinowi niezbędna! Prawie trzydzieści lat nie potrzebował mnie, a teraz mam rzucić wszystko i biec z pomocą!

Chyba już nie zasnę. Muszę mieć do tego dystans. Marcin jest potwornym egoistą. Nie obchodzą go moje problemy! On jest! On jest...

## **Wtorek**

Siódma. Dlaczego obcy facet zablokował mi łazienkę? Karolina kręci się po kuchni, nie zwracając na mnie żadnej uwagi.

— Zaraz jedziemy na plan teledysku. Nie przeszkadzaj nam, bo czegoś zapomnimy! — rzuca w moją stronę.

— Jak on ma na imię? Kto to jest? — szepczę do niej nerwowo, mieszając kawę.

— Bruno. Stylista. Fantastyczny — moja córka ma rozmarzony wzrok.

Postanawiam, że nie umyję dzisiaj ani włosów, ani zębów. Kupię miętową gumę do żucia, a w przerwie na lunch wyskoczę do fryzjera na mycie i czesanie. Makijaż robię w samochodzie. Leje deszcz. Przekłęty, kapryśny czerwiec! Marzę, żeby Karolina

skończyła remont w swoim mieszkaniu. Jak najszybciej! Korki! Nic nie widać! Zamyślam się, słuchając radia. Nagle czuję szarpnięcie i wrzask:

— Głupia babo! Kto Ci dał prawo jazdy! Wjechałaś na mnie!

Docieram do pracy dopiero o jedenastej. Przemoknięta, głodna i wściekła. Samochód, odrobinę wgnieciony, jest w warsztacie. Marysia robi mi śniadanie.

— Nic ci się nie stało? — głos Marcina w słuchawce telefonu jest odrobinę zmieniony.

— Wieści szybko się rozchodzą. To zwykła stłuczka! — tłumaczę.

— Spotkajmy się! Ciagle mnie unikasz! — nalega.

— Teraz nie mogę. Mam mnóstwo pracy. Oddzwonię do ciebie! — mówię znużonym głosem.

Gubię się. Czuję, że wszystko wymyka mi się z rąk. Może powinnam znowu odwiedzić mojego terapeuty?

Zaczęłam wizyty u psychologa, gdy dostałam odpowiedzialne stanowisko w redakcji. Poleciła mi go Zosia. Znajomy znajomych i podobno najlepszy w Warszawie. Napisał sześć książek. Przez telefon jego głos brzmiał niezwykle aksamitnie. W rzeczywistości okazał się o głowę ode mnie niższym, piegowatym blondynem. Pozwalał mi dużo mówić, płakać, narzekać, przeklinać. Mówił niewiele. Lśniące ściany jego gabinetu, ozdobne dyplomy w złotych ramach i skórzana czarna kanapa były świadkami moich wybuchów złości i żalu.

— Jak się z tym czujesz? — pytał, a ja rozpoczynałam rzewny monolog.

Zabawne. Niektórzy potrzebują pomocy psychologa z powodu utraty pracy, a ja odwrotnie. Awansowałam z dnia na dzień i czułam, że to mnie przerasta.

Dziś znowu dzwonię do mojego terapeuty. Zdesperowana.

— Panie Adamie! Niech pan mnie ratuje! — wzdycham.

— Organizuję warsztaty psychologiczne dla kobiet sukcesu z serii UMYŚL. CIAŁO. WYOBRAŹNIA. WOLNOŚĆ. Może byłaby pani zainteresowana? — pyta mnie swoim niezwykle niskim głosem.

— Nie. Nie będę uprawiać zwierzeń w grupie!

— To może indywidualnie? U mnie. Kiedy pani pasuje, pani

Zuzanno? — pyta uprzejmie.

— Jak najszybciej! — odpowiadam bez namysłu.

Umawiamy się na następny dzień. Cudownie, że znalazł czas, bo przecież jest bardzo zajęty. Opowiem mu o wszystkim: o Marcinie, o jego telefonach, o Karolinie, o pracy, w której spędzam najmniej dziesięć godzin dziennie i która ogłupia, znieczula na ludzkie nieszczęścia i sprawia, że nienawidzę siebie coraz bardziej. Gdy próbuję powstrzymać łzy, zagląda do mnie Hanka.

— Jakież problemy? — pytam, siłąc się na normalny ton.

— Muszę cię o coś zapytać. — Hanka siada w fotelu i patrzy na mnie uważnie.

— Pytaj.

— Wiesz, że mamy wielu informatorów w światku naszego lokalnego show-biznesu.

— Wiem. I wiem, że za dużo mnie oni kosztują!

Moja przyjaciółka ma swoje kontakty. Potrafi umiejętnie porozmawiać, na przykład z mało znanym aktorem, który jest potwornie sfrustrowany, ponieważ skończył studia z Bardzo Znanym Aktorem. Znają się świetnie i przyjaźnią. Wiedzą o sobie wszystko. Ale mało znany aktor ma tylko etat w teatrze i dwoje dzieci na utrzymaniu. Za odpowiednio wysoką kwotę sprzedaje nam kilka pikantnych szczegółów z życia Bardzo Znanego Aktora. I ten ostatni nawet się nie domyśli, kto go „sypnął”, bo przecież ma setki znajomych, a ponieważ lubi od czasu do czasu „odlecieć” na imprezach, to zdaje sobie sprawę, że wtedy rozwiązuje mu się język. I to tylko jego wina, że ktoś niepowołany zdradził jego brzydkie sekrety. A mało znany aktor będzie miał, oprócz całkowitem pokaznej kwoty, także przyjemną satysfakcję, że o jego sławnym koleźce pisze się nie tylko recenzje pełne zachwytu, ale także złośliwe teksty o najintymniejszych sprawach. Mało znany aktor z zadowoleniem kupi kilka egzemplarzy naszej gazety i pokaże żonie, która tyle razy docinała mu, że przynosi co miesiąc do domu marne tysiąc trzysta siedemdziesiąt dwa złote, podczas gdy jego kolega otrzymuje cztery razy tyle za jeden dzień zdjęciowy do tasiemcowego i kochanego przez Polaków serialu.

Zazdrość. Zawieść. Nienawiść. Hanka wie, jak manipulować niespełnionymi przyjaciółmi znanych artystów. Wie, jak rozmawiać

z otyłą, piegowatą makijażystką, która pracuje za kulisami telewizyjnego show, a marzy o blasku reflektorów. Wie, jak dać jej nadzieję na zemstę na wszystkich tych prymitywnych, kapryśnych, zepsutych gwiazdach, które pudrowała z zapałem, a które szybko zapomniały jej imię i twarz. Wie, jak rozmawiać ze zniewieściałym stylistą, który czuje się rozgoryczony, bo kilka znanych osób zrezygnowało z jego usług. Wie, jak pokierować jego żalem, wściekłością, goryczą. Czasami Hanka nie musi nikomu płacić. Czasem wystarczy nadzieja na skompromitowanie sławnej osoby. Nadzieja na zemstę za swoje niespełnione marzenia.

Nasza gazeta żyje z plotek, ale we wszystkim musi tkwić ziarno prawdy. Rzadko zamieszczam niesprawdzone informacje. Hanka świetnie umie oddzielić ziarno od plew. Ufam jej pod tym względem bezgranicznie. Teraz jest zamyślona.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Mam informacje na temat twojej córki.

— Coś o Karolinie? Przecież ja wiem o niej wszystko! — śmieje się.

— A! To gratuluje! — Hanka rozpromienia się. — Kamień spadł mi z serca! Jeszcze raz gratuluje!

— Czego? — mam zapewne głupią minę i tysiące myśli przebiegają mi przez głowę.

— Jak to czego? Będziesz babcia!

## Środa

Popołudnie. Wykończona do granic wytrzymałości siedzę na kanapie u Adama. On milczy. Wiem, że mogę mówić wszystko, ale słowa więzną mi w gardle.

— Włączę cichą muzykę. To pomoże. Wyciszy cię.

— Ja się nie wyciszę! Ja zaraz eksploduję! — warczę na niego. — Muzyka mi przeszkadza. Zagłusza moje myśli. Moja córka jest w ciąży!

— To wspaniała wiadomość! — Adam profesjonalnie rozpromienia się.

— Wspaniała? Litości! Dla kogo?



— Rozmawiałaś o tym z Karoliną?  
— Jeszcze nie — wzdycham.  
— Jak się z tym czujesz, że będziesz babcią?  
— Nijak! Nie wiem, jak ona to sobie wyobraża! Nie wiem, kto jest ojcem! Nie wiem, czy ona wie! Nie wiem, czy ona chce tego dziecka, czy on go chce? Czy wezmą ślub? Mój Boże! A jeżeli będzie to nieślubne dziecko? — jęczę.

— Przecież nie jesteś staroświecka. Mamy dwudziesty pierwszy wiek! — Adam uśmiecha się bez przerwy, co bardzo mnie irytuje.

— Tak! Wiem! Nowe życie! To cudowne! — mówią z przekąsem.

— To nie dziecko jest problemem. Problem tkwi w tobie — mój psychoterapeuta splata dłonie.

— We mnie?

— Chcesz mieć nad wszystkim kontrolę. Wymyśliłaś sobie i zaplanowałaś, jakie życie powinna mieć twoja córka: studia, kariera, małżeństwo, potem dziecko, może dwoje. Karolina wybrała inną kolejność. Jest dorosła i musisz zaakceptować jej wybory. Z tego, co wiem, daję sobie doskonale radę w wielu dziedzinach.

— Ale ona tak naprawdę nie ma konkretnego zawodu! — wzdycham.

— Ma prawo wciąż szukać — Adam rozkłada ręce.

— A ja mam prawo się martwić! — przerywam mu.

— Skoncentruj się na swoim życiu. Powiedziałaś mi przez telefon, że się pogubiłaś. Co się stało?

— Odnowiłam dawną znajomość z kimś, za kim kiedyś szalałam...

Adam posyła mi znowu uśmiech profesjonalisty. Opowiadam mu wszystko. Kiwa głową. Nie przerywa, nie komentuje.

W domu czekam na Karolinę, ale wciąż jej nie ma. Przysłała mi SMS-a: REMONT U MNIE JUŻ SKOŃCZONY. ORGANIZUJE WSZYSTKO Z BRUNEM. ODEZWE SIĘ I PRZYJADĘ PO RESZTĘ RZECZY.

Siedzę w domu i patrzę w ścianę. Wykręcłam numer mojego byłego męża. Chcę wybadać, czy coś wie. Chcę zwalić winę na niego: widzisz, Karolina przez nasz rozwód nie miała normalnego dzieciństwa! Dlatego teraz tak postępuje! Marek odbiera natchmiast.

- Tak, słucham?
- To ja. Nie odzywałeś się. Co słyhać?
- Dużo się dzieje — mój były mąż jest tajemniczy.
- W firmie?
- Nie. Tym razem u mnie. Miałem ci o tym na dniach powiedzieć — jego głos jest dziwnie radosny.
- O czym?
- No więc... zakochałem się!

Wysłuchuję opowieści o pięknej prawniczce, która przysłała załatwić coś w jego firmie. Marek w romantycznym uniesieniu opisuje mi, jak cudownie świeciło słońce, gdy rozmawiali na parkingu...

— Czy ty zgłupiałeś? Przecież dawno już skończyłeś podstawówkę! Skąd to szczeniackie zauroczenie?

— Nie wiem — mój były mąż wdycha. — Sama wiesz, że bardzo długo kobiety dla mnie nie istniały.

— Otóż to! — ja byłam sama i on był sam, i to nie powinno się zmieniać, przynajmniej z jego strony.

— Możesz się śmiać, ale wreszcie czuję, że żyję! Tego nie da się opisać! Już nie muszę pić sześciu kaw dziennie! Nie muszę brać leków nasennych!

— Byliście na randce? Tak? — przerywam mu.

— Tak. Myślę, że to była randka — Marek ma rozmarzony głos.

— Randka? — czuję, że ogarnia mnie gniew. (On randkuje, a ja zamartwiam się o nasze jedynie dziecko!)

— No.

— A powiedziałaś jej, że niedługo zostaniesz dziadkiem? — syczę z satysfakcją.

Przez chwilę w słuchawce panuje cisza.

— Powtórz to — prosi mnie cichym głosem.

— Dziadek! Dziaduniu! Powiedz swojej prawniczce, że teraz tak powinna się do ciebie zwracać — prawie krzyczę.

— Czy Karolina jest u ciebie? — głos Marka jest wzruszony.

— Nie. Nie powiedziała mi. Dowiedziałam się od obcej osoby! Nie raczyła mi tego powiedzieć, a mieszkamy teraz pod jednym dachem!

— Taka jest Karolina.

— Taka jest Karolina po tobie! Ja swojej matce od razu powiedziałam, że jestem w ciąży!

— Czyżby? — głos Marka staje się ostrzejszy. — Z tego, co pamiętam, było bardzo podobnie. Musisz ją zrozumieć.

— Ale ja się o nią martwię! A ty...

— Ja też się martwię. Nie tym, że będzie miała dziecko, ale tym, że będzie je miała z nieodpowiednim człowiekiem — mój były mąż zamyśla się.

Umawiamy się na wspólną rozmowę w kawiarni. Marek już nie wspomina o pięknej prawniczce.

Kręcę się bez celu po moim pięknym mieszkaniu. Tęsknię za Karoliną. Chcę popatrzeć jej w oczy i zapytać, co ma zamiar z tym wszystkim zrobić.

Wszędzie zostawiła swoje ślady. W salonie znajdują zmywacze do paznokci i rozrzucony zestaw do pedicure, w przedpokoju siedem par butów. (Oszalała: w ciąży nosi szpilki!) W kuchni zalane kawą babskie gazety (Mam nadzieję, że bezkofeinową!), a w toalecie amerykańskie wydanie „Vogue” (Jak dobrze, że ona świetnie zna angielski, może mogłaby w przyszłości być tłumaczką, to spokojny i dobrze płatny zawód). W mojej ogromnej, srebrnej, industrialnej lodówce odkrywam dietetyczne surówki z kiełków. Moja córka odchudza się w ciąży?

Moje psy chodzą za mną krok w krok. Na szczęście niezawodna Xenia „odsiusiała” je dzisiaj cztery razy. Mam ochotę zadzwonić do Karoliny, ale chciałabym porozmawiać z nią twarzą w twarz.

Ktoś dzwoni. O dziesiątej wieczorem? To na pewno ona! Otwieram z bijącym sercem. W drzwiach stoi Marek. Ma podkrążone oczy, a w ręku butelkę szampana.

— Co ty tu robisz! — nie muszę się martwić, że jestem w szlafroku, chociaż trochę szkoda, że zmyłam już makijaż.

— Tak mnie witasz? — mój były mąż uśmiecha się od ucha do ucha i wpycha się do środka.

— A co ty myślisz, że możesz sobie tutaj wpadać znienacka? — wściekam się.

— Wiem. Wiem. Muszę się wcześniej zaanonsować. Bła, bła, bła... Stara! Będziemy dziadkami! — obejmuje mnie ochoczo.

- Tylko nie stara! Nigdy tak do mnie nie mów! Nie życzę sobie!
- Dobrze! Przepraszam! Gdzie mogę powiesić płaszcz?\_\_\_
- Marek kręci się po przedpokoju. Happy wita go wylewnie, co niespecjalnie mi się podoba.
- Szukaj kieliszki! Jestem szczęśliwy! Ty też powinnaś!
- Nie ciesz się tak! A jeżeli ona będzie chciała... usunąć? — wzdycham.
- Nie będzie chciała! Przed chwilą z nią rozmawiałem! — Marek wpycha się do kuchni i zagląda do szafek.
- Jak to „rozmawiałeś”?
- Zwyczajnie. Zadzwoniłem do niej. Ty też powinnaś.
- Ja chciałam porozmawiać z nią osobiście — j a k a m się.
- To samo jej powiedziałem. Nie martw się. Jutro przyjedzie po rzeczy. Gdzie te kieliszki?
- Co ci mówiła? — dopytuję się.
- Siadamy w salonie. To znaczy, ja siadam, a Marek krąży pod-ekscytowany.
- Masz coś do tego szampana? — zagaduje mnie.
- A co byś chciał? Kawior? — pytam złośliwie.
- No tak. Oczywiście nie wiesz, co masz w lodówce! — Marek wraca z kuchni z kawałkiem tortu. — Nie martw się, stara! Zdrowie maleństwa! — mój były mąż podaje mi kieliszek.
- Jak ona się czuje?
- Nie pytałem, ale chyba dobrze. Przecież powiedziałyby coś... prawda?
- Te pierwsze miesiące to są wymioty, to są... — głos mi się załamuje.
- Mieszkasz z nią i nic nie zauważyłaś?
- Przecież ona jest skryta! Na pewno robiła wszystko, aby to ukryć!
- Zdrowie! — wykrzykuje Marek.
- Dawno nie widziałam go tak entuzjastycznie nastawionego do życia.
- Zmieniłeś się — stwierdzam.
- No jasne! Miłość mnie odmieniła!
- Miłość? Myślałam, że to nazywa się inaczej!

— Jak? — Marek nakłada sobie drugi kawałek tortu.  
— Nie wiem. Kryzys wieku średniego na przykład.  
— Miła jesteś! — mój były mąż nie traci dobrego humoru.  
— O ile ona jest od ciebie młodsza? — pytam słodko.  
— To cię gryzie!  
— Nic mnie nie gryzie! No o ile?  
— Dwadzieścia lat? — Marek zamyśla się.  
— Dlatego tak się czujesz! Urosły ci skrzydła! A nie pomyśla-  
łeś, że jesteś dla niej za stary? Przecież ona jest niewiele starsza  
od naszej Karoliny!

— Nie pomyślałem! — Marek majstruje koło mojej nowoczes-  
nej wieży. — Niezły masz sprzęt!

— Nie zmieniaj tematu! Nie musisz jutro wcześniej wstać?  
Niestety, on nie rozumie aluzji. Włącza płytę Presleya.

— Pamiętasz konkurs tańca w Stodole? — śmieje się.

— Może pamiętam. No i co?

— Chodź! Zatańczymy! — macha do mnie ręką.

— Zwariowałeś? A sąsiedzi?

— Przecież nie jest za głośno! Zatańczymy w kapciach!

— Wolę na bosaka!

W rock and rollu byłem kiedyś niezła. Kochałem taniec. Był jak  
narkotyk. Zastryk pozytywnej energii. Marek, chociaż dużo gor-  
szy w tej dziedzinie ode mnie, zawsze miał dobre chęci i mnó-  
stwo zapału.

— Ciśnienie ci podskoczy! — ostrzegam go.

— Trudno — mój były mąż zabawnie podskakuje.

— Mierzysz sobie codziennie?

— Codziennie. Mam świetny niemiecki aparat!

Chwytam się za ręce. 1 obrót. I jeszcze raz. Dobrze, że mój  
szlafrok jest mocno zawiązany w talii.

— A jak cholesterol? — śmieję się.

— O dziwo prawie w normie! — Marek chichocze.

— Chyba ktoś dzwoni do drzwi! — ściszam muzykę. — MÓ-  
wiłam ci! To pewnie sąsiedzi! Może wezwali już straż miejską?  
A może to Karolina? — zastanawiam się.

— Niemożliwe. Powiedziała, że jest w Łodzi — Marek przy-  
gląda włosy.

Biegnę otworzyć.

— Pamiętałem kod do domofonu! — w drzwiach stoi Marcin i uśmiecha się trochę niepewnie.

## Czwartek

Wczorajszy wieczór był przedziwny. Skończył się o trzeciej nad ranem. Marcin i Marek, na początku lekko stremowani, wkrótce odnaleźli wspólny język i wspominali studenckie życie. Znali się przecież przelotnie, chociaż Marek nigdy się nie dowiedział, jak bardzo szalałam za Marcinem.

Otworzyli holenderskie piwo, którego zapas miałam (o dziwo!) w lodówce. Podejrzewam, że należało do tajemniczego Bruna (raczej nie sądzę, żeby pani Tosia czy Xenia zrobiły mi taki prezent).

Marek nucił radośnie: „Każdemu wolno kochać, to miłości słodkie prawo, bo kocha się sercem, a każdy je ma...”. A Marcin przekonywał go, że o północy zatęsknił za swoim parasolem i dlatego zjawił się tak nagle i o tak dziwnej porze.

Boli... boli mnie głowa i Marysia robi mi kompresy. Nieśmiało proponuje alcaseltzer, ale wmawiam jej, że to migrena. Cieszy mnie SMS od Karoliny: NIE MARTW SIĘ. WSZYSTKO BĘDZIE COOL. POGADAMY WIECZOREM.

Po powrocie z pracy zastaję ją w kuchni.

— No nie patrz tak na mnie! Tak podejrzliwie! — śmieje się moja córka. Nie widać po niej, że jest w „odmiennym” stanie. Ma na sobie obcisłe, haftowane džinsy i różową koszulkę na ramiączkach ze srebrnym napisem: TOO SEXY!

— Gratuluję ci, kochanie, ale to poważna sprawa! — przytulam ją i czuję, że łzy napływają mi do oczu.

— Wiem — Karolina pije mleko prosto z kartonu.

— Będziesz musiała zrezygnować z pracy...

— Wcale nie.

— Nie? — dziwię się.

— Nie. Chcę nagrać płytę właśnie teraz! To będzie lajfstajlowy przełom! Śpiewająca, seksowna dziewczyna w ciąży! Tak mówi mój agent!

— No nie wiem, mam wątpliwości, nic mi nie powiedziałaś. Nawet nie wiem, który to miesiąc?

— Siedemnasty tydzień!

Widząc moją minę, Karolina śmieje się:

— To była słodka tajemnica. Nie chciałam nic mówić, dopóki nie byłam pewna, że chcę urodzić!

— Nie byłaś pewna? — głoś mi trochę drży.

— Ale teraz jestem!

— Karolina! Jestem twoją matką! Powinnaś mi mówić o wszystkim!

— Chciałam uniknąć kazań — moja córka rozsiada się na krześle i opiera nogi o kuchenny blat. — To skomplikowane. George mnie zostawił, gdy dowiedział się o dziecku...

— Ale on ma żonę, prawda? — upewniam się. Muszę napić się wody.

— Ma. Wrócił do niej. Nie będę tego komentować. Uznał, że to mój problem. Chciał mi dać pieniądze. Wiesz, na co! Nie chciałam od niego ani grosza! Powiedziałam mu, żeby wyp... z mojego życia!

— Kochanie... — wzdycham.

— Sorry, mamuś! Jak go sobie przypomnę, to wszystko się we mnie gotuje!

— We mnie też! — mam ochotę zabić drania. Wypijam drugą szklankę wody. — Jak ty sobie dasz radę! — biadolę.

— Bruno mi pomaga. Wspiera mnie... i takie tam, no w ogóle... dobrze nam jest razem.

— On wie o wszystkim? — czuję, że się gubię.

— Wie. Już wcześniej wysiłał się, żebym zwróciła na niego uwagę, ale nie miał szans, bo George przesłonił mi cały świat!

— Wie, że jesteś w ciąży z innym i nie przeszkadza mu to? — upewniam się. Są jednak wspaniali mężczyźni na tej ziemi!

— Po prostu mnie kocha!

Po prostu! Szykuję kolację dla nas obu. Wyrwam Karoli słoik musztardy i chowam z powrotem do lodówki. Musi teraz zmienić swoje nawyki żywieniowe. Tłumaczę jej to dwie godziny. Jest rozczarowana, że musi zrezygnować ze swoich ukochanych serów pleśniowych.

W nocy nie mogę spać. Zastanawiam się, kim jest Bruno? Aniołem czy idiotą? A może jednym i drugim? Czy lekarz Karoli to na pewno najlepszy ginekolog w Warszawie? Gdzie ona będzie rodzić? Czy Bruno jej się oświadczył? Miliony pytań bez odpowiedzi.

Już zasypiam, gdy budzi mnie telefon.

— Nie obudziłem? — pyta Marcin rześkim głosem.

— Nie — kłamię jak z nut.

— Wiem. Jesteś zmęczona. Masz świetnego męża!

— Byłego męża. Zrobił się świetny po rozwodzie!

— Humor cię nie opuszcza. To cudownie! A w ogóle to gratuluję! Marek zdradził mi, że wasza córka spodziewa się dziecka!

Chłodno kończę rozmowę. Chyba rzeczywiście ta znajomość nie ma sensu. Jego telefony rozbudzają mój apetyt na romans, a on traktuje mnie tylko jak starą, dobrą przyjaciółkę. Muszę to wszystko sobie poukładać. Szybko wybieram numer telefonu mojej siostry. Wiem, że jeszcze nie śpi i wiem, że zacznie od razu na mnie wrzeszczeć.

— No! Jak miło! Odzywasz się wreszcie! Jaśnie pani przypomniała sobie, że ma rodzinę!

Bezskutecznie próbuję przebić się przez potok jej słów.

— Nawet nie pytasz, co u nas słychać! Myślisz, że moja Xenia jest twoją służącą? Co ona robi w tej redakcji i w twoim domu? Dziewczyna od wysyłania listów i wyprowadzania psów!

Wreszcie dopuszcza mnie do głosu, ale wciąż przerywa, mrużąc:

— Wiedziałam, że tak będzie! — W końcu litościwie dodaje:

— Nie martw się na zapas! Karolina da sobie radę!

— Ale nie wiem, czyja dam sobie radę! To nowy etap w moim życiu! — wzdygam.

— Nowy, ale piękny! — Zośka śmieje się. — Myślisz, że na twoim czole pojawi się wielki neon z napisem: JESTEM BABCIA! Myślisz, że wszystko jest już poza tobą i pozostaje ci tylko bawienie wnuka i szydełkowanie?

— Coś w tym rodzaju! — zamyślam się.

Rozmawiamy do pierwszej w nocy. Moja siostra próbuje zarażać mnie swoim optymizmem. Zaskakuje mnie, bo zwykle zrzędzi



i szuka dziury w całym, a tym razem ma niecodzienne podejście do całej sytuacji. Wiem, że mogę na nią liczyć.

## **Piątek**

Nadchodzą czerwcowe upały. Na szczęście klimatyzacja pracuje pełną parą. Wspólnie z Hanką główimy się nad weekendowym wydaniem dodatku do naszej gazety: HITY TYGODNIA. Mamy już ustaloną listę do każdej pozycji:

### **NUMER CZTERY: SZCZURY W RESTAURACJI:**

Jakiż to szok przeżyli zagraniczni goście posilający się w jednej z najdroższych restauracji na Starym Mieście w Warszawie! W popłochu opuszczali oni lokal po tym, jak odkryto dwa zakrwawione szczury w damskiej toalecie! W taki oto sposób wchodzimy do Europy! Czy to zemsta konkurencji (jak twierdzi właściciel), czy też początek zarazy jak w *Dżumie A. Camusa*? Radzimy uważnie obserwować staromiejskie uliczki! Szczury rozmnażają się szybko i są odporne nawet na najtrudniejsze warunki pogodowe!

### **NUMER TRZY – MISS ŁOTWY ROZBIJA POLSKĄ RODZINĘ:**

Znany kierowca rajdowy porzuca żonę i trójkę dzieci dla zeszłorocznej Miss Łotwy. Jako członek jury sportowiec ten odwiedzał Rygę kilkakrotnie. Z ostatniej podróży wrócił już razem ze swoją zdobyczą. Wydrukował sobie nowe wizytówki i został menadżerem młodziutkiej Oksany F. Jego żona, pozostawiona bez środków do życia, musiała zgłosić się do biura pośrednictwa pracy. Niestety, alimenty zasądzone kilka miesięcy temu nie wystarczają na utrzymanie pięćset-metrowego domu! Biedna kobieta będzie musiała opuścić miejsce, które urządziła tak pieczołowicie! A wszystko przez hormony niewiernego męża!

### **NUMER DWA – TEŚCIOWA ZNANEGO AKTORA POBIŁA DWÓCH POLICJANTÓW:**

Stanisława M (79 l.) przyłapana została na kradzieży w supermarkecie przy ulicy Dolnej w Warszawie. Kamery zarejestrowały moment, jak staruszka wpychała do kieszeni puszkę z karmą dla kotów, „listek” z witaminą C, dwa kefiry w plastikowych butelkach i rolkę papieru toaletowego. Ochro-

niarze wezwali policję, gdy staruszka uderzyła kasjera w podbrzusze. Jeden z policjantów także został podrapany. Stanisława M. po przesłuchaniu na komisariacie została przewieziona do szpitala. Nie stwierdzono u niej żadnej poważnej choroby. Staruszka zamieszkuje razem z gosposią i z ogrodnikiem w ekskluzywnej willi na obrzeżach Warszawy.

NUMERJEDEN... Jestem zmęczona... mamyjeszcze informację o ogórku gigancie i mężczyźnie, który dostał szału po czterech godzinach stania w korku.

Gdy jem obiad w naszej eleganckiej kafeterii, dostaję SMS-a od Karoliny: NA JUTRO NIC NIE PLANUJ. RODZICE BRUNA CHCĄ CIĘ POZNAĆ. SZCZEGÓŁY WIECZOREM.

Jestem lekko oszołomiona. Oczywiście ona nie odbiera komórki, gdy próbuję do niej oddzwonić. Co to za ludzie? Co to za okazja? Jak mam się ubrać?

Kończę pracę wcześniej i parkuję w podziemiach największego centrum handlowego w stolicy. Oczywiście, jak to w piątek, są tłumy. Nie wiem właściwie, po co mi nowe ciuchy? Moja garderoba przecież pęka w szwach: jedwabne bluzki, garsonki, szale we wszystkich kolorach tęczy... Muszę jednak dodać sobie pewności siebie, kupując coś ekstra! Wciąż myślę o rodzicach Bruna. Czy to ludzie na poziomie? Czy są sympatyczni? Jakie zdanie mają o mojej córce? Czy nie za wcześnie na takie spotkanie?

Chodzę i oglądam. Wybieram te butiki, gdzie nie kłębią się tłumy, ale za to jest potwornie drogo. Po dwóch godzinach jestem wykończona. Bolał mnie nogi i kręgosłup. Po wielu latach liczenia się z każdym groszem pozostał mi nawyk obchodzenia wielu sklepów przynajmniej dwukrotnie, aby porównać ceny i znaleźć prawdziwą okazję. Kilka rzeczy podoba mi się, ale ceny mniej. Jedna z torebek zachwyca mnie i kupuję bez mrugnienia. Która to już torebka w mojej szafie? Czterdziesta?

Gdy mija trzecia godzina, robię sobie przerwę. Wybieram ekstrawagancką kawiarnię stylizowaną na włoskie bistro. Mrożona kawa z bitą śmietaną i Wariacje Lodowe z bakaliami i orzechami. Rachunek wynosi czterdzieści dwa złote. Udaję, że nie jestem w lekkim szoku i płacę kartą.

Po jakimś czasie mam cztery ogromne torby wypełnione buta-

mi, bluzkami i torebkami. Coraz trudniej mi to wszystko nieść, ale w salonie jubilerskim dostrzegam asymetryczny, nowoczesny zegarek. Kupuję. I jeszcze delikatny pierścionek dla Karoli. Prezent z okazji wiadomo jakiej!

Jestem głodna i spocona. Przechodzę akurat obok restauracji rybnej. Oszałamiające zapachy! Zamawiam supkę rybną, której nie daje się przełknąć, bo ktoś wsypał do niej kilo pieprzu.

A fryzjer? Mój Boże! Dziś nie zdążę! Może jutro rano? Obładowana torbami, rozczochrana i z obłądem w oczach szukam swojego samochodu na podziemnym parkingu.

Kiedy piąty raz okrążam to samo miejsce, tracę nadzieję. Ukradli moją toyotę! Drżącymi rękoma szukam komórki. Rozładowana. Nopięknie!

Zaczepiam ochroniarza. Patrzy na mnie z kpiną w oczach.

— Nie może pani znaleźć samochodu? A na którym parkingu go pani zostawiła?

— A ile ich jest? — j ę c z ę .

— Osiem. Parking A jest oznaczony na pomarańczowo i ma znak syrenki. Parking B ma kolor czerwony i logo smoka. Parking C ma barwę żółtą i znak krasnala. Parking D ma kolor zielony i logo muchomorka. Parking E jest różowy i znak dinozaura. Parking F ma barwę niebieską i logo kosmonauty. Parking G ma kolor fioletowy i znak czarownicy. Parking H jest brązowy i logo pegaza.

— Pan wszystko to z pamięci potrafi? — dziwię się. — Pegaz? Czy kosmonauta? Próbuję głośno przypomnieć sobie coś charakterystycznego. Jakiś szczegół! Jakiś znak!

Po czterdziestu minutach znajduję wreszcie swój samochód. Nigdy tu nie wrócę! Jak można tak traktować klientów! Jestem wściekła i śmiertelnie zmęczona.

## **Sobota**

Żadnych szczegółów dotyczących kolacji z rodzicami Bruna nie uzyskałam wczoraj wieczorem, bo (o dziwo!) Karolina smacznie już spała. Na stole w kuchni znalazłam dwa otwarte słoiki ze

śledziami oraz słoik ogórków z resztkami wody po nich (!).

Rano zjawiłam się w jej sypialni już o ósmej.

— Kochanie! Porozmawiajmy! Zrobiłam ci kubek kawy bezkofeinowej!

— Przepraszam! — Karola zrywa się nagle i zasłaniając ręką usta, pędzi do łazienki.

— Mamo! Zabierz tę kawę, bo nie wyjdę! — wrzeszczy.

Posłusznie odnoszę tacę z kubkiem do kuchni. Po dwudziestu minutach Karolina wychodzi z łazienki z obłądem w oczach.

— Czy to normalne? Może powinnaś skonsultować się z lekarzem? Trochę poleżeć, trochę zwolnić, zagaduję ją.

— Daj spokój. Wczoraj byłam u swojego ginekologa.

— No i co?

— Wszystko jest w porządku. Daj mi wody. Niegazowanej. W dużej szklance. Perrier.

— Może coś zjesz? — krzątam się po kuchni.

— Może później.

Nie jemy razem śniadania, bo moja córka oświadcza mi, że ją mdli, gdy patrzy, jak przeżuwać jedzenie. No cóż. Nie jest to miłe.

— Czy musimy jechać do rodziców Bruna? Przecież ja ich nie znam, a jego widziałam tylko raz. Czy to ma sens? Czy wy planujecie poważniejszy związek? — dopytuję się.

— Oczywiście! — Karola wzrusza ramionami. — Bruno przyjedzie o trzeciej. Nie martw się. Mówił, że jego starzy są niegroźni.

— Ty też nigdy ich nie widziałas? — dziwię się.

— Nie pamiętam. Ale najwyższa pora poznać ich oficjalnie, nie?

— Ale ty jesteś w ciąży i to nie z ich synem. Co oni sobie pomyśla? — załamuję ręce.

— To jest wolny kraj, każdy może sobie myśleć co chce. Co? Ty chciałabyś sterować myślami innych ludzi! Ktoś sobie pomyśli o tobie coś brzydkiego i ty w zemście też możesz sobie pomyśleć o nim jeszcze gorzej. Bła, bła, bła... Kogo obchodzi: co oni sobie pomyśla? Teraz są inne czasy! Jesteśmy razem z Brunem i to się liczy! To trzeba uszanować.

— Jak mam się ubrać? — przerywam jej.

— Normalnie. Nie zajebicie elegancko i nie całkiem sportowo.

— Gdzie oni mieszkają? Kim są?

— Skąd mam wiedzieć? — Karolina ogląda Fashion TV i daje mi do zrozumienia, że to koniec dyskusji.

— Muszę kupić sobie nowe ciuchy. W nic się nie mieszczę. Jest gdzieś podobno jakiś odlotowy sklep z ciuchami dla ciężarnych. Cholera! Co za ohydna nazwa! Ciężarna! — Karolina prychna. — Odsłoń te żaluzje. Co tu tak ciemno! Ciężarna! Nieważne, że noszę w sobie nowe życie, ważne, że jestem ciężka. Ciężarna! Będę jak hipopotam, tak? — zniecka zaczyna płakać.

— Kochanie... — obejmuję ją. — Wszystko cudownie się ułoży. Będzie dobrze.

— Mówisz? Dostałam nową piosenkę i będę ją śpiewać, jak mi duży brzuch urośnie. Mój menedżer twierdzi, że tego jeszcze nie było! Seksowna piosenkarka z brzuszkiem śpiewająca disco, rocka i hip-hop — Karolina nie daje sobie przerwać. — Weźmiemy z Brunem opiekunkę. Od razu! Nie chcę się poświęcać dla jakiegoś bachora! Muszę się szybko odchudzić!

Patrzę na nią ze zgrozą.

— No nie gap się tak! Wiem! Maleństwo jest najważniejsze, ale to nie znaczy, że mam rezygnować ze swoich marzeń, tak? No tak?

— Tak — klepię ją po ramieniu.

— Posłuchaj tej piosenki. Moim zdaniem jest całkiem niezłą, murowany przebój:

Jestem sexy mama  
Tańczę dziś od rana  
Pod moim sercem  
Bije drugie serce  
Lecz nie jestem  
Wcale w rozterce  
Bo jestem sexy mama  
Zatańczę dziś kankana  
Cieszę się każdą chwilą  
Jeszcze mi nie odbiło

Bo jestem sexy mama  
Cała rozkołysana  
Podwójnie dziś szczęśliwa  
Ja jestem sexy diva!

— No, jak ci się podoba? — Karolina uśmiecha się. — Bruno jest zachwycony.

— Co ty o nim wiesz? Jak długo się znacie? — przerywam jej.

— Dość długo. Myślę też o sesji zdjęciowej. Już mam kilka propozycji. Chcę pokazać tak, jak kiedyś Demi Moore, że kobieta w ciąży może być piękna!

— Oczywiście, kochanie, ale nie myślisz chyba o nagiej sesji? — pytam z nadzieją w głosie.

— Oczywiście, że myślę. W Playboyu albo w CKM!

Osiwieję przez nią.

— Karolina! To, że jesteś w ciąży, to sprawa intymna, delikatna! — tłumaczę jej.

— E tam! Teraz wszystko jest na sprzedaż — oświadcza moja rezolutna córka. — Wyobrażasz sobie reality show z kobietami w ciąży? Wszystkie są zamknięte w małym domku i wszystkie rodzą na wizji?

— Nie wzięłabyś udziału w czymś takim! To obrzydliwe! — denerwuję się.

— Dlaczego obrzydliwe? Sama natura! Kiedyś nie do pomyslenia było, żeby rodzić z mężem. Sama mówiłaś. A teraz co! Zrób mi śniadanie! — Karolina ziewa.

Robię. Przynoszę jej do łóżka. Wychodzę z psami na spacer. Xenia w ten weekend ma wolne z powodu egzaminów. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Karola szkokuje mnie na każdym kroku. Jest zupełnie szalona. Moja komórka brzęczy.

— Nie zapominaj o ogórkach, śledzikach i kapuście kiszzonej! — to znowu ona. — A! Jeszcze jagodzianki! Ze trzy! Nie! Cztery!

— Może kupić coś dla rodziców Bruna? — proponuję.

— Kupiłam wczoraj francuskie wino. Nie wracaj za szybko! Chcę sobie jeszcze pospać!

Spaceruję z psami ponad godzinę. Potem zaglądam do osiedlowego sklepiku. Moja komórka znowu szaleje. Tym razem to Zośka.

— Co się dzieje? — krzyczę, szarpiąc smycz.  
— Musimy się spotkać dziś lub jutro! Odezwała się Renata!  
Pamiętasz ją? Chodziłam z nią do klasy!

— Pamiętam. To twoja koleżanka. Nie moja — wykręcam się.  
— Ty też się z nią kumpłowałaś! Pożyczałaś jej szminkę!  
— Niebywałe! I dlatego mam się z nią teraz spotkać?  
— Nie dlatego! Została babcią, jak miała trzydzieści dziewięć lat! Wyobrażasz sobie? Jej siedemnastoletnia córka zaszła w ciążę! Urodziła bliźniaczki! Pokazywała mi zdjęcia! Teraz mają sześć lat!

— Cudownie. Już wiem wszystko, więc nie muszę się z nią spotykać! — odpowiadam spokojnie.

— Nie wygłupiaj się! Będzie może też kilku znajomych panów...

— O! To co innego! Trzeba było tak od razu! — śmieję się.

Bruno zjawia się po południu. Wręcza mi trzy wściekle żółte róże i szarlotkę. Wydaje mi się trochę nieśmiały. Wielki, wręcz zwalisty trzydziestolatek w awangardowej koszuli w esy-floresy. Zastanawia mnie jego zarost: lekko rudawy, przedziwnie przycięty.

— Od razu przejdźcie na ty! — zarządza moja córka.

— Spoko, maleńka — Bruno przytula ją mocno i klepie po brzuchu.

Już w samochodzie zaczynam się okropnie denerwować. Narzeczony mojej córki prowadzi swojego oplajak wariat. Nie możemy rozmawiać, bo radio gra na full. Polski hip-hop. Moje ulubione rytmy i moje ulubione klimaty (!).

Praga, Targówek, dragi i trawa  
Tam wśród blockersów jazda, zabawa.  
Praga! Praga! Moja Praga!  
Daj przypalić! Give me draga!

Próbuję się wyłączyć. Rozpaczliwie ćwiczę pozytywne myślenie tak, jak radził mi Adam. Jedyna przyjemna myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to świadomość, że każdy dzień kiedyś się kończy.

— Co mówisz, mamuś? — Karolina wrywa mnie z letargu.

Zastanawiam się, jak rodzice Bruna ocenią jej strój. Włożyła białe, luźne, mocno prześwitujące spodnie, spod których widać czarne, koronkowe stringi. Odkryty pępek ozdobiła lśniącem kolczykiem. Wcisnęła się w pół numeru za mały, kusy różowy golfik.

— Nie zimno ci w stopy? — pytam.

— Żartujesz? Ciagle jest mi gorąco!

Czy gumowe, srebrne japonki to odpowiednie obuwie na oficjalną wizytę? Wzdycham.

Zatrzymujemy się przed uroczym domkiem z ogródkiem na obrzeżach Raszyna. Przerażają mnie cztery koszarne krasnale w ogrodzie oraz pozłacane aniołki na werandzie.

— Witamy! Witamy! Jestem Maria! — mama Bruna okazuje się typową starszą panią z siwymi włosami wymęczonymi trwałą. Wybiega do nas prosto z kuchni, przepasana fartuchem w gruszki, z drewnianą chochlą w ręku.

Wchodzimy do salonu. Chcę usiąść na skórzanej kanapie, ale pani Maria macha rękami.

— Och! Bardzo proszę zasiąść przy stole! Nasza kanapa jest na specjalne okazje! Nie siadamy na niej zbyt często, bo kosztowała majątek! Szybko się wyciera!

Potulnie siadam przy stole, podziwiając ogromny obraz w złotych ramach, przedstawiający między innymi łabędzie, wierzby płaczące, syreny i jelenia na rykowisku.

Karolina biegnie do łazienki. Bruno ze znużoną miną bawi się pilotem do telewizora.

— Ojciec jest? — pyta panią Marię.

— Idzie! Już idzie! — kobieta znika w kuchni.

Jej mąż okazuje się chudym, drobnym starszym panem z niemodnym wąsikiem. Wygląda jak emerytowany listonosz.

— Proszę nie wstawać! — chrząka, chociaż wcale nie mam takiego zamiaru. — Pani jest mamą Karolinki? Słyszałem, że się pani nieźle ustawiła!

— Herbatki malinowej? — pani Maria podsuwa mi ogromną cukiernicę. — J a s i u! Nie męcz pani! — zwraca się do męża. — On jest rozgoryczony... Jego emerytura! Tyle lat pracy i taka jałmużna!

— To pani wydaje tę szmatę? — pan Jasio jest niezwykle uprzejmy.



— To ja — wzdycham, kontemplując wzory lilii na dywanie.  
— Niezła fucha, co? Tyle ludzi czyta te bzdety, bo to kosztuje grosze! — ojciec Bruna chrząka i spluwa w serwetkę. — Za gorąca ta herbata! Zabierz ją!

Pani Maria w milczeniu i z przeproszającym uśmiechem zabiera jego szklankę i znika w kuchni.

— Mamy jeszcze drugiego syna, wie pani... — zamyśla się pan Jasio. — Bruno ustawił się jakoś, ale Sebek...

— Sebek starał się o rentę — pani Maria przynosi mu drugą herbatę. — Kochanie? Ta jest chyba dobra? Próbowałam dwa razy.

— Może teraz to i dobra! — pan Jasio krzywi się i kontynuuje. — Sebek jest starszy od Bruna i delikatniejszy. Jak baba.

— Jest chory? — pytam uprzejmie.

— A tam! Od razu chory! — ojciec Bruna głośno siorbie ze szklanki.

— Robić mu się nie chce — narzeczony mojej córki nie odrywa wzroku od telewizora. No tak! Wiadomości sportowe. Zastanawiam się, co Karolina robi tyle czasu w łazience. Marzę, żeby mnie wybawiła.

— On zawsze był chorowity. Słabego zdrowia — pani Maria rozkłada sztucce.

— Może tak. Może nie — pan Jasio drapie się po nosie. — Gdyby pani mu coś załatwiła, to stanąby na nogi...

— No wiesz! Nie zwracaj pani głowy tak od razu! — żona gromi go wzrokiem.

— No cóż, ja nawet nie wiem, kim on jest z zawodu. Gdyby był dziennikarzem, fotografem... — wzdycham.

— Przecież Sebek nic nie skończył! — Bruno zaczyna skubać orzeszki.

— Zostawiłbyś to! Zaraz będzie obiad! — pani Maria zamiera się na niego ścierką.

— Studiów mu się zachciało, to i studiuje już siedem lat. Wszystko dokładnie zgłębia — pan Jasio podnosi nóż do światła. — Matka! Noże niedomyte!

— Co ty opowiadasz! — j e g o żona zabiera nóż z przeproszającym uśmiechem.

— A co studiuje? — pytam grzecznie.

— A różnie. Ochronę środowiska. Ekologię.

Karolina nareszcie wraca z łazienki. Minę ma niewyraźną. Zupa serwowana przez panią Marię okazuje się tłustym rosołem.

— Jedzcie! Jedzcie! Kurczaki teraz coraz droższe! Tyle pieniędzy poszło na ten obiad! — mama Bruna podsuwa mi wazę.  
— Może dokładeczkę?

— O nie! Dziękuję! — odsuwam talerz. Narzeczony Karoli wygina się na krześle, aby dostrzec, kto zdobył bramkę. Pan Jasio skórką od chleba oczyszcza talerz i cicho beka. Moja córka zrywa się od stołu i znowu biegnie do łazienki.

— Nie smakowało jej? — pani Maria smutnieje. — Sebek zaraz będzie, to jeszcze raz podam zupę!

— A gdzie on łązi? — Bruno zasłania się programem telewizyjnym.

— Do sąsiada pojechał obgadać robotę w Berlinie. Może tam mu się uda! — pan Jasio wyciera wąsy, nieco mokre od zupy.

Przy drugim daniu głównym tematem rozmowy jest megakredyt, który zaciągnęli rodzice Bruna, aby zbudować dom. Od razu proponują, że oprowadzą mnie po całej „posiadłości”. Gotowi są nawet pokazać mi garaż, piwnicę i strych.

Karolina je w milczeniu, od czasu do czasu wysyłając SMS-y pod stołem. Gdy wjeżdża na stół deser, ktoś z impetem otwiera drzwi.

— Sebek! Sebunio! — pani Maria szybko wyciera ręce w fartuch.

— Sie ma wszyscy! — brat Bruna ma długie, lekko siwiejące włosy związane w kucyk, ciemnozielony polar i wytarte spodnie. Uśmiecha się do mnie, macha do Karoliny. Klepie Bruna po plecach. — Zjedłście beze mnie? No ładnie! Mama, dawaj to jedzonko, bo umieram z głodu!

— Co z tą robotą w Berlinie? — pan Jasio zaciera ręce.

— Sprawa jest w toku. Jak to się mówi w toku i na boku! — Sebastian śmieje się zaraźliwie.

— No widzi pani, jaki on jest! — pani Maria ociera oczy. — Złoty chłopak! Tylko nic mu w życiu nie wychodzi!

Nocne koszmary nie pozwalają mi spać: moja córka rodzi dziecko pośród ceramicznych krasnali. Bardzo cierpi. Nad nią latają krwiożercze łabędzie i syreny. Budzi mnie dźwięk telefonu.

— Czekamy na ciebie! Pokaż nam wszystkim, że ci nie odbiło i że nie zadzierasz nosa! Ubieraj się i przyjeżdżaj! — moja siostra prawie krzyczy.

— Która godzina? — j ę c z ę .

— Dziesiąta czterdzieści trzy!

Biorę prysznic. Karoliny nie ma. Zostawiła kartkę: POJECHALIŚMY OGARNAĆ WSZYSTKO PO REMONCIE. ODEZWE SIĘ.

Jadąc do Zośki, próbuję się zrelaksować. W końcu zbliża się lato, a ja nie pomyślałam jeszcze o urlopie. Czy mogę w ogóle gdzieś wyjechać? Zostawić moje jedyne dziecko w takiej sytuacji? Mała egoistka we mnie szepce: przecież ona jest dorosła i ma Bruna, dobrze się czuje, dlaczego miałabyś nie wyskoczyć gdzieś chociaż na tydzień? Marzę o plaży, czystym piasku i drinkach przy basenie. Jest tyle pięknych miejsc na świecie...

— Wchodź! Wchodź! — Zośka przytula mnie. — Dobrze, że przyjechałaś z psami. Xenia się nimi zajmie. Wszyscy są na werandzie.

— Jak wyglądam? — pytam szeptem.

— Fatalnie — moja siostra przygląda mi się uważnie. — Wszyscy są na luzie, w dżinsach. A ty co? Garsonka! Co to ma być?

— Ale pod spodem mam T-shirt.

— To świetnie, bo jest upał! Może jeszcze tego nie poczułaś przez klimę w samochodzie?

— Poczułam — wzdycham. — Chce mi się pić.

Poprawiam włosy i idziemy na werandę. Tomek wciska mi do ręki kufel lodowatego piwa.

— Bezalkoholowe! Wiem, że przyjechałaś samochodem.

Jest tłoczno, pachnie grillem i świeżo skoszoną trawą.

— Witamy! — Rysiek szarmancko całuje mnie w rękę.

Dostrzegam Renatę. Kilka lat temu spotkałam ją w pociągu do Krakowa. Filigranowa blondynka ze śmieszny zgrzysem. Wygląda jak wiewiórka z kreskówek. Zośka przedstawia mi jeszcze Al-

done, pulchną księgową Tomka, która zachwala potrawy z grilla.

— Ponoć to nieprawda, że grillowane jedzonko jest niezdrowe!

— Jasne, że nieprawda! — Tomek podsuwa mi talerz.

— Rozmawialiśmy o wnukach Renatki — Zosia podsuwa mi kilka zdjęć.

— Śliczne dzieciaczki — Aldona wznosi oczy w zachwycie.

— Przestańcie! — Renata jest zakłopotana. — To wcielone diabły!

— Ktoś przyjechał! — Rysiek pokazuje na bramę.

— To biały citroen, czyli Bożenka! — moja siostra biegnie do furtki.

Widząc moje pytające spojrzenie, Xenia szepce.

— To znajoma taty, którą mama podejrzewa o nieczne zamiary.

— Żartujesz! Dlaczego nic nie powiedziała? Dlaczego ją tutaj zaprasza? — dziwię się.

— Chce mieć całą sytuację pod kontrolą. Jest dla niej niesamowicie miła — Xenia uważnie obserwuje Bożenkę. — O! Widzi ciocia, jak ją przytula!

— Mnie też przytula!

— Ale ciocia to co innego! Ta babka jest realnym zagrożeniem!

— A twój ojciec?

— Wydaje mi się, że jest w porządku, lecz to, co nam się wydaje, nie zawsze musi być prawdą! — nie na darmo Xenia studiuje filozofię.

Zosia i Tomek przedstawiają wszystkim Bożenkę. Zadbana czterdziestolatka, powiedziałałabym — bardzo zadbana. Kasztanowe włosy do ramion. Markowe dzinsy. Dyskretna biżuteria. Opalone ramiona. Nagle pojmuje chytry plan mojej siostry! Rysiek jest sam! No jasne! Bożenka na pewno wpadnie mu w oko. W sumie mogę już wracać. Impreza dla mnie się skończyła!

— Czemu jesteś taka smutna? — Renata podchodzi do mnie z ciastem. — Słyszałam, że także zostaniesz babcia.

— Tak — wzdygam.

— Nie cieszysz się?

- Cieszę się — wzruszam ramionami.
- Wiem, na początku to przerażające. Jeszcze niedawno miałeś dwadzieścia lat, a teraz jesteś babcią. Za jakie grzechy? — Renata uśmiecha się.
- No właśnie! Za jakie? — zastanawiam się. Patrę w dal, las, rzeka. Bycie babcią nadal kojarzy mi się z byciem siwiuteńką starsząską wspartą na lasce. — Czy już wszystko jest za mną?
- Nic się nie kończy, a wiele wspaniałych rzeczy się zaczyna!
- Renata poklepuje mnie po ręce.
- Dziewczyny! Czemu macie takie dziwne miny? — Aldona jest wyraźnie wstawiona. — Życie jest piękne... przepraszam — dyskretnie beka i opada na leżak.
- Jasne, że jest piękne. Czasami — Renata zapala papierosa.
- Cudownie być tu z wami na wagarach.
- Na wagarach? — dziwię się.
- Oczko ci poszło! — moja siostra wskazuje na moją łydkę.
- Nie szkodzi. Sami swoi — Aldona śmieje się. — Patrzcie na mojego męża!
- Pan Jacek, w samych tylko wymiętych bermudach, prezentuje Tomkowi i Ryśkowi swoje wątki mięśnie. Bożenka chichocze dyskretnie.
- Nie mogę! Biegnę po aparat! — Zosia zrywa się z koca.
- Jesteście zupełnie niepodobne — Renata przygląda się mi uważnie.
- Wiem. Jestem ładniejsza! — śmieję się, widząc jej minę.
- Zazdroszczę ci. Masz fascynującą pracę. Awansowałeś. Wiesz, o co ci w życiu chodzi!
- Wiem? Chyba nie do końca!
- Nie żartuj! Renata patrzy na mnie zdumiona. — Nie wiem, czy chciałabyś się ze mną zamienić!
- Dlaczego? — pytam.
- Dlaczego? — Aldona nachyla się w naszą stronę.
- Wstaję o piątej trzydziści — zaczyna Renata.
- Ja o siódmej! — wtrącam.
- A ja o szóstej — księgowa Tomka podnosi palec do góry.
- J a k cudownie wstać skoro świt!
- Biegnę do łazienki, błyskawicznie biorę prysznic, robię śnia-

danie dla męża i synów... — ciągnie swoją opowieść Renata.

— Nie mogą sami zrobić? — pytam.

— Zostawiają straszny bałagan: chlapią, wysypują, nie odkładają niczego na miejsce. Wolę to wziąć na siebie!

— A ile mają lat? — Aldona jest dociekliwa.

— Jarek siedemnaście, a Marek dwadzieścia.

— No proszę — odzywam się chyba niepotrzebnie.

— Co „proszę”? Są bardzo zajęci. Jarek za rok ma maturę, no i korepetycje, kursy, a Marek studiuje i pracuje!

— To się chwali! — Aldona ziewa.

— Doszłaś do śniadania! Co dalej? — dopytuję się.

— Jadę do córki. Do Krysi. Mieszka na drugim końcu miasta, prawie pod Piasecznem. A ja na Bielanych. To kawał drogi. Gdy wreszcie dojadę, ubieram bliźniaczki i prowadzę do przedszkola.

— A twoja córka nie może? — Aldona poprawia okulary przeciwsłoneczne.

— Nie może. Studiuje i pracuje.

— A jej mąż? — dobieram się do czipsów, które podsuwa mi Zośka.

— Patryk dojeżdża do pracy do Łodzi. Wychodzi o szóstej rano, a wraca po dwudziestej.

— Boże! Oni wszyscy pracują i studiują! Co za pokolenie! — wzdycham.

— Tak się to wszystko ułożyło, że musiałam zrezygnować z pracy, gdy urodziły się bliźnięta. Mieszkałam z nimi wtedy dwa lata i zajmowałam się maluchami. Patryk przygotowywał się do obrony pracy magisterskiej, a Krysia do matury. Teraz też trochę u nich pomieszkuję. Gdy chłopcy są w przedszkolu, sprzątam, gotuję, robię zakupy.

— Ja nie mogę! — Aldona wznosi oczy do nieba. — Nie stać ich na opłacenie opiekunki? Kiedy ty masz czas na własne życie, kobieto?

— Patryk nie życzy sobie, żeby ktoś obcy kręcił się po ich mieszkaniu.

— Nie możesz być u nich darmową niańką, praczką i sprzątaczką! — księgowa Tomka nie daje za wygraną.

— Patryk zwraca mi pieniądze za bilet miesięczny. Niejestem

na każde ich skinienie! Mam swoje życie! Co drugą niedzielę mam wolną!

— Brawo! Twój zięć ma dobre serce! — wzdycha Aldona.

— Jak oni sobie wtedy radzą? — pytam uprzejmie.

— Mama Patryka przyjeżdża z Otwocka i siedzi z maluchami cały dzień.

— Dlaczego tylko w co drugą niedzielę? — dziwię się.

— Bo jest adwokatem. Ma bardzo odpowiedzialną pracę!

— No tak! Jasne! — Aldona uśmiecha się złośliwie. — To ja wam coś opowiem! Mam pięćdziesiąt dwa lata...

— A nie wyglądasz! — przerywam jej.

— Dzięki, Zuzanna. Mój Jacuś codziennie robi mi śniadanie do łóżka. Taki mąż to skarb! Mam trzech dorosłych synów: Janusz co tydzień robi zakupy i naprawia samochód, Tymek leczy mi zęby, bo jest dentystą, a Michał gotuje pyszne rzeczy i przysyła przez kuriera, bo ma własną restaurację nad Zalewem Zegrzyńskim.

— Cudowne masz życie! — moja siostra udaje podziw. Dobrze ją znam i wiem, że zaraz wsadzi jej jakąś szpilę.

— Renata! Ty się nie gniewaj! Moim zdaniem po prostu za bardzo dajesz się wykorzystywać!

— Nieprawda! — Renia zaciska usta. — To moje życie i mój wybór!

— Nie kłóćcie się, baby, bo to nieładnie! Opowiadając o swoim wspianym życiu, Aldona, chyba o czymś zapomniałaś?

— Zapomniałam?

— A twój mąż? Oprócz tego, że robi ci śniadania do łóżka, to czym się zajmuje?

— Pomaga mi.

— Pracuje gdzieś? — Renata chyba zaczyna się domyślać, o co chodzi.

— No nie, ale...

— Od dziewięciu lat go utrzymujesz, ale to jest twoje życie i twój wybór, prawda? — Zośka się śmieje. — Napijemy się pysznej herbaty na zgodę?

Renata kiwa głową. Wyraźnie poprawił się jej humor. Bożenka zajęta jest kokietowaniem Ryśka. Biedaczka, potrzebuje jego po-

mocy nawet przy rozkładaniu leżaka i otwieraniu puszkii coca-coli.

— Podoba ci się? — Aldona grozi mi palcem.

— Kto? — robię głupią minę.

— Jak to kto? Rysiek! Nasz weterynarz! Postawił na nogi mojego persa!

— Przecież widzę, że nie mam szans — ziewam.

— Jesteś sama? Nie masz nikogo? — Renata jest wyraźnie zdumiona.

— No nie mam. To znaczy teraz.

— A ja myślałam, że taka kobieta, jak ty, nie może opędzić się od facetów! — zamyśla się.

— Taka kobieta, jak ja?

— Kobieta sukcesu! No nie bądź taka skromna — Aldona kręci głową.

— Widocznie mój sukces ich odstrasza — wzruszam ramionami.

Zastanawiam się, dlaczego Renata przyjechała sama. Bez męża. Oddycham głęboko. W porównaniu z nimi to ja mam rajskie życie! Nikogo nie muszę utrzymywać i całodobowe nianczenie dzieci też chyba mi nie grozi!

## **Poniedziałek**

Hanki znowu nie ma w pracy. Nie dzwoni. Nikt nie wie, co się z nią dzieje. Jej komórka milczy. Telefon stacjonarny także. Wypytuję Marysię, ale ona też jest w szoku. Nic nie słyszała. Nic nie wie.

O dziewiątej rano wsiadam w samochód i jadę do jej mieszkania. Parkuję pod starą kamienicą w centrum Warszawy. Byłam tu parę razy i zupełnie nie pojmuję umiłowania Hanki do tego miejsca: zasikana brama, skrzypiące schody, odrapane ściany. Koszmar.

Wspinam się na czwarte piętro. Pod jej drzwiami dostaję zadyszki. Dzwonię. Cisza. Dzwonię jeszcze raz. I jeszcze. Wiem, że moja przyjaciółka mieszka sama. Jest chora. Zaczynam denerwować się coraz bardziej.



Nagle drzwi się otwierają.

— No włącz.

— No włącz? Tylko tyle?

Hanka ma na sobie T-shirt ze spranym napisem: „Iniemamocni” i granatowe dżinsy.

— Co się z tobą dzieje? Nie odpowiadasz na telefony. Nie przyszedłeś do pracy! Co się stało? — prawie krzyczę.

— Cicho! Cicho! — syczy Hanka i wskazuje mi krzesło. Mebli u niej jak na lekarstwo.

— Wytłumaczysz mi wreszcie, co jest grane?

— Wytłumaczę. Wytłumaczenie leży na stole — mówi Hanka i patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

— Ale na stole nic nie leży! Tylko jakaś zmięta gazeta i widelec! — wściekam się.

— Właśnie! Gazeta!

— Gazeta? — biorę do ręki. — Czytasz tego szmatławca? — oglądam w niemym zdumieniu brukowy dziennik naszej konkurencji.

— Czwarta strona! — wzdycha Hanka.

— Czwarta strona? — długo wpatruję się w zamieszczony tam artykuł: ZNANA DZIENNIKARKA WALCZY ZE ŚMIERTELNĄ CHOROBA!

— Co to jest? — nie mogę dojść do siebie.

— Też zadałam sobie to pytanie, nikomu nie mówiłam o chorobie, oprócz ciebie, ale nie sądzę, żebyś sprzedawała cokolwiek konkurencji — jej głos się załamuje. — Wszystko przekreścili, napisali: „niepewne rokowania, walczy o życie!” Po co oni to zamieścili? Kogo, do cholery, interesuje moje życie?

— Możesz ich pozwać — siadam na krześle, ponieważ robi mi się słabo.

— Piszą, że nie mam siły pracować, że wiele znanych osób odetchnęło z ulgą, bo bały się moich złośliwych artykułów, bla, bla, bla.. Jednym słowem, cudowna wiadomość, bo mnie już prawie nie ma!

— Ale narobiłaś sobie wrogów! — patrzę na nią z podziwem. — Ale przecież możesz im udowodnić, że to nieprawda! Wróć do pracy! Walcz! Nie zostawiaj tego tak!

Hanka zaczyna płakać. Pierwszy raz widzę ją w takim stanie, a znam ją wiele lat.

— Dorwiemy donosiciela! — obejmuję ją. — Olej to! Pokaż im, że jesteś dwa razy silniejsza, niż myśleli!

— Dostałam dziś wyniki badań, także są na stole — Hanka odwraca głowę.

— Ja się na tym nie znam — obracam w dłoniach kartkę z jakimiś skomplikowanymi liczbami i wykresami.

— Nie są dobre — słyszę jej szept.

— Co mówią lekarze? — dopytuję się.

— Daj! Wyrzucę to! Do teraz się trzymałam, ale mam już dość! Po co walczyć? I z kim? Z czym? To nie ma sensu!

— Przede wszystkim z głupimi myślami!

Udaje mi się ją przekonać, aby zadzwoniła do swojego onkologa. Odwożę ją do kliniki. Czekam w samochodzie i zastanawiam się intensywnie, komu mogło zależeć, żeby jej tak dokończyć.

Jest południe, gdy Hanka wreszcie wychodzi.

— No i jak? — pytam niecierpliwie.

— Jestem głodna. Nie jadłam śniadania. Mam ochotę się upić! — wzdycha.

— Nie pozwalam. Tu blisko jest vegetariański barek. Co ty na to?

— Może być — Hanka ociera oczy.

— No mów! Co powiedział ci lekarz?

— Jeszcze jedna operacja.

— Operacja? No i dobrze! Świetnie, że chcą operować — próbuję ją pocieszać, gdy jemy smutny lunch.

Wracam do redakcji późnym popołudniem. Z Hanką! Chce pracować! Nie chce siedzieć w domu! Dzielną dziewczyna!

— Wydarzyło się coś? — pytam Jarka, który zżywieniem konferuje z Damianem.

— Mamy niezłego newsa. Ten piosenkarz, no ten, co tak chrypi: Walczyk czy Wilczek afiszuje się z kochanką, a jego żona spodziewa się dziecka!

— Super! Biorę to! — Hanka błyskawicznie uruchamia komputer.

Dzwonię do Karoliny. Moja córka jest wyraźnie nie w humorze.

— Mamuś! Nie teraz! Wybieramy meble!

Uświadamiam sobie, że Marcin nie dzwonił od kilku dni. No tak! Odzyskał parasol, to po co ma dzwonić?

## Wtorek

Wystarczyło kilka telefonów i już wiem, kto sprzedał newsa o chorobie Hanki! Nie mogę w to uwierzyć! Wzywam Marysię. Moja sekretarka ma dziś na sobie pomarańczowy żakiecik ozdobiony czerwoną różą z koronki. Włosy zaplotła w warkocz a la Tymoszenko. Jej kolczyki mają dziś kształt misternych globusików. Minispódniczka ledwie zakrywa uda. Kolor khaki. Czarne rajstopy ze złotymi różyczkami na kostkach (Popieram! Wyszczuplają!). Fioletowe espadryle.

— Tak? Słucham? Kawa niesmaczna? — pyta.

— Nie. Kawa dobra. Co u ciebie słychać?

— Ach! Stara bieda!

— Jarek już jest? — pytam, bawiąc się długopisem.

— A jest! Zawsze przychodzi przed panią!

— Poproś go do mnie!

— Oczywiście.

Po pięciu minutach Jarek puka do moich drzwi. Wymieniamy uprzejmości. (Dobrze wychowany młody człowiek!).

— Wiesz, mam problem — wzdycham.

— Jaki? Mogę w czymś pomóc? — pyta grzecznie.

— Możesz... (zmieniam ton). Chcę cię zwolnić, ale oszczędź mi tego i zwolnij się sam!

Patrzy na mnie osłupiałym wzrokiem. Widzę, że lewa powieka mu drży.

— Czy ja coś zrobiłem? Coś nie tak?

— Ty się jeszcze pytasz! — mój głos chyba przebija ściany. Wyobrażam sobie, jak Marysia ścisza radio, bierze szklankę i przystawia ją do drzwi. Nachyla się nad nią i słyszy każde słowo.

— Od kilku miesięcy cały nasz zespół zastanawia się, jak to

się dzieje, że koledzy z pewnej brukowej gazetki mają dokładnie te same newsy, co my! I drukują je przed nami!

— Rzeczywiście o . . . — J a r e k jąka się.

— Coś jeszcze bardziej zdumiewającego zdarzyło się pod koniec zeszłego tygodnia. Pewna początkująca aktorka Agnieszka M. podczas występu teatralnego w drugoplanowej roli w *Królu Lirze* po prostu zapomniała swojej kwestii. Zdarzyło się to na jednej z najbardziej prestiżowych scen w Warszawie. Sufler nie pomógł! Dziewczyna zamiast zejść ze sceny, stała jak słup soli. Jej partner w roli Ojca próbował ją ratować, szeptał, dawał znaki, syczał. Wreszcie, ku ucieście publiczności, zepchnął ją ze sceny. No i wiedziałoby o tym nie więcej niż dwieście osób, gdyby nie pewna pani pracująca w szatni — Genowefa Z., która od kilku lat „przyjaźni” się ze znaną dziennikarką z naszej redakcji. Swoją drogą to cudowna kobieta — sprzedała nam niegdyś smakowitą informację, że na próbach młodego reżysera alkohol leje się strumieniami.

Jarek nie przerywa mi. Robi się zielony, potem purpurowy.

— Następnego dnia na pierwszej stronie naszej gazety ukazał się ciekawy artykuł pod tytułem: SKANDAL W TEATRZE! FATALNY DEBIUT AGNIESZKI M. — PUBLICZNOŚĆ ZBULWERSOWANA! KTO DAŁ JEJ TYTUŁ MAGISTRA SZTUKI? Czytałeś to?

— Czytałem — J a r e k unika mojego wzroku.

— Napisała to wszystko Hanka. Wiedziałeś o tym, prawda?

— Tak wiedziałem.

— A skąd, do cholery, wiedziałeś, że jest chora na raka? Kto ci sprzedał tego newsa? Nic nie wiesz o etyce zawodowej, o solidarności! Dziennikarz dziennikarzowi nie podkłada takiej świni!

— Nie wiem, o czym pani mówi...

— Daruj sobie. Wiem wszystko — warczę. — Widziano cię z Agnieszką w kilku klubach. Nie mogłeś znieść tego, że Hanka obsmarowała twoją nową dziewczynę? Tak się zakochałeś, że straciłeś poczucie przyzwoitości!

— Przyzwoitości? — Jarek chrząka. — Proszę nie mówić o przyzwoitości! Hanka napisała same bzdury! Połowa z tego była wyszana z palca. To bardzo zaszkodziło karierze Agnieszki.

— Twojej karierze także. Mamy podwójnego agenta, tak? Ile

informacji jeszcze sprzedałaś?

Jarek milczy i obserwuje mój piękny dywan.

— Rozstaniemy się za porozumieniem stron, chyba że chcesz dostać wilczy bilet? — syczę.

Po jego wyjściu długo dochodzę do siebie. Marysia przynosi mi wodę. Widzę po jej minie, że wszystko słyszała.

— No i co ty na to? Domyślałaś się?

— O kurczę, no nie! — moja sekretarka wzdycha. — On mi nie wyglądał na takiego!

— Żadna krzywda mu się nie stanie. Konkurencja go przyjmie. Albo i nie. Może uznają, że jest spalony?

Środa

W południe telefon od Marcina.

— Zjesz ze mną lunch?

— Teraz? Zaraz?

— Jasne. Nie jesteś głodna?

— No jestem.

Poprawiam makijaż. Marcin sprawia wrażenie trochę zdenerwowanego.

— Jak leci? Co u twojego byłego? — podsuwa mi krzesło.

— Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Czemu pytasz?

— Fajny gość. Wiesz, jestem zmęczony.

— Pracą czy romansem?

— O? Jesteś złośliwa! — uśmiecha się lekko. A uśmiech ma zabójczy. W ogóle jego wygląd, strój, są perfekcyjne.

— Romans, niestety, się skończył — Marcin zamyśla się.

— Dlaczego? — nadstawiam uszu.

— Patrycja była zazdrosna o moją żonę!

— Fatalnie! Zaborcza i zazdrosna?

— No właśnie. Nienawidzę tego — to koszmar każdego mężczyzny. Te pytania: gdzie byłeś? Z kim? Dlaczego się spóźniłeś? Co robiłeś? Czy jeszcze mnie kochasz? A jeśli tak, to czy mniej, czy tak samo, czy bardziej? I jaka odpowiedź jest prawidłowa?

— Nie wiem — kręcę głową.

— Żadna! Jeżeli powiem, że mniej, no to wiadomo! Dramat! Jeżeli powiem, że tak samo, to ona powie: jak to, przecież znamy się coraz lepiej i twoja miłość do mnie powinna się pogłębiać, a jeżeli powiem, że bardziej, to stwierdzi, że coś kręcę, bo wcześniej zapewniałem ją, że moje uczucie jest przeogromne i nie można kochać bardziej! Kobięca logika!

— Pogubiłam się — wzdycham. — Patrycja była tak dociekliwa?

— Niestety. W końcu wytłumaczyliśmy sobie, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni i wróciła do męża.

— O? Miała męża? — uprzejmie dziwię się przy deserze.

— Miała. Żałosny yuppie. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Spieszysz się? Zajmę ci tylko chwilę, otóż moja żona... —

Marcin poważnieje.

— Kasia?

— Tak. Zmieniła się.

— To znaczy?

— Przestała mnie śledzić, wypytywać, zobojętniała, stała się milcząca. Nie poznaję jej!

— To chyba dobrze? Przecież nie lubiłeś, gdy była podejrzliwa i zazdrosna?

— Sam nie wiem. Jestem trochę zdezorientowany. Od kilku dni, a może od tygodnia, nie pyta, gdzie byłem, z kim, dlaczego, jak długo.

— Nie wiem, co ci poradzić — wzruszam ramionami.

— Jesteś kobietą. Co to może oznaczać? Jakaś nowa taktyka?

Analizujemy ponad godzinę zachowanie jego żony. Marcin jest wyraźnie zdezorientowany. Pierwszy raz od bardzo dawna jego Kasia tak go intryguje!

## **Czwartek**

Cała redakcja plotkuje o wyrzuceniu Jarka. Jestem tajemnicza i niczego nie komentuję. Hanka jest na zwolnieniu. Dzwonię do niej przed lunchem.

- Jak leci? Może wpaść do ciebie?
- Dzięki. Dam sobie radę. Jest mój brat.
- Brat?

Kiedyś wspominała mi o nim. Młodszy brat. Podobno zapalony alpinista i nurek.

- Możesz na niego liczyć?
- Teraz tak. Kiedyś bywało różnie.
- Świetnie, że on jest z tobą!
- Przyjechał z Poznania. Wciąż mnie rozśmiesza. Mówi, że szuka żony. Może chcesz go poznać?

— Jakieś bliższe dane?

— Kawaler. Lat czterdzieści siedem. Wzrost bardzo wysoki i totalny wariat. Hobby: góry, morze, jeziora. Nie polecam nikomu! Zwłaszcza tobie! Marny kandydat na męża! Straszny babiarnik! Żadna nie wytrzymała z nim dłużej. Pogardza mną — śmieje się.

— Pogardza?

— Tak. Mówi, że moja praca jest nic niewarta. Dziwi się, że płacą mi za to. Twierdzi, że takie gazety nadają się tylko do wyściełania kubła na śmieci. Uważa, że nie mam szacunku dla ludzi. Szczery aż do bólu! Ale to mój młodszy braciszek! Nieznośny jak zawsze! Muszę kończyć, bo podsłuchuje!

Hanka zaprasza mnie na kolację w sobotę. W poniedziałek ma wyznaczoną kolejną operację. Chce mi się płakać.

Dzwoni Marek. Mój były mąż oczywiście nie ma wyczucia.

- Możesz rozmawiać? — dopytuje się.
- Mogę. Co się dzieje? — wzdycham.
- Jak Karola?
- Super. Urządza się. Nie widziałam się z nią w tym tygodniu.
- Ja też nie. Zalatany byłem.
- Jak twoja ukochana?
- Właśnie po to dzwonię.
- To znaczy, po co?
- Po radę!

No nie! Czy ja jestem darmowym psychoterapeutą? Czy ja się znam na wszystkim?

— Myślisz, że ci pomogę? — mam ochotę dodać „znowu?”

— Chociaż spróbuj. Proszę, pani mojego życia wyznała mi wczoraj, że ma męża. I dziecko!

— No to sprawa się komplikuje!

— Tak! Bardzo! Ja nie chcę krótkiego romansu! Chcę, żebyśmy byli ze sobą cały czas, a nie widywali się tylko parę godzin w tygodniu!

— Szybko się to potoczyło! — przerywam mu.

— Bardzo. Myślę, że to miłość mojego życia!

— Szkoda, że nie ja byłam tą miłością! — stwierdzam z goryczą.

— Zuzanna! Przepraszam! Zrozum mnie! Zwariowałem na jej punkcie!

— A ona?

— Mówi, że potrzebuje czasu!

— To daj jej trochę czasu!

Wszyscy każą mi rozwiązywać problemy. Nie moje problemy! Zwariuję.

Wieczorna wizyta u psychoterapeuty ma dać mi ukojenie.

— Czuję się przytłoczona cudzymi kłopotami! Swoimi też!  
— Adam podaje mi szklankę wody, a ja żalę się dalej. — Dlaczego mężczyźni wolą romansować z kobietami zajętymi, mężatkami? Czy zakazany owoc lepiej smakuje? Niech mi pan doktor powie, jako mężczyzna?

— Nie mogę wypowiadać się w imieniu wszystkich reprezentantów mojego gatunku. To, co ja myślę, nie ma tu znaczenia.

— Ale ja jestem wolna i nikt się mną nie interesuje! Nie jestem zakazanym owocem?

— Zaraz, zaraz... nie nadążam.

Opowiadam mu o Marcinie i Marku.

— Ten mężczyzna wciąż cię fascynuje. Dawne zauroczenie sprzed lat?

— Może trochę, to za dużo powiedziane.

— Marcin ma żonę. Także może być dla ciebie pociągający jako zakazany owoc, niespełniona miłość, nieosiągalny cel...

Robi mi wodę z mózgu. Sama już nie wiem, czego pragnę. Wracam do domu objuczona torbami: zapas kosmetyków, wytrawne wino, owoce morza. Tego pani Tosia mi nie kupi, a ja muszę mieć!



Zastaję moją córkę w kuchni. Zapłakaną. Pocieszają ją przyjaciółki: Zula — anorektyczka, rudowłosa modelka i Biba — naczelnia pisma, tak jak ja, lecz jest to wydawnictwo alternatywne, niszowe i trochę gejowskie.

Biba jest nieduża, pulchna i niemiłosiernie rozczochrana. Po-tem okazuje się to specjalnie stylizowaną fryzurą stworzoną przez najmodniejszą hairdresserkę w stolicy — Dżambłę. Dziewczyna ma na sobie zielone sztruksowe spodnie rybaczkki i ogromną białą bluzę z kapturem. Na gołych nogach czerwone pepegi. Srebrne sznurowadła. Kolczyk w języku, zgolone brwi.

Zula jest od niej około trzydzięści centymetrów wyższa i o około dwadzieścia kilogramów chudsza. Koścista piękność z wydatnym nosem i włosami do pasa. Zero makijażu. Kolczyk w pępku.

— Co się stało? Dlaczego płaczesz? Coś z ciążą? — pytam Karolinę przerażona.

— Fajnie, że pani przyszła — wita mnie Biba. — Te psy są paskudne! Chciały mnie ugryźć w łydkę!

— Nic mi nie jest! — moja córka dobiera się do sernika pani Tosi. — Bruno mnie wkurzył po prostu!

— Co zrobił? — dopytuję się, rozpakowując zakupy.

— O! Winko! Fajnie! — Biba zagląda mi przez ramię.

— Upiera się, że powinniśmy teraz wziąć ślub! Rozumiesz! Teraz! Ja mam z brzuchem iść do ołtarza!

— Chcecie wziąć ślub kościelny? — zatyka mnie.

— Ja nie chcę żadnego ślubu! Zwłaszcza teraz!

— Jasne. Śluby nie są teraz w modzie! — śmieje się Biba.

— Może byłoby lepiej dla dziecka? — zastanawiam się.

— To średniowieczne myślenie! Mąż jako lekarstwo na wszystko! Kobieta bez męża jest nic niewarta! A dziecko nieślubne to skandal! — Biba kręci głową.

Nie komentuję tego, ale mam ochotę wyrzucić ją z kuchni.

— Sama nie wiem! Bruno tak się upiera! — Karolina wzdycha.

— Dziewczyny! Zjecie coś? — przerywam jej. Uważam, że nie są to sprawy, które należy roztrząsać w ich towarzystwie.

— Już jadłyśmy — mamrocze Zula, pogryzając kawałek marchewki.

— Ty może jadłaś, ale ja nie! — Biba bezczelnie zagląda do mojej lodówki.

Robimy wspólnie kolację, to znaczy: Karolina chlipie nad sernikiem, Zula popija marchewkę ogromnymi ilościami wody Evian, a Biba kroi chleb, gadając bez przerwy.

— Cały czas ją przekonuję, aby nie przejmowała się opiniami facetów! Trzeba uwolnić się od myślenia: „Co im by się spodobało?” Ważne jest, co tobie się podoba, Karola!

— Nie przekonasz jej. Przecież powiększyła biust, przykleiła sobie sztuczne paznokcie, przedłużyła włosy, wszystko po to, aby bardziej podobać się mężczyznom! — wzdycham.

— Nie mówcie o mnie tak, jakby mnie tutaj nie było! — pochlipuje Karolina, oblizując palce.

— Serwetki są tam! — pokazują jej.

— Przecież widzę. Są takie eleganckie. Po co mam je brudzić? Pewnie kosztowały kupę kasy, a to tylko papier! — zamyśla się.

— Może Bruno chce uchodzić za porządnego faceta i dlatego tak nalega na ślub? — zastanawia się Zula.

— Za rycerza, który ratuje ją z niewygodnej opresji! — Biba wybucha śmiechem.

— Może po prostu ją kocha? — pytam z nadzieją, krojąc pomidora.

— Przeciężny facet kocha tylko siebie, potem długo, długo nic, a potem swoją mamusię! — wymądrza się znowu Biba.

— Typowa z ciebie feministka! — Zula jest znudzona. — Mój Konrad nie jest tak skupiony na sobie, jak kiedyś twierdziłaś! Dobrze go poznałam! Jesteś uprzedzona do facetów! Za łatwo wydajesz sądy o ludziach!

— Dobrze poznałaś Konrada? No tak! Drugi miesiąc znajomości jest zawsze przełomowy! — Biba chichocze.

— A ty masz chłopaka? — pytam ją, nalewając herbatę do filiżanek.

— Biba kocha inaczej — moja córka wybucha śmiechem.

— Eksperymentuję! Szukam! Poznają różnych ludzi.

— Ale jesteś w związku ze swoim Kaziem od dwunastu lat!  
— Karolina nie daje za wygraną.

— Przedszkolna miłość? — pytam uprzejmie.

— Licealna. Dajemy sobie dużo wolności. Kazio jest teraz w Stanach. Gra na bębnach.

Dzwoni komórka Karoli. Podekscytowana wybiega do drugiego pokoju.

— Założę się, że to on! — stwierdza Zula.

— Nadal pracuje pani w tym brukowcu? — pyta mnie Biba, układając kanapki.

— Nadal.

— Czego nie robi się dla kasy!

— A ty pracujesz charytatywnie? — pytam grzecznie.

— Nie. Ale moje pismo ma zasady. Lansuje trendy! Jest potrzebne!

— Jakie trendy? W tym sezonie nosimy tylko srebrne pierścionki na dużym palcu u nogi? Takie trendy? — śmieję się.

— Ależ pani jest cyniczna! Praca w tej szmacie tak panią zmieniła! Moje pismo lansuje sztukę! Nowoczesną! — Biba się zacietrzewia.

— Sztukę nowoczesnego fryzjerstwa? Czytałam ten artykuł o salonie Dżambli. Architekt fryzur! Tak się to nazywa? Przecież ona oszpeca ludzi i bierze za to ponad tysiąc złotych od łebka! — denerwuję się.

— Skąd pani wie, że oszpeca? — koleżanka Karoli podnosi głos.

— Widać to po twoich strasznych loczkach. Pięcioletnie dziecko w stanie upojenia alkoholowego tak by cię właśnie upiększyło! Dawno miałam ci to powiedzieć! — Zula wybucha śmiechem.

— Nie macie pojęcia, jaki Dżambla ma talent!

— Talent do robienia ludzi w konia! — wrzuszam ramionami. Karolina wbiega do kuchni uszczęśliwiona.

— Bruno mnie przeprosił! Powiedział, że szanuje moją decyzję i nic to nie zmienia między nami!

— Wspaniale! No to zabieramy się do jedzenia! — cieszę się.

— Nie jestem głodna — Zula odwraca wzrok od tacy pełnej kanapek.

— A ja wprost przeciwnie! — Karola nakłada sobie cztery.

## Piątek

Wczorajsza kolacja zakończyła się o pierwszej w nocy. Moja córka kłóciła się z Bibą o teksty swoich piosenek. Wiem, że one się lubią, ale przyjaciółka Karoli nie afiszuje się z tą znajomością, bo jej zdaniem to, co prezentuje moja córka w telewizji, to „dno”. Poleciła jej kilku niezależnych młodych poetów, którzy mogliby napisać jej teksty piosenek, ale Karolina nie była zainteresowana.

Jest dziesiąta i tak naprawdę dopiero zaczynam dzień pracy. Muszę wybrać nowego zastępcę. Zastępczynię? Redakcja aż hu-czy od plotek na ten temat.

— Obstawiają zakłady! — wyznaje mi Marysia, podając zieloną herbatę.

— Kogo typują? — udaję obojętność.

— Hanke albo Damiana.

Zamyślam się. Moja przyjaciółka nigdy nie była zainteresowana władzą, co dawała mi do zrozumienia wiele razy. A Damian? Ostry, szybki, bystry, ale często wręcz chamski.

Delektuję się pączkami z cukierni Rowińskiego, które często przynosi moja sekretarka. Telefony dzwonią jak szalone. W przerwie na lunch czytam SMS-y.

— CIĄGLE MAM OCHOTĘ NA SOK Z OGÓRKÓW. CZY TO NORMALNE? — to Karolina.

— KAŚKA CHYBA MA KOGOŚ. ZNIKA WIECZORAMI. ZAMYKA SIĘ Z TELEFONEM W ŁAZIENCIE — to Marcin.

— HAPPY JEST NIEWYRAŻNY. PAN RYSIEK ZBADA GO WIECZOREM — to Xenia.

Jestem w domu o dziewiętnastej. Xenia i Rysiek konferują w przedpokoju.

— Ciociu! On znowu coś zjadł na spacerze i wymiotował cztery razy!

— Witam panią domu! — weterynarz podaje mi rękę z błyskiem w oku.

— Dobry wieczór. Chyba jesteśmy na ty?

— Z wszystkimi jestem na ty! Taki mam charakter!

Jest sympatyczny. Pijemy razem herbatę w salonie. Ciekawe, jak mu się ułożyło z Bożenką? Z moim psem wszystko jest już w porządku.

— Dzwon, gdyby coś było nie tak, ale myślę, że nie będzie takiej potrzeby! — Rysiek podaje mi wizytówkę.

— No tak — mówię i mam ochotę dodać. — Szkoda.

## Sobota

Karolina urządza parapetówkę. Mam jej podrzucić dwa ciasta — arcydzieła stworzone przez panią Tosię. Nie mam zamiaru przeszkadzać młodemu w zabawie, ale ciekawa jestem, jak urządziła swoje mieszkanie.

Jest południe. Muzykę słyszę już, gdy wysiadam z samochodu. Otwiera mi drobny chłopaczek z pomarańczowymi dreadami. Pierwszy raz go widzę.

— A witamy! Witamy! — uśmiecha się do mnie szeroko, prezentując kryształowy tatuaż na zębie.

W przedpokoju straszny tłok. Niektórzy siedzą na podłodze. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Szokują mnie trochę zielone ściany i zdezorientowana docieram do salonu.

Karolina bryluje wśród gości w czerwonych ogrodniczkach i złotym topie. Na głowie ma męski beret w kratę, a na bosych stopach czarne szpilki. W salonie prawie nie ma mebli. Moja córka siedzi na odwróconym koszu na śmieci. Industrialny sprzęt grający zajmuje honorowe miejsce. Na maleńkim szklanym stole królują resztki sushi i spaghetti.

— Kochanie? Czemu siedzisz na koszu od śmieci? Gdzie są krzesła? — pytam ją, wręczając paczkę z ciastem. Karola kończy rozmowę z roześmianą parą gejów i patrzy na mnie z niekłamaną pogardą.

— Mamuś! Jaki kosz na śmieci? Wiesz, ile to kosztowało?

— To? Czyli co? — dziwię się.

— Bruno kupił go na raty. Nazywa się KRZESŁORET!

Widząc moją minę, tłumaczy cierpliwie.

— Można go dostać tylko w jednym sklepie w Warszawie. Każdy egzemplarz jest inny i przypomina coś innego! To skrzyżowanie krzesła z taboretami, czyli KRZESŁORET! Ten wygląda jak kosz, ale są podobne do walizek, pudełek, wanien.

— Który sklep sprzedaje takie rzeczy? — wybałuszam oczy.  
— Do Gallery! Prawdziwy salon mebli nowoczesnych! Bardzo lajfstajlowych! Wybierz się tam koniecznie! Powinnaś być na bieżąco, co jest jazzy w aranżacji wnętrz!

Oglądam sypialnię Karoli. Lustro na suficie i różowe ściany już mnie nie dziwią. Zdumiewa natomiast brak łóżka. Na drewnianej podłodze króluje rzucony niedbale materac, który obsiadło kilkanaście osób.

— Nie pozwól, żeby palili przy tobie! — szepczę jej do ucha, gdy pokazuje mi łazienkę. Fioletowe kafelki i ultranowoczesne jacuzzi wydają mi się całkiem przyjemne. Natomiast brak drzwi, według słów mojej córki, to dowód, że mieszkańcy są wyzwoleni i mogą brać kąpiel na oczach wszystkich.

W kuchni Karolina dumnie pokazuje mi japońskie gadżety.

— To jest rewelacyjna zmywarka, a ta kuchenka ma pięćdziesiąt funkcji. Tu jest opiekacz, wyciskarka i robot. Wszystkie najnowszej generacji!

— Kochanie. Przecież ty w ogóle nie gotujesz! Po co wydałaś tyle pieniędzy? — wzdycham, potrącając niechcący całującą się na blacie kuchennym dziwną parę.

— Mamy kogoś, kto zajmie się dzieckiem, a teraz gotuje i sprząta! — oświadcza triumfalnie Karolina.

— Wynajęłaś gosposię? To wspaniale!

— Teddy! Chodź tutaj! — przedstawia mi chłopaczka z drewnianymi, który otworzył mi drzwi.

— Teddy od tygodnia gotuje u nas i sprząta! Doskonale zna kuchnię fusion, jaką ja preferuję. Świetnie też przyrządza dania wegańskie i wegetariańskie — moja córka klepie go po plecach.

Chłopak posyła mi olśniewający uśmiech.

— Za dużo komplementów! Zepsujesz mnie!

— Idź bawić gości, Teddy! Podaj im ciasto, które przyniosła mama — Karola władczo pokazuje mi salon.

— Naprawdę on u was gotuje i sprząta? — nie mogę dojść do siebie.

— Sprząta także rewelacyjnie. Przychodzi co drugi dzień, na trzy, cztery godziny.

— Skąd go wzięłaś?

— Znajomy znajomych. Polecili go. Wcześniej u nich zajmował się dziećmi i gotował, ale oni przeprowadzają się do Londynu. Teddy ukończył kursy gotowania w Berlinie i szkołę pielęgniarstwa w Łomży. To profesjonalista! Nie martw się, mamuś!

Nie martwię się. To znaczy, tylko udaję. W głębi duszy mam sporo wątpliwości. Ten chłopak jakoś niepoważnie wygląda! Ponoć to mężczyźni są najlepszymi kucharzami. Obserwuję go przez chwilę i widzę, że zachowuje się jak gospodarz pełną gębą. Wygląda nawet elegancko w białym golfie i czarnych dżinsach. Tylko te dredy i kolczyki w brwiach zlikwidowałabym natychmiast.

— Gdzie Bruno? — pytam Karolinę, która pochłania ciasto.

— Pojechał po piwo. Niedługo wróci.

Witam się z Bibą, która podryguje z kilkoma osobami w otwartej szeroko ubikacji.

— Musicie właśnie tutaj tańczyć? A jeżeli ktoś będzie chciał skorzystać? — zwracam im uwagę.

— To niech się nie krępuje! Nam to nie przeszkadza! Wszyscy to robimy, a udajemy, że nas to nie dotyczy! — Biba ubrana jest w wełnianą spódnice do kostek, męską koszulę rozmiar XXL i pomarańczowe kalosze.

— Ma dziś padać? — pytam, przekrzykując muzykę.

— Skąd! Kalosze są jazzy! Dziś mam zjazd, wczoraj grubo było! Muszę wycilować!

— Ale chyba niewygodnie się w nich tańczy? — wzruszam ramionami, udając, że rozumiem, co do mnie mówi.

Opuszczam imprezę po godzinie. Jadę do Hanki. Mam nadzieję, że tłumy gości, kuchnia fusion i ultragłośna muzyka nie zaszkodzą mojej córce i jej maleństwu.

Moja przyjaciółka otwiera mi drzwi w świetnym humorze. Zastanawiam się, czy to tylko poza, czy też jej brat ma jakiś cudowny dar?

Po chwili rozmowy z nim przekonuję się, że chyba to drugie. Bogdan jest tak po męsku przystojny, że na chwilę tracę głowę. Ubrany na luzie, ale starannie, smaży naleśniki w kuchni.

— Od lat mieszka sam, więc rewelacyjnie gotuje — śmieje się Hanka.

— Podobno mężczyźni to najlepsi kucharze! — wymądrzam

się i zastanawiam, dlaczego stać mnie tylko na slogany.

Bogdan odkrzykuje z kuchni:

— Ladies! Za sekundę będzie gotowe! Bardzo proszę o wyrozumiałość!

— Uważaj na niego! Już kilkanaście całkiem fajnych babek dało się nabrać na jego dowcip i kawalerską kuchnię! — wzdycha Hanka.

— Kawaleryjską! — prostuje Bogdan. — Wszystko słyszę! Kawaleryjską, czyli z fantazją! Sądzę, że mam też inne zalety. Na przykład urodę! Wzrost! Głos!

Parskam śmiechem.

— Umiesz śpiewać?

— Jak nikt! — Bogdan chrząka.

— Nie! Błagam! — j e g o siostra udaje, że zatyka uszy.

— Szumią jodły na gór szczycie... — zaczyna niezłym barytonem.

— Leć do kuchni, bo coś się przypala! — Hanka wypycha go z pokoju.

— Nie pamiętam, jak to leci dalej... No dobrze! Najpierw poznajcie mój talent kulinarny!

Poznajemy. To znaczy, ja poznaję, bo moja przyjaciółka już zna. Gdy Hanka znika w łazience, jego twarz poważnieje. Chwyta mnie za rękę.

— Dziękuję, że wyciągnęłaś ją z depresji! Wiem, że nie jest dobrze i ona to wie, ale nabrała nowych sił do walki z chorobą!

— Nie dziękuj mi. Nic nie zrobiłam — mówię, tłumiąc łzy.

— Ja wiem swoje. Załamała się po śmierci męża i tylko praca trzymała ją przy życiu. Gdy nie będzie mogła pracować, to będzie dla niej cios...

Znowu we troje udajemy beztroskę. Bogdan przegląda płyty.

— Czego chcecie posłuchać?

— Nie ma tego zbyt wiele — Hanka wzrusza ramionami.

Jej brat wybiera rytmy latynoskie.

— Wiecie, że jedna z moich narzeczonych nauczyła mnie tańczyć czacze? Rumby i samby także próbowałem.



## Niedziela

— Jak się ma Happy? — telefon od Ryśka budzi mnie już o dziewiątej rano.

— Świetnie. Daję mu leki. Ukrywam w jedzeniu i jakoś daje się nabrać. Raz rozgryzł tabletkę i okropnie się krzywił. Miałam zadzwonić, tylko gdyby mu się pogorszyło — j a k a m się zachrypniętym głosem.

— A ja dzwonię, żeby się upewnić, że mu się polepszyło! Wpadnę za trzy dni i zbadam go, bo być może zmniejszymy dawkę leku. OK?

— OK — odpowiadam. Nie ma jak rozmowa z profesjonalistą.

Po śniadaniu dzwonię do Zosi. Oczywiście obgadujemy naszego pana weterynarza. Opowiadam jej o wszystkim, co zdarzyło się w minionym tygodniu.

— Strasznie współczuję tej twojej koleżance. Przecież ona nie ma nikogo! Ani męża! Ani dzieci! — moja siostra wzdycha głęboko.

— Ale ma świetnego brata! — rozmarzam się.

— Uważaj! Sama mówiłaś, że ona cię przed nim ostrzegała! Facet, który ma czterdzieści siedem lat i jeszcze się nie ożenił, to ciężki przypadek!

— Jaki przypadek? Podobno miał kilka narzeczonych.

— No właśnie! I żadnej nie potraktował poważnie! Na pewno zdziwaczał! Te podróże! Może to buddysta albo muzułmanin?

— Nic o tym nie wiem! Daj spokój! Ma po prostu swoje pasje. To chyba dobrze! — bronię go.

— Pasjonat, mówisz? Egoista i samolub!

— Bez przesady! Opiekuje się chorą siostrą!

— To jego moralny obowiązek! Każdy przyzwoity człowiek tak by postąpił! — syczy moja siostra.

— Więc jednak jest przyzwoity? — śmieję się.

— Nie łap mnie za słowa!

Umawiamy się na popołudnie. Kawa na Starym Mieście. Koncert jazzowy w plenerze. Znowu będziemy gadać bez końca. Zośka często bywa złośliwa, zgryźliwa, ale jak twierdzi, tylko po to,

aby trzymać mnie „w pionie”.

— Myślałaś już o urlopie? — pyta mnie, gdy znajdujemy wreszcie stolik z dala od hałaśliwych kolonistów.

— Nic nie wymyśliłam — wzdycham, sącząc sok pomidorowy z lodem. Idealny na upał.

— Jedźmy gdzieś razem! — Zośka dopija swoją kawę. — Zapomnijmy o problemach, kłopotach, wariactwach!

— Razem? To znaczy ty, Tomek i ja? — upewniam się.

— Nie. To znaczy ja i ty.

— Nie boisz się zostawić Tomka?

— Mój Boże! Gdybym nie mogła zostawić go na tydzień samego, jaki sens miałyby ten związek?

— Tylko na tydzień? — j e s t e m rozczarowana.

— Przecież nie wyrwiesz się na dłużej! Znam cię!

Omawiamy konkrety. Obie jesteśmy podekscytowane jak nastolatki. Widziałam już Paryż, Londyn i Wyspy Kanaryjskie, a Zośka z mężem i Xenią zjeżdżała całe Włochy i Chorwację. Natomiast nigdy nie byliśmy w Grecji! Wspaniale! Niech żyje Kreta!

## **Poniedziałek**

News dnia. Znany polityk spowodował wypadek w centrum Warszawy. Trzy osoby ranne. Pan poseł miał dwa i siedem dzieciętych promila...

— Ja się tym zajmę! — Damian zrywa się z krzesła.

— Pozostałe tematy? — pytam i cały zespół redakcyjny zastęga w napięciu.

— Czekam na coś, co wszystkich powali! Mówiłam, interesuje nas wszystko, co fascynuje przeciętnego Kowalskiego! — podnoszę głos.

— Sex, drugs and rock and roll! — śmieje się Tymon. Jest u nas dopiero od dwóch miesięcy, ale radzi sobie świetnie. To niski brzydal ukrywający swoją twarz za gęstą, czarną brodą. Dziś wystroił się w koszulkę z napisem: I AM ŚWIR!

— Przepraszam... przeciętny Kowalski fascynuje się także bardziej przyziemnymi sprawami — odzywa się nieśmiało Natalia,

drobna studentka, która jest u nas na stażu.

— Czyli, przepraszam, czym? — Damian patrzy na nią przenikliwym wzrokiem.

— Czyli na przykład gdzie i za ile spędzić urlop — mówi cicho Natalia.

— Świetny pomysł! — zgadzam się.

Dziewczyna natychmiast prostuje się na krześle.

— Napiszmy o tym, jak i gdzie spędzić wakacje za 10, 100, 1000 i 10 000 złotych! — proponuje.

— Za 10 złotych? Odbiło ci! — Tymon puka się w głowę.

— Udowodnię ci, że nie! — Natalia jest coraz bardziej pewna siebie.

W przerwie na lunch wysyłam Marysię po katalogi biur podróży. Kilka z nich mieści się w naszym budynku. Moja sekretarka posłusznie biegnie po torebkę. Jest dziś wystrojona na różowo (ulubiony kolor lalek Barbie!): sweterek z białym słoniem na pierśsiach, spodnie dzwony prasowane w kant, lakierowane mokasy, ozdobna przepaska na włosach. Jedyne kolczyki to złote, imponujące motyle, a torebka jest dla odmiany srebrna i w kształcie serca.

— Jaką masz ładną torebkę, Marysiu — staram się być miła.

— O! Dziękuję! Kupiłam tu niedaleko w lumpeksie. Tam są rewelacyjne rzeczy! Mogę panią zaprowadzić!

— Innym razem — wykręcam się.

Nie mówię jej, że nienawidzę ciucholandów, dziadeksów i to nie z tego powodu, że stać mnie teraz na drogie ubrania.

Kiedyś, gdy byłam marnie opłacaną dziennikarką i utrzymywałam jeszcze Karolinę, także omijałam tego typu sklepy szerokim łukiem. Ogarniało mnie obrzydzenie na myśl, że ktoś inny miał te ciuchy na sobie i pocił się w nich. Miałam wrażenie, że one, mimo że prane wiele razy, przesiąknęły odorem jakiegoś ciała. Dobry psycholog na pewno bezbłędnie zinterpretowałby moją fobię.

Znowu jem lunch z Marcinem. Wygląda na przygnębionego. Postarzał się jakby trochę. Czy przybyło mu siwych włosów? A może to złudzenie optyczne.

W milczeniu delektujemy się pyszną pieczarkową.

- Co się stało? Zawsze miałeś tyle do powiedzenia... — pytam.
- Nie chcę się zanudzać moimi problemami.
- Nie zanudzasz — przekonuję go, bo aż mnie skręca, żeby dowiedzieć się, co słyhać w jego małżeństwie.
- Jak się czuje facet, który dowiaduje się, że jest zdradzany?
- pyta retorycznie ze wzrokiem wbitym w podłogę.
- Nie wiem, ale pewnie tak samo, jak kobieta, która dowiaduje się, że mąż ją zdradza.
- To nie to samo. U mężczyzny działa coś na kształt instynktu własności: moja żona, moje dziecko, mój dom... Zdradzana żona jest postacią tragiczną, a zdradzany mąż to postać z komedii! — Marcin podnosi głos.
- Ciszej! O czym ty mówisz? Dla wszystkich to jest dramat!
- chwytam go za łokieć.
- Zdradzany mąż to postać z kabaretu! Z farsy! Biedny idiota, który o wszystkim dowiaduje się ostatni! — Marcin zaciska pięści.
- O czym ty mówisz? — kręcę głową, pochłaniając drugie danie.
- O swoim życiu, do cholery! — coraz bardziej zdenerwowany wypija butelkę wody mineralnej.
- Może ci się wydaje? Skąd wiesz, że to się dzieje naprawdę? Może ona chce wzbudzić twoją zazdrość?
- Przyłapałem ją. Udało mi się przejrzeć jej telefon. Odkryłem hasło i przeczytałem wszystkie SMS-y od niego! — widzę dziwny błysk w jego oczach.
- Szpiegowałeś ją? — jest e m zdumiona. Przecież gdy robiła to jego żona, był zniesmaczony i wściekły.
- Mam prawo wiedzieć, czy ktoś próbuje zniszczyć moją rodzinę, prawda? — Marcin jest roztrzęsiony.
- No... niby tak. Co było w tych SMS-ach? Co tam było takiego?
- Wszystko! Najczulsze wyznania miłosne, jakie możesz sobie wyobrazić! Nazywał ją światłem swojego życia, najmiłszą kobietą na ziemi i nieskończoną pięknnością!
- To jakiś poeta? — wycieram usta serwetką. — Nie jesz?

Stek na pewno ci wystygł! Całkowicie!

— Nie mogę jeść! Nie mogę spać!

— Rozmawiałeś z nią o tym?

— Nie. Nie chcę ich spłoszyć. Chcę go namierzyć — Marcin zaciska dłoń, aż bieleją mu palce.

— Po co? Po co ci to?

— Muszę wiedzieć, w czym jest lepszy ode mnie. Miała wszystko, a zaczęła szukać kogoś innego! Co on ma takiego w sobie, czego ja nie mam! — Marcin podnosi głos.

— Chyba nie o to chodzi — wzdygam. — Może twoja żona czuła się niekochana. Może domyśliła się, że ją zdradzasz?

— Tamto jest już dawno skończone. To nie było nic poważnego. Nic, co zagrażałoby mojemu małżeństwu!

Co za podwójna moralność! Jak ja mogłam szaleć za takim facetem! Żałosny macho! Nie dziwię się jego żonie!

— Może chciała się zemścić?

— Za co? — Marcin jest zdumiony. — Co ja jej takiego zrobiłem? Może nie jestem ideałem, ale nie zasłużyłem na takie traktowanie! Namierzę tego drania! Dowiem się, kto to jest!

## Wtorek

Popołudnie. Od kilku minut siedzę z Zosią w biurze podróży. Moja siostra jest wybredna, dociekliwa i podejrzliwa. Uważnie studiuje katalog.

— Dlaczego ten hotel ma trzy gwiazdki, skoro do plaży jest aż półtora kilometra? — pyta przemiłą panienkę w białej bluzce i granatowej spódnicy.

— To jest tylko półtora kilometra! Przyjemny spacer i już jesteście panie na miejscu!

— Piszecie półtora kilometra, a potem okazuje się, że to są cztery! Ja już to przerabiałam! — Zośka nie daje za wygraną.

— Ależ proszę pani! Wszystkie nasze informacje są sprawdzone i rzetelne!

— A ten h o t e l ? — wskazuję palcem na ogromne zdjęcie w katalogu. — Ma śliczne wieżyczki.

— O tak! Polecamy go dla rodzin z dziećmi! — panienka prezentuje rząd nienaturalnie długich zębów.

— Rozwrzeszczane tabuny dzieciaków w basenie! O nie! — moja siostra wznosi oczy do nieba.

— Polecałabym paniom hotel Santa Star. Blisko Rhetymnonu i Chanii. Świetna komunikacja i lokalizacja. Przy samej plaży. *All inclusive!*

— Co to znaczy? — przerywa Zośka.

— Trzy pyszne posiłki oraz napoje bezalkoholowe i alkoholowe w cenie!

— Wersja dla żarłoków i nałogowych alkoholików — to komentarz mojej siostry.

— Mnie się podoba — wzdycham. Jestem zauroczona zdjęciami: przytulne pokoje, tarasy z widokiem na fantastyczny basen.

— Te zdjęcia są podretuszowane — syczy Zośka i wyciąga mnie na zewnątrz.

— No dobrze, zastanówmy się jeszcze — mówię, widząc jej minę.

Mój telefon brzęczy w torebce.

— MAM GO! MUSZĘ NATYCHMIAST CIĘ ZOBACZYĆ! MUSISZ MI POMÓC! — to Marcin.

Pokazuję SMS-a Zośce i tłumaczę, o co chodzi.

— Zwariował! Chce go zabić, a sposób morderstwa omówi z tobą! — jest przerażona.

— Uspokój się! Nikt nikogo nie zabije! Marcin nie jest szaleńcem! Jest po prostu zdenerwowany! Sytuacja to usprawiedliwia.

— Ale co to za podchody! — Zośka nie daje za wygraną. — Inny facet po prostu zrobiłby żonie awanturę i kazał wybierać: on albo ja!

Biegnę na spotkanie. Wybrał gigantyczne centrum handlowe. Widzę go przy fontannie. Trzęsą mi się ręce.

— Oni tu są! — krzyczy w moją stronę.

— Kto? Co?

— Przemknęli przed moimi oczami w sklepie z krawatami. Są tutaj cały czas! Ten facet stał tyłem! Trzymali się za ręce! Chodź, bo znikną nam z oczu!

Nie pytam już o nic, tylko biegnę za Marcinem. Potrącamy

ludzi. Wpadamy do elektronicznego megamarketu. Muzyka hu-  
czy z głośników. Wszędzie ogromne telewizory.

— Są tam! — słyszę jego głos.

Tłumy ludzi przepływają wokół nas. Ktoś mnie potrąca i o mało nie przewracam misternej konstrukcji z odkurzaczy i suszarek do włosów. Marcin pokazuje mi gdzieś w oddali atrakcyjną brunetkę niewiarygodnie podobną do Catherine Zety-Jones w filmie *Terminal*. Jest szczupła, ma czarne lśniące włosy do ramion, kremowy płaszcz i skórzaną torebkę — kopertówkę. Uśmiecha się do stojącego obok mężczyzny i wskazuje mu sprzęt grający.

— Nastrojowej muzyczki będą razem słuchać? — syczy Marcin.

Jestem krótkowidzem, ale noszę okulary tylko wtedy, gdy samotnie oglądam telewizję (ewentualnie w kinie czy teatrze, gdy zgaśnie światło). Wyteżam więc mocno wzrok, aby dostrzec, jak wygląda kochanek tak pięknej kobiety. Czy jest przystojniejszy od Marcina? Dziwię się, co ona w nim widzi. Jest od niej sporo starszy, niewysoki, łysiejący.

Nagle zamieram i oczom nie wierzę! Przecież to Marek! Mój były mąż!

## Środa

Budzę się rano skonana. Niewiele pamiętam z poprzedniego wieczoru. No, może tylko tyle, że razem z Marcinem wycofaliśmy się dyskretnie z tego oszałamiającego megamarketu. W milczeniu zjechaliśmy windą do garażu i pojechaliśmy do mnie.

Zrobiłam mu drinka. Zaproponowałam, żeby zostawił samochód w moim garażu i wrócił taksówką. Zgodził się natychmiast. Wypił trzy szklanki whisky w ciągu trzech minut.

— Może to przypadek. Może oni się tylko przyjaźnią? — jąkałam się, nie wierząc tak naprawdę w swoje słowa. Było mi głupio za mojego męża, choć przecież już od dawna nic nas nie łączyło.

— Przyjaźnią? Trzymali się za ręce! Gruchali do siebie! Dzieckiem zajmuje się niania, a ona tymczasem...

- Proszę cię, nie kończ! — dolałam mu whisky.
- Ty patrzysz na to inaczej! To twój były mąż!
- Ale i tak jest mi głupio! — chciało mi się płakać.
- Niepotrzebnie. Musisz jednak coś zrobić!
- Ja? A co ja mogę? — zdziwiłam się.
- Dobrze go znasz. Dowiedz się, o co mu chodzi! Czy to zwykła przygoda... czy on planuje ukraść mi żonę?

Tak wyglądała nasza rozmowa. O pierwszej w nocy, chwając się na nogach, odprowadziłam Marcina do drzwi.

Wracał jeszcze dwa razy. A to nie dojechała taksówka, a to chciał mi powiedzieć, że nadal kocha żonę i musimy ratować ją z rąk „tego typu”, bo na pewno „zawrócił jej w głowie i chce się tylko zabawić jej kosztem”.

Nie mam siły iść do pracy. Nigdy nie brałam zwolnienia, odkąd dostałam awans. A niech to! Po omacku szukam telefonu. Chyba świat się nie zawali, jeżeli wezmę jeden wolny dzień!

— Jestem chora. Tylko dziś. Niech Damian mnie zastąpi — chrypię do słuchawki.

— Oczywiście — głos Marysi jest profesjonalnie opanowany, ale na pewno aż skręca się z ciekawości.

O dziewiątej przychodzi Xenia. Jest zdumiona, że leżę w łóżku, ale bez komentarza przyjmuje wersję o kosmicznej migrenie i zabiera moje psy na spacer.

Dzwonię jeszcze do pani Tosi i daję jej wolne. Żadnego odkurzenia dzisiaj! Lodówkę mam pełną. Zresztą nie chce mi się jeść.

Zapadam w drzemkę. Xenia dyskretnie znika, gdy psy są odsiusiane.

O dwunastej wygrzebuje się z łóżka na dźwięk telefonu.

- Nie byłaś dzisiaj w pracy! — to Zosia.
- Skąd w i e s z ? — j ę c z ę .
- Xenia mi powiedziała. Zaraz u ciebie będę!
- Po co? — protestuję słabo.
- Jeżeli ty nie poszłaś do pracy, to musiało stać się coś strasznego!
- No, może i tak, ale...
- Już do ciebie jadę! Będę za pół godziny!



Drżącymi palcami SMS-uję do Hanki:

— JAK SIĘ CZUJESZ? KIEDY MOŻNA CIĘ ODWIEDZIĆ?

Natychmiast dostaję odpowiedź:

— ŚREDNIO. DZIĘKI. MOŻE W WEEKEND BĘDĘ MIAŁA SIŁY NA GOŚCI.

Robię sobie kawę. Nic nie jem. Snuję się w szlafroku i z okładem na czole.

Zośka jest przerażona.

— Jak ty wyglądasz! Jest prawie druga po południu! Jadłaś coś? Co ci jest? Grypa? Migrena?

Opowiadam jej o odkryciu Marcina. Moja siostra śmieje się, biegając po kuchni.

— Dobrze mu tak! Myślał, że to on w tym związku rozdaje karty! No i proszę! Tylko nie rozumiem, dlaczego ty wtrącasz się do jego małżeństwa?

— Ja nic nie zrobiłam! — bronię się.

— To dobrze — Zośka stawia przede mną kubek zielonej herbaty.

— Ta sprawa mnie także dotyczy! Jeżeli Marek ożeni się z tą kobietą, to będzie ona macochą mojej córki!

— Jaką macochą! — moja siostra puka się w czoło. — Chyba zabrnęłaś za daleko. To nie argentyńska telenowela! Przecież nie wiadomo, czy ich małżeństwo jest już stracone?

— Muszę porozmawiać z Markiem! Muszę! — ruszam na poszukiwania mojego telefonu komórkowego.

— Daj spokój. To jego sprawa.

— Ale ja muszę! Niech on to zakończy!

— Swoją drogą nie wiedziałam, że z Marka taki romantyk. Popatrz, jak to ludzie zmieniają się z biegiem lat — Zośka zamyśla się.

## **Czwartek**

Marek nigdy nie był przesadnie sentymentalny, gdy był moim mężem. Wręcz przeciwnie. Przed moimi imieniami czy urodzinami dawał mi pieniądze i mówił: — Kup sobie kwiatek i jeszcze coś!

Pieniądze od niego i tak w sumie szły na „życie”. Czasami, na przykład na Dzień Kobiet, dostawałam od niego tabliczki czekoladopodobne, które sam zjadał, oglądając w telewizji mecz, *Dziennik* lub *Wielką Grę*.

Ostrożnie dawkowałam mi komplementy i czułe słówka. Coś, co dla innego mężczyzny (entuzjasty i romantyka) byłoby cudowne i seksowne, dla Marka było po prostu „w porządku”. Ja także, wystrojona tylko dla niego w luksusową bieliznę, kwitowana byłam rzuconym obojętnie „może być”.

„Mogłam być” dla niego i on „mógł być” dla mnie” aż do emerytury lub dłużej, gdyby nie moja teściowa. Jej złośliwości, wtrącanie się i chamskie uwagi skutecznie skłóciły mnie i Marka. Stałiśmy się sobie jeszcze bardziej obcy. Zgodnie podjęliśmy decyzję o rozstaniu.

Większość naszych znajomych podziwiała nas za takt, z jakim rozegraliśmy wszystkie rozprawy rozwodowe i przyjaźń pielęgniowaną przez lata.

Często słuchałam opowieści moich koleżanek o dramatycznych walkach w sądzie o dzieci, o majątek, o godność.

Przyjaciółki nie wierzyły mi, że Marek nie ma kochanki i że ja także nie mam „przyjaciela”, a poróżniła nas tylko różnica charakterów.

Oczywiście miałam do niego żal, że został zdominowany i manipulowany przez matkę, ale nie chciałam z nią walczyć, bo nie było o co (a raczej o kogo).

Rodzice i siostra pocieszali mnie, że jestem jeszcze młoda i na pewno znajdę kogoś wartościowego. Zarazili mnie tym myśleniem, a ja z ulgą zrezygnowałam z mieszkania z teściową i zaczęłam z Karolinką nowe życie.

Wiedziałam, że mogę liczyć na Marka, jeśli chodzi o wychowanie dziecka. Nasza córka miała wtedy zaledwie dziewięć lat i myślę, że dzięki naszemu współdziałaniu rozwód nie był dla niej traumą.

Oboje ciężko pracowaliśmy. Marek, ku zdumieniu zakochanej w nim mamusi, zaczął narzekać na samotność i brak zainteresowania ze strony kobiet. Nie umiał ich czarować, nie brylował w towarzystwie. Nie dostrzegał sygnałów, które wysyłały mu nieliczne

i niezbyt atrakcyjne wielbicielki. Całkowicie poświęcił się pracy i ze swojej firmy uczynił imperium.

Ogromny dom z basenem w Konstancinie stał zwykle pusty. Marek jeździł po całej Polsce, często nocował też u mamusi, która nie chciała opuścić ukochanego starego mieszkania z powodu zaprzyjaźnionych sąsiadek i bliskości zabytkowego kościoła.

Współczułam mu, że ciężko pracuje. Sądziłam, że zawsze tak będzie — ja sama i on sam, wspieramy się nawzajem, a przede wszystkim wspieramy Karolinę.

Teraz Marek zaczyna nowe życie.

Czekam na niego o osiemnastej w drogiej pizzerii na Nowym Świecie. Wpada spóźniony i roześmiany. Widzę, że zaczął o sobie dbać: elegancki garnitur, markowa woda toaletowa. Jeszcze jako właściciel znanej firmy zaopatrywał się w koszule i garnitury na Stadionie Dziesięciolecia, a do ulubionego fryzjera w baraku na Bazarze Banacha wpadał raz na cztery miesiące.

— Zamówiłaś c o ś ? — pyta, odsuwając z rozmachem krzesło.

— Jeszcze nie — mamroczę.

— Jak Karolinka? Rozmawiałem z nią kilka dni temu. Mówiła, że mieszkanko jest urządzone, dokupią tylko meble dla niemowlaczka, ale poczekają, aż będzie znana płęć. Wtedy zdecydują, czy niebieskie, czy różowe.

Marek mówi bez przerwy. Strąca serwetkę i widelec. Gwałtownie gestykułuje.

— Widziałam to mieszkanie. Trochę mnie zaszokowało — wzdycham.

— A kiedy zaproszą tam starego tatusia? Co? — Marek wybucha śmiechem.

— Nie wiem. Dlaczego kupili tak mało normalnych mebli? Na przykład to krzesło w kształcie kosza na śmieci! Potwornie drogie! — podnoszę głos.

— Chyba wiem, w której galerii to kupili! Zamówiłem u nich łóżko do sypialni. Czekam już drugi tydzień, ale wysłali mi maila, że będzie lada dzień! — Marek z apetytem pałaszuje lasagnie.

— Myślałem także o stojakach na kompaktki, ale nie mam aż tyle wolnej gotówki.

— Ile kosztowało to łóżko? — nie daję za wygraną.

— To dobra inwestycja. Zresztą dżentelmeni nie mówią o pieniądzach. Jedźmy. Delektujmy się tą chwilą! — Marek wskazuje na mój talerz.

Patrzę na niego i nie poznaję! Zawsze zmęczony życiem, przygnębiony, teraz tryska energią i dowcipem!

— Uwierzyłem w feng shui. Przemebłowuję cały dom. Pomaga mi pewna zaufana osoba — mój były mąż dyskretnie spogląda na zegarek. — Chyba rzucę mięso. Źle działa na potencję! Zwłaszcza czerwone i tłuste!

Nie wyobrażam go sobie jako jarosza, wegetarianina czy wegana. Pamiętam, jakie śniadanka szykował sobie, gdy ja karmiłam maleńką Karolinę. Mój były kładł stary „Ekspress Wieczorny” na stole (aby nie zachłapać obrusa) i serwował sobie na talerzu nóżki wieprzowe w galarecie. Nie rozstawał się podczas tej ceremonii z butelką octu, którą polewał swoją ukochaną potrawę. Na ten widok robiło mi się niedobrze.

— Przepraszam, że patrzę na zegarek, ale zaraz mam jogę. Wybaczysz mi? — Marek wyciera usta serwetką.

— Musimy porozmawiać. To ważne! — chwytam go za łokieć.

— Czy to nie może poczekać? — j e s t niecierpliwy.

— Nie. To dotyczy Kasi — tłumaczę chłodno.

— Kasi? — Marek błędnie.

## **Piątek**

Cały wczorajszy wieczór wspierałam mojego byłego męża. Przeszliśmy na piechotę od Nowego Świata do Kolumny Zygmunta, gdzie rozpląkał się i przyznał, że sytuacja go przerosła, nerwowo rozglądał się i upewniał, czy Marcin nas nie śledzi.

— Co robić? Co robić? — j e c z a ł .

Bał się, że Kasia będzie miała kłopoty, że go zostawi, że Marcin mu nie daruje.

Wciąż żałowałam, że nie poznałam tej kobiety bliżej. Jak jej się udało doprowadzić do białej gorączki dwóch, wydawałoby się odpornych psychicznie, mężczyzn.

Przysypiam przy biurku w moim gabinecie. Damian wpada bez pukania:

— Przejrzyj to!

Ziewam. Patrzę w okno. Rzeczywiście potrzebny jest mi urlop. W przerwie na lunch biegnę do biura podróży Blue Lagoon.

— Grecja? Kreta? Ach! Kojarzę! — panienska z misternym kokiem uśmiecha się serdecznie.

— Chcę wpłacić zaliczkę za dwie osoby. Można kartą?

— Zaraz, zaraz, kiedy chce pani lecieć?

— Jak najszybciej! — wzdycham.

— Moment, sekundka, popatrzymy, są dwa wolne miejsca! Ostatnie! Wylot w najbliższy wtorek!

— Może być!

— Całą kwotę musi pani wpłacić dziś do dziewiętnastej.

— Zrobi się.

Nie wiem, co mnie opętało. Nie wiem, czy Zośka mnie nie pobije za to, że wybrałam termin i hotel bez niej! Ale ja już nie wytrzymuję! Jestem spięta, zestresowana, zmęczona i wykończona. Wrócę po tygodniu leżenia plackiem na plaży i znowu ostro wezmę się do roboty!

— Co zrobiłaś? Zarezerwowałaś wyjazd na najbliższy wtorek? Oszalałaś? — moja siostra wrzeszczy do słuchawki.

— Nie chcesz, to nie jedź. Trudno. Ja jadę — wzdycham zrezygnowana.

— Przecież nie puszcze cię samej, zaskoczyłaś mnie. Przyjadę jutro, to wszystko obgadamy! Boże! Jak ja się cieszę, że wyrwę się z tego kołowrotka: praca, dom, firma, egzaminy Xeni.

Zośka mówi, a ja się wyłączam. I nagle ogarnia mnie panika. Muszę zrobić zakupy przed wyjazdem, ustalić wszystko w pracy, rozdzielić zadania, sprawdzić, co u Karoliny.

## Sobota

Z samego rana jest już u mnie moja kochana siostra. Pijemy kawę w kuchni, a ona podekscytowana tłumaczy:

— Musimy kupić olejki do opalania, balsamy chłodzące po opalaniu, kostiumy kąpielowe, kapelusze, klapki, letnie sukienki, topy, pareo, przewodniki i mapy, filmy do aparatu, okulary przeciwsłoneczne, coś na insekty...

— Błagam! Prze stań! — ję c z ę .

— Bo ty nigdy nie myślisz racjonalnie! Ubieraj się! Jedziemy na zakupy!

Zdaniem Zośki wszystko jest nam absolutnie niezbędne, a w Grecji na pewno tego nie dostaniemy. Nasz koszyk w supermarkecie pęcznieje od soczków w kartonach, puszek z colą, sprayów na komary, kompletów ręczników plażowych i mat.

— Mamy opcję *all inclusive*. Napoje są gratis. Próbuję ją powstrzymać.

— A jak ci się zachce pić na wycieczce albo na plaży? Na pewno ci się zachce, bo będzie upał, to co zrobisz? — Zośka triumfalnie unosi palec.

— Kupię sobie.

— Po co przepłacać? Tam jest euro i taki soczek kosztuje trzy razy tyle, co tutaj!

— Jakoś to przeżyję.

— Nie liczysz się z pieniędzmi! Powinnaś oszczędzać na wygodną emeryturę!

— Oszczędzam — mamroczę.

— Właśnie widzę! Musimy jeszcze kupić plastry, bandaże, scyzoryk...

— A scyzoryk po co?

— Scyzoryk zawsze się przyda! — Zośka nie daje się zbić z tropu.

— Tomek nie może ci pożyczyć?

— On ma stary, a ja chcę nowy!

Pijemy mrożoną kawę w maleńkiej knajpce w centrum handlowym. Nasz koszyk tarasuje przejście i dostęp do kasy. Kelnerki piorunują nas wzrokiem, ale moja siostra myślami jest gdzie indziej.

— Tomek mówi, że nam zazdrości, ale kto wie, może jest zadowolony. Ostatni raz rozstaliśmy się pięć lat temu na trzy dni. Pojechał do swojej ciotki do Białegostoku.

— Chyba wytrzymasz bez niego tydzień? — przyglądam się jej uważnie.

— No wytrzymam. Nie martw się.

— Dziewczyny! Co wy tu robicie? — piskliwy, entuzjastyczny głosik wrywa nas z zamyślenia.

Poznaję — z wielkim trudem — Renatę. Jest ubrana jak dwunastolatka: szorty, bluzeczka na ramiączkach, pepegi, czapka z daszkiem. Czule obejmuje parę sześciolatków.

— To twoje śliczne maleństwa! — odzywa się Zośka z przekąsem.

— Krążymy tutaj od trzech godzin. Zaliczyliśmy już hamburgery, lody, basen z piłeczkami i sklep zoologiczny! — Renata ociera pot z czoła.

— Usiądź z nami — przysuwam jej krzesło.

— Może na chwilkę!

— Chcę soku — marudzi jedno z bliźniąt. — Gdzie jest tata? — zaczyna kopać w moje krzesło.

— Tata kupuje garnitur do pracy. Musi mieć chwilę spokoju

— Renata wachluje się serwetką.

— A baby nie noszą garniturów, bo są głupsze. Tak mówi tata — mały szarpie ją za rękę.

Zapada krępująca cisza. Żal mi Renaty. Zośka opowiada o naszym wyjeździe.

Nagle do kawiarni zagląda wysoki blondyn, bardzo elegancko ubrany: jedwabna koszula, świetnie skrojone spodnie, markowy zegarek. Przy uchu trzyma komórkę.

— Idziemy! — rzuca w przestrzeń.

— Muszę lecieć! — nasza koleżanka zrywa się gwałtownie.

Patrzymy na nią ze współczuciem.

## Niedziela

**Jestem** u Karoliny od dwóch godzin. Jeszcze śpi, a jest już południe. Teddy częstuje mnie sokiem. Czuje się jak u siebie. W podartych dżinsach i z nagim torsem kręci się po kuchni. Myślę, że powinien więcej czasu spędzać na siłowni.

— Ona zaraz się obudzi. Wie, że czekam z obiadem — Teddy zagląda do garnków i zamazyście coś miesza. — Chciałbym mieć własną restaurację. Wszystko według mojego projektu: stoły, ściany, kompozycje na talerzu, bo nie jest ważne tylko to, jak coś smakuje, ale także, jak wygląda.

Jest strasznym gadułą. Trudno mu przerwać.

— A Bruno? Jaki jest? Jak im się układa?

— Och, Bruno? Dusza człowiek! Niewiele mówi, ale jak coś powie, to zawsze jest tak niewiarygodnie trafne, inteligentne, porażające!

— Naprawdę? — otwieram szeroko oczy.

— Pani go słabo zna. Ja go obserwuję codziennie! Karolina doskonale trafiła. Tylko pozazdrościć — Teddy wzdycha.

Jemy obiad we troje. Maja córka na napuchnięte oczy, ziewa i pije ogromne ilości wody.

— Wszystko w porządku, kochanie? — pytam zaniepokojona.

— W absolutnym! Jedź! Odpocznij! O nic się nie martw! Jak ci smakuje? Biedny Teddy tak się namęczył!

— Pyszne! — odpowiadam szybko.

Zupa pomidorowa jest bardzo rzadka i słodka, a mięso potwornie twarde. Mam nadzieję, że ten dziwak nie otruje mojej córki.

— Ciągłe sikam! — Karolina przerywa ciszę, kompletnie nie przejmując się obecnością chłopaka.

— O! To normalne! — Teddy serwuje nam deser: ciasteczka o dziwnych kształtach z pikantną posypką.

— Skąd wiesz, że normalne? — dziwię się.

— Prenumeruję kilka czasopism...

On zaskakuje mnie na każdym kroku. Po umyciu naczyń zegnana się z nami wylewnie.



— Jutro o dziesiątej! Dzień sałatek i ryżu! Dopilnuj, żeby Bruno był na obiedzie! — Teddy całuje Karolinę w policzek.

Zostajemy same.

— Jak ty z nim wytrzymujesz? Przecież on jest niemożliwy!  
— kręcę głową.

— Bardzo się stara! Jest prawie jak rodzina! Oglądaj jutro MTV! Będzie premiera mojej piosenki!

— Nie powinnaś tak dużo pracować w tym stanie.

— Niedługo zwolnię tempo. Chyba.

Resztę popołudnia spędzam u Hanki. Duszę się w tym słodko-mdłym zapachu szpitalnej sali. Jej brat jest przygnębiony. Ma smutne oczy. Siadamy na twardych krzesłach obok automatu z kawą.

— Popatrz — Bogdan uśmiecha się. — Można tu nawet kupić zupę w plastikowym kubku.

— Strasznie jej współczuję, że w taki upał musi tutaj być...  
— zamyślam się.

— Tu są podobno najlepsi lekarze. Opiekuje się nią cudowna kobieta. Świetny chirurg.

Wracamy do Hanki. Jest osłabiona, blada, ale próbuje się uśmiechać. Widzę, że brat o nią dba. Na jej szafce dostrzegam całą baterię soków, jogurtów, odżywek.

— Lodówka jest na korytarzu. Strasznie kradną. Wyobraź sobie, że znikają tylko brzoskwińowe jogurty z ziarnami zbóż — Hanka zamyśla się. — Na szczęście to dwuosobowa sala. Leży ze mną dziewczyna ze wsi. Poszła znowu zapalić. Niemożliwa jest z tym paleniem!

— Co jej jest? — pytam.

— Guz żołądka.

Próbujemy z Bogdanem zmienić temat, ale to trudne. Ona wciąż opowiada nam o Luizie.

— Jak ta dziewczyna się wysławia! Co drugie słowo jest niecenzuralne!

— Od kiedy jesteś taka wrażliwa? — śmieję się, przypominając sobie dawne zebrania redakcyjne, gdy Hanka ostro rzucała przekleństwami.

— Uszy mi wędną! Luiza jest niemożliwa! Ledwo chodzi, ale

nie może uleżeć pięciu minut. Ciągłe odwiedza ją narzeczony. Musieli przełożyć ślub z powodu jej choroby, a jego rodzina naciska, żeby ją zostawił! Domyślasz się, jak ona to komentuje.

Domyślam się. Po dwudziestu minutach mam okazję poznać Luizę. Jest wysoka, tęga. Zniszczone trwałą blond włosy ma związane zieloną frotką. Szybko wpycha do kieszeni szlafroka paczkę papierosów.

— Hanka! Gości masz! Zazdroszczę! — patrzy na mnie zmęczonym wzrokiem. Bładoniebieskie oczy są zamglone i zażawione.

Bogdan odprowadza mnie do samochodu.

— Dzięki, że przyszłaś. Hanka wariuje z nudów. O siódmej śniadanie, o dwunastej obiad, a kolacja o siedemnastej i życie zamiera. Chciałem przynieść jej mały telewizor, ale obawia się, że Luiza ją sterroryzuje i będą oglądać tylko argentyńskie seriale i teleturnieje.

Przykro mi, że wyjeżdżam. Mam wyrzuty sumienia. Ja będę smażyć się na greckiej plaży, a Hanka uwięziona wśród tych kropłówek i cewników.

Po powrocie do domu dzwonię do pani Tosi. Wiem, że notuje moje instrukcje. Ma wpaść trzy razy, aby odkurzyć i podlać kwiaty.

Robi się całkiem przyjemny wieczór. Rozsiadam się na leżaku z kieliszkiem wina w dłoni. Mój wielki balkon jest pełen egzotycznych roślin, o które dbają cudze dłonie. Właściwie sama nie wiem, co tutaj mam.

Dzwoni telefon.

— Mało brakowało i bym go zabił! — głos Marcina jest bardzo nieprzyjemny.

— To ty? Co się stało? — krzyczę.

— To ja. Miałaś z nim porozmawiać, z tym, z tym... złodziejem cudzych żon!

— Rozmawiałam... — zaczynam.

— Jasne! Ostrzegłaś go! Jesteś po ich stronie!

— Marcin... — mówię do niego jak do dziecka. — Nie jestem po niczyjej stronie, to są twoje sprawy. Powiedziałam Marcinkowi, żeby się opamiętał, że rozbija rodzinę, że...

- No i rozbił na amen! Kaśka spakowała się i odeszła. Zabrała dziecko! Nie wiem, gdzie jest!
- Milczę oszołomiona.
- Nic nie mówisz? Powiedz coś! — Marcin ma drżący głos.
- Jak to się stało?
- Zrobiłem jej dziką awanturę. Nie panowałem nad sobą, nie przebierałem w słowach i...
- Chyba jej nie uderzyłeś? — jestem przerażona.
- Nie! Za kogo ty mnie uważasz! — zaprzecza oburzony. — Następnego dnia Kaśki już nie było. Zabrała ubrania swoje i małej, kuchenkę mikrofalową, odkurzacz, trochę naczyń i nasz telewizor z sypialni. Dostałem od niej SMS-a, że składa pozew o rozwód i odezwie się jeszcze... Wyobrażasz sobie? Wiedziałem, że za tym stoi twój były mąż ten... Pojechałem do jego firmy...
- Zrobiłeś mu coś? — denerwuję się.
- Żartujesz? Czy ja jestem jakimś agresywnym prymitywem? Znasz mnie! Muchy bym nie skrzywdził!
- Rozmawialiście? Co ci powiedział?
- Najpierw udawał, że nie wie, o co chodzi, ale potem przyznał się, że coś ich łączy! Twierdził, że nie ma pojęcia, gdzie jest Kaśka! Ja mu nie wierzę! Obiecuj, że mu nie powiesz! Wynająłem detektywa!
- Co zrobiłeś? — znowu odejmuje mi mowę.
- Kolega mi polecił. Agencja Bergerac! Tam pracują tylko byli policjanci! Sami profesjonalści! Zrozum! Ona nie odbiera telefonu! Złożyła wymówienie w pracy! Nie wiem, gdzie jest moje dziecko! Co mam robić? — krzyczy Marcin.
- A jej rodzina? Rodzice?
- Ojciec Kaśki poklepał mnie po ramieniu i stwierdził, że to nasza sprawa i sami musimy to rozwiązać. Nic z niego nie wyduśiłem.
- A matka?
- Coś kręci, chyba wie, gdzie ona jest. Detektyw ma ją obserwować! Na pewno zaprowadzi mnie do Kaśki!
- Nie powinieneś dać swojej żonie trochę czasu? Może ochłonie, zmądrzeje i sama wróci? — pocieszam go.
- Nie sądzę. Ona jest uparta. Wykrzyczała mi w twarz, że

Marek jest zupełnie inny niż ja! Czuły, cierpliwy, spokojny! Zrobiła ze mnie potwora!

— Dzwoniłeś do jej koleżanek? Przyjaciółek? — dopytuję się.

— Nie będę w to mieszał obcych bab! Co mam im powiedzieć? O co zapytać? „Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest moja żona”? Tak? Wszystkie one to plotkary i histeryczki!

Czuję się dziwnie, bo jednak wmieszał w to wszystko jedną obcą osobę — mnie. Po dwóch godzinach kończę rozmowę. Marcin wciąż mnie zaskakuje. Nie znałam go od tej strony. Jest wścibki. Marzy o zemście i mówi potworne rzeczy o moim byłym mężu. Wiem, że Marek nie jest ideałem, ale Marcin robi z niego wcieleno-go diabła, który odbiera matki dzieciom!

Zasypiam umęczona cudzymi sprawami. Śni mi się Bogdan w białej koszuli, czarnych spodniach i ze szpadą. Czy on mówił, że trenuje szermierkę? Czy moja wyobraźnia robi sobie żarty?

## **Poniedziałek**

Jestem w pracy godzinę wcześniej. Muszę wszystko zorganizować przed wyjazdem. Marysia jest zasmucona. Z przygnębioną miną przynosi mi kawę. Niechący wylewa odrobinę na swoje białe dżinsy.

— Ładnie dziś wyglądasz — komplementuję ją.

— O, dziękuję! Dziękuję! — moja sekretarka wzdycha i machinalnie bawi się kolczykami w kształcie trupich czaszek.

— I śliczne kolczyki — dodaję.

— Dostałam od siostrzeńca. Mówi, że przynoszą szczęście — Marysia się czerwieni.

— Ile on ma lat? — pytam uprzejmie.

— Trzynaście. Już trzynaście! Jak ten czas leci!

Podczas zebrania redakcyjnego Damian ma na twarzy wyrażenie wypisane, że spał niewiele w ciągu ostatnich dwóch dni.

— Rozdzielam tematy! — oświadcza, ziewając. — Tymon zajmie się woźnymi strajkującymi w szkole podstawowej w Lidzbar-ku.

— O co chodzi z tymi woźnymi? — dziwię się.

— Strajkują, bo pani dyrektor robi im inspekcje i odprawy o piątej trzydzieści rano. Sprawdza komisyjnie, czy starte są kurze i podlane kwiaty. Woda do roślin ma być oligoceńska! Trzeba ją nosić z oddalonego o dziesięć kilometrów ujęcia. Jeżeli papirotek z gabinetu pani dyrektor zaczyna usychać, sypią się upomnienia i nagany.

— Typowy mobbing — Tymon wzrusza ramionami.

— Ta kobieta zastrasza także swoje pracownice, ale w inny sposób. Na przykład za karę dostają zimne obiady — Damian zagląda do notatek.

— Kto będzie chciał o tym czytać? — zastanawiam się.

— Tymon zrobi z tego ostrego newsa! Na przykład: głodzone pracownice dość mają poniżenia — wojna w Lidzbarku!

Podziwiam Damiana. Gdy nie mamy dobrych czy dość dobrych tematów, potrafi z najbanalniejszej informacji zrobić perełkę.

Martwię się o Marka. Jego telefon nie odpowiada. Natomiast moja siostra atakuje mnie SMS-ami od rana: NIE ZAPOMNIJ PASZPORTU. ZAMÓWIŁAŚ BUDZENIE?

Musimy być na lotnisku jutro o szóstej rano. Koszmar! Nie jestem jeszcze spakowana, a w pracy zostaję po godzinach. Psy zamieszkają z Xenią i z Tomkiem.

Wieczorem zamiast przygotowywać się do podróży, oglądam MTV. Przed północą wreszcie widzę na ekranie moją Karolinę. Zaprasza do obejrzenia swojego nowego wideoklipu. Singiel już w sprzedaży!

Moja córka ucharakteryzowana jest w teledysku na słodką lolitę: blond kucyki z kokardami, biała, koszulowa, mocno porozpi-nana bluzka, czarna mini, podkolanówki i tenisówki. Udaje uczen-nicę zgłaszającą się do odpowiedzi. Nagle wstaje i śpiewa. Wi-dać, że jest w ciąży i że jest z tego dumna, w jej pępku połyskuje ogromny kolczyk. Wszyscy wokół niej tańczą i biją brawo. Wyda-je mi się, że coś podobnego już kiedyś widziałam. Oczywiście bez tych akcentów prociążowych. Zazdroścę Karolinie, że z każ-dego wydarzenia w swoim życiu potrafi uczynić sukces medialny.

Po chwili rozmawiamy przez telefon.

— Widziałas? Widziałas, mamus? I jak? — dopytuje się pod-ekscytowana.

- Wspaniale. Ślicznie wyglądałaś! — zapewniam ją.
- Wiem! Oblewamy tutaj z Brunem mój debiut! Jest trochę znajomych. Teddy zrobił wyśmienite sushi! Może się przyłączysz?
- Kochanie, jutro rano mam samolot. Przepraszam cię, ale, wiesz przecież...
- Tata do mnie dzwonił! Też widział i mówi, że jestem bezkonkurencyjna!
- Bo jesteś! Co u niego? — ciekawa jestem, czy opowiedział jedynej córce historię swojego niemoralnego romansu.
- Jakiś tajemniczy się zrobił. Muszę kończyć, ktoś znowu dzwoni do drzwi!

Zabieram się do pakowania. To szaleństwo zabierać dwie ogromne walizy na siedem dni pobytu, ale tak to właśnie wygląda w moim wykonaniu. Na każdy dzień mam trzy inne kreacje: kolorowe spódnice, plażowe sukienki, szorty, topy, kilka par kłapek i sandałów oraz szpilki, które kosztowały majątek. Do tego pięć kreacji wieczorowych, kapelusze, kostiumy kąpielowe, ręczniki — muszę być elegancka, bo wybrałam hotel czterogwiazdkowy. Jedna z walizek wypchana jest samymi kosmetykami: kremy, balsamy, szampony, odżywki.

O północy dzwoni Zosia.

— Już spakowana? Tomek mnie spakował i teraz sprawdzam, czy wszystko mam. Ty też sprawdź! Pamiętaj: pieniądze, paszporty, bilety! — moja siostra powtarza to jak mantrę.

Z przyjemnością myślę o podróży samolotem. Kocham latać! Nigdy się nie boję!

Pamiętam czasy, gdy miałam niewiele pieniędzy, a mieszkałam blisko lotniska. Zawsze patrzyłam na startujące samoloty z tęsknotą. Port lotniczy to było cudowne miejsce, gdzie znikają wszelkie granice i zaczynał się lepszy, elegancki świat.

Zamawiam budzenie. Trudno. Wyśpię się w samolocie, gdy znudzi mi się obserwowanie chmur.

## Wtorek

O piątej rano na Okęciu jest spokojnie. Jestem rozczarowana, bo nawet kioski z gazetami są jeszcze zamknięte. Chciałam kupić sobie świeżą prasę, może jakieś czytadła, ale tutaj o tej porze trudno dostać nawet wodę mineralną.

Dostrzegam moją siostrę — trochę zagubioną. Z daleka wygląda jak rozczochrany czternastolatek. Jest ubrana w szerokie szorty koloru khaki, zielony T-shirt i adidas. Jej głowę zdobi odbłaskowy daszek na gumce. Tomek dźwiga bagaż Zośki — harcerski plecak.

Chyba nie pasujemy do siebie. Moja siostra też to dostrzega.

— Jak ty wyglądasz? Buty na takich obcasach do samolotu? Z tym dekoltem to chyba przesadziłaś! Przecież nie możesz się nachylać, bo wszystko widać!

— A mnie się podoba! — Tomek puszcza do mnie oko.

— Chciałam być elegancka! W końcu jedziemy do luksusowego hotelu, a nie na pielgrzymkę! — odcinam się.

— Masz bilety, pieniądze i paszport? — Zośka nie daje za wygraną.

— Mam bilety, pieniądze i paszport! — warczę.

Szukamy stanowiska naszego biura podróży. Tomek robi się czerwony od dźwigania moich walizek. Wreszcie jest! Dostrzegamy spory tłumek współpasażerów.

— Pamiętajcie o markowych alkoholach! — szepce mąż mojej siostry i z ulgą wyciera pot z czoła. — Zazdroszczę wam! Piwo, wino, whisky — gratis! Raj!

— Taa.. - raj dla pijaków! — syczy Zośka.

— Rysiek mówi, że w Grecji o tej porze roku „to nic tylko lampa!” — śmieje się Tomek.

— Jaka lampa? — dziwię się.

— No, gorąco jak diabli!

Kolejka do odprawy paszportowej wije się niemiłosiernie. Zośka czule żegna się ze swoim mężem.

— Marzę o kawie! — wzdycham.

Znajdujemy niewielki barek: napoje kosztują tutaj tyle, ile w najdroższej restauracji na Starym Mieście, podobnie jak kanapki i sałatki.

— Złodzieje! Na szczęście mam swój prowiant! — moja siostra triumfalnie wyjmując z plecaka bułkę z kiełbasą.

Obchodzimy wszystkie sklepy wolnocłowe. Ceny rozczarowują. Kupuję sobie perfumy, a Zośka wrzuca do koszyka trzy butelki tequilli.

— Aż tyle? — unoszę brwi.

— Często zapraszamy gości. Opłaca się! — tłumaczy.

Dokupujemy jeszcze argentyńskie wino i kremy przeciwzmarszczkowe, chociaż ona uważa, że niepotrzebnie, bo mamy w genach zapisane „gładkie twarze do samej starości”. Chciałabym jej wierzyć...

— Czy panie jadą z biurem Big Pink? — zaczepia nas spocona starsza pani w kwiecistej sukni i słomkowym kapeluszu.

— Tak — potwierdzamy.

— No właśnie! Słyszały panie, że te wszystkie biura podróży bankrutują? Jedno po drugim! Zostawiają ludzi na lodzie! Bez pieniędzy! W głowie się to nie mieści! Nie boją się panie? — dopytuje się.

— Sprawdziłyśmy dokładnie. Znalazłam opinie internautów. Były całkiem pozytywne! — chwali się Zosia.

— Nie mówiłaś mi — dziwię się.

— Jakby coś było nie tak, to od razu byś się dowiedziała!

Wreszcie jesteśmy na pokładzie samolotu. Umawiamy się, że miejsce przy oknie, jako bardzo atrakcyjne, będzie co pół godziny zajmowane przez jedną z nas. Pamiętam, jak w dzieciństwie ustalałyśmy podobne zasady.

Mój bagaż podręczny budzi zastrzeżenia stewardes. Przed wejściem na pokład odebrano mi nożyczki do paznokci. Prawdopodobnie mogłabym nimi sterroryzować całą załogę!

— Co ty masz w tej torebce? — Zośka wybałusza oczy.

— Wszystko, co niezbędne! Dokumenty, paszport, bilety, pieniądze, karty kredytowe, okulary przeciwsłoneczne, okulary normalne, antyperspirant, poduszkę pod kręgosłup, perfumy, chusteczki nawilżające do rąk, chusteczki nawilżające do twarzy, dwie książki, trzy gazety, cztery miesięczniki, miniradio, komórkę, tabletki na ból głowy, żołądka, wątroby, plaster, lakier do paznokci, zmywacz, cukierki miętowe — grzebię chwilkę w torbie. — A!



Wzięłam jeszcze discmana, dezodorant do stóp i mgiełkę do włosów!

— Mgiełkę do włosów? Wariatka! — Zośka puka się w czoło.  
— Gazety dają w samolocie, jest tu też radio, a tabletki na ból głowy dostałabyś od stewardesy.

— Tabletki akurat zajmują niewiele miejsca! — bronię się.

Intryguje mnie siedząca obok para. On, nieduży grubasek filmuje japońską kamerą wszystko, co się da: wewnątrz samolotu, współpasażerów.

— Czy musi pan nas kręcić? — pyta moja siostra podniesionym głosem.

— Ja nie kręcę pani, tylko okno! — syczy grubasek.

— Ach! Okno pana interesuje! Może sfilmuje pan także drzwi i toaletę? — Zośka oczywiście jest złośliwa.

Na szczęście grubas kieruje swoją kamerę w stronę stewardesy, która pokazuje, co robić, gdy samolot będzie musiał awaryjnie lądować.

— Nie mogę na to patrzeć! — Zośka zakrywa oczy dłonią, ale rozsuwa palce.

Jedna ze stewardes patrzy uważnie w naszą stronę.

— Dlaczego pani nie patrzy? — pyta chłodno.

— A muszę? To mnie stresuje! — tłumaczy moja siostra jak dziecko.

— Musimy poinformować wszystkich pasażerów o...

— Ona może nie patrzy, ale słucha uważnie! Ja jej wytłumaczę! — przekonuję stewardesę z uśmiechem.

Wreszcie startujemy! Uwielbiam ten moment! Samolot kołuje po płycie lotniska. Rozpędza się i nagle... już jesteśmy w powietrzu!

— Już? — Zośka ma zaciśnięte oczy i pięści.

— Już! Widać Raszyn, a tam to pewnie Ursynów! — cieszę się.

— Nie Ursynów, a Piaseczno — poprawia mnie grubasek.

Jego żona, czarnowłosa piękność, już biegnie do toalety. Próbuję czytać przewodnik po Krecie, ale nie mogę się skupić.

— Jakie wybierzemy wycieczki? — trącam Zośkę, która zajęta jest obserwowaniem chmur.

— Na pewno Santorini! Te białe kościoły! Wulkan! To musi być magiczne miejsce!

— A aquapark?

— Po co? — moja siostra nie przepada za pływaniem, ale wie, że dla mnie to jedna z kilku najprzyjemniejszych rzeczy pod słońcem. — Dwie stare baby w parku wodnym? Będziesz miała i morze, i basen! Jezioro też tam podobno jest!

— To pojedę sama! — wrzuszam ramionami.

— Dobra! Jak stawiasz! — Zośka ma znów dobry humor.

Pogarsza się jej odrobinę, gdy dostajemy posiłek. Na maleńkiej tacce króluje okrągłutka bułeczka (nie pierwszej już świeżości), kosteczka masełka, plasterek mielonki i cukierek wielkości paznokcia u niemowlęcia. Kawę dostajemy w filiżankach dla krasnoludków.

— To są kpiny! Dobrze, że mam jedzenie! — moja siostra jest czerwona ze złości.

Obserwuję grubaska, który porzucił już filmowanie, zjadł swój posiłek i tęsknie spogląda na taczkę żony.

Na lotnisku w Chanii wszyscy nerwowo szukają pilota z logo naszego biura podróży. Wlokę się na szarym końcu, bo moje walizy, mimo że na kółkach, to spory problem.

— Nie zapłaciła pani za nadbagaż? — pyta grubas. — Mam dużo sprzętu: dwie kamery, aparaty, laptopa, no jeszcze materace i ponton, ale jakoś mi się udało!

— Zbysiu, widziałeś, ile tu kosztują papierosy? — jego żona szarpie go za ramię ze zde gustowaną miną.

Nasza pilot to postawna blondyna po pięćdziesiątce, patrząca na nas z pewnym politowaniem.

— Zapraszam do autokaru! Za pół godziny zostaną państwo rozlokowani w hotelach.

— Nasz jest tak blisko lotniska? Uwielbiam huk startujących samolotów! — syczy Zośka.

— Raz, dwa, trzy! Próba mikrofonu! — w autokarze pani pilot udziela nam konkretnych informacji. Mówi, że ma na imię Klau-dyna, podaje numer swojej komórki, ale tylko awaryjnie, bo przecie ż... — Myślę, że nie zadzwonią państwo do mnie z tak błahego powodu, że nie działa klimatyzacja albo że jest tylko zimna woda. Nie bądźmy dziećmi, proszę państwa! Każdy z nas zna przecież obce języki! No, a teraz, kiedy jesteśmy w Unii, każdy Polak

powinien umieć dogadać się na przykład z dyrekcją hotelu i przedstawić swój problem! Oni są bardzo pomocni i proszę się nie bać! Na pewno gestykulacją także sobie państwo poradzicie! Przecież, jak to się mówi: Polak potrafi!

— Mam pytanie! — chudy okularnik o niewiarygodnie białych łydkach podnosi palec do góry. — J e ż e l i nie możemy na panią liczyć w kwestii problemów w hotelu, to czym się pani zajmuje i za co, za przeproszeniem, pani płacą?

— Kazik! Uspokój się! — j e g o równie błada żona szarpie go za rękę.

— Proszę państwa! Jestem tutaj, aby zorganizować wam pobyt. Powinniście dzięki mnie mieć same dobre wspomnienia! A więc przejdźmy do tematu wycieczek fakultatywnych! Może wydadzą się one państwu odrobinę droższe niż w miejscowych biurach podróży, ale pragnę was zapewnić, że my dbamy o bezpieczeństwo naszych turystów, w przeciwieństwie (co muszę stwierdzić z ubolewaniem) do miejscowych touroperatorów!

— Jak myślisz: jaką ona ma prowizję od każdej sprzedanej wycieczki? — szeptem moja siostra.

— Podejrzewam, że duża — odpowiadam półgłosem.

Przez okno autokaru obserwuję młodych ludzi na skuterach i szyldy sklepów. Widzę morze. Port w Chanii. Jedziemy wąską drogą: po jednej stronie góry, po drugiej morze. Jestem zachwycona!

Moja komórka nie daje mi spokoju:

— NAMIERZYŁEM ICH! SĄ RAZEM! BĘDZIEMY W KONTAKCIE — to SMS od Marcina.

— BAW SIĘ DOBRZE. ŻYCIE JEST PIĘKNE! — to Marek.

## Środa

Hotel, który wybrałam, okazuje się rajem dla rozleniwionych słońcem turystów. Do plaży mamy dziesięć kroków, do restauracji pięć, a do okolicznych sklepów z pamiątkami — trzy.

Moja siostra po przyjeździe zrobiła surową inspekcję pokoju. Ku jej rozczarowaniu działa wszystko: klimatyzacja, telewizor i su-

szarka do włosów w łazience.

W jadalni, podczas obiadokolacji, spotkałyśmy całą naszą grupę. Pan Kazio zaczął mnie, gdy stałam w kolejce do szwedzkiego stołu.

— Mam pytanie! Jak się pani podoba nasza pilot?

— Niespecjalnie, ale trudno kogoś ocenić w tak krótkim czasie...

— Niech mi pani wierzy, potrafię ocenić człowieka w dwie sekundy! Niewielki będziemy mieli z niej pożytek! Słyszała pani, co ona mówiła o falach?

— Mówiła coś o falach? — Zośka wepchnęła się pomiędzy pana Kazia a mnie i nałożyła sobie sporą porcję sałatki.

— Powiedziała, że dwie osoby z jej poprzedniej grupy utopiły się i że załatwienie transportu zwłok do Polski zajęło jej ponad miesiąc!

— Biedactwo! Zamiast namawiać ludzi na wycieczki, musiała pilnować trupów — Zośka wzruszyła ramionami.

— Słyszałem, że na śniadanie trzeba przyjść jak najwcześniej! Anglicy podobno wszystko wyjadają i po dziewiątej zostaje tylko zimna jajecznica! — szepnął pan Kazio.

Anglików jest rzeczywiście sporo w naszym hotelu. Łatwo ich poznać, bo ich opalenizna to przeraźliwie różowe i czerwone placki na oszałamiająco białej skórze. No właśnie! Różowy! Czapeczki z daszkiem w takim właśnie kolorze wręczyła nam jeszcze w autokarze pani Klaudyna. Wszystkie miały napis BIG PINK i rysunek tańczącej świnki.

— Proszę państwa! Na tych czapeczkach macie logo naszego biura, które jest bardzo znane tutaj na wyspie. Zapewniam was, że jeżeli udacie się na przykład do miejscowego sklepu w takim nakryciu głowy, to zostaniecie obsłużeni w sposób wyjątkowo uprzejmy! Proszę koniecznie zapamiętać nazwę naszego biura i hotelu. Jak się zgubicie, to wystarczy zapytać kogoś na ulicy. Podajecie te dwie nazwy i dodajcie: where? Co oznacza w języku angielskim: gdzie?

— Łer? — pan Kazio powtórzył dla pamięci.

— A jeżeli ktoś nie zna angielskiego, to jak zrozumie odpowiedź? — Zośka zapytała z ironią.

— O! Proszę pani! Jest tyle sposobów komunikowania się! Pamiętajcie o czapeczkach także na wycieczkach fakultatywnych! Będziecie bardziej rozpoznawalni i łatwiej was będzie policzyć — pani Klaudyna uśmiechnęła się szeroko.

— Jednym słowem, jesteśmy w przedszkolu — moja siostra skrzywiła się z niesmakiem.

Na plaży jest przepięknie. Piasek parzy w stopy. Stawiam na odwagę i ubieram się w kostium dwuczęściowy. W końcu dwadzieścia metrów ode mnie opalają się dwie podstarzałe Niemki i to topless!

Zośka walczy z plastikowym leżakiem, który ma regulowane oparcie.

— Ladies? Drinks? — zaczepia nas przemiły Grek w uniformie kelnera.

— O yes! Drinks! — wybieramy mrożoną kawę frappe.

— Mam pytanie! — pan Kazio prezentuje się raczej żałośnie w fioletowych kąpielówkach. — Nie orientują się panie, czy po godzinie dwudziestej trzeciej obowiązuje jeszcze *all inclusive*?

— O ile wiem, to nie! — rzuca w naszą stronę grubasek spod sąsiedniego parasola. Jego żona opala się w pełnym makijażu i w czterech kompletach złotej biżuterii. Jej bikini w panterkę więcej odkrywa, niż zakrywa, i dlatego prawdopodobnie kilku wiekowych panów spaceruje brzegiem morza tuż obok jej leżaka.

— Trzeba się nawalić do dwudziestej trzeciej, bo potem kończy się full wypas! — grubasek rozsmarowuje sobie na brzuchu olejek do opalania.

— Nie wytrzymam! Co za ludzie! Wiedziałam, że tak będzie! — Zośka zasłania się swoją gazetą.

Wchodzę do wody. Jest przyjemnie chłodna. Przezroczysta. Fale dość spore, ale zbieram się na odwagę i przepływam kilka metrów. Cudownie, że tej umiejętności się nie zapomina. Lubię pływać pod wodą. Jako dziecko nauczyłam się także dryfować na plecach, co uważam za wyższą szkołę jazdy. Nie jestem jednak tak odważna, aby zapuszczać się za daleko.

— Dzwoniłam do Tomka! — Zosia macha do mnie z brzegu.  
— Wyłaż, bo się denerwuję!

- Dlaczego nie wchodzisz do wody? — dziwię się.
- Jak będę miała nastrój, to wejść!

## Czwartek

Jedziemy z panem Kazim i jego żoną autobusem do Chanii. Sam zaproponował nam to przy śniadaniu, dodając:

— Z paniami to jakoś różnie, bo panie jakoś tak światowo wyglądają.

Podróż trwa czterdzieści minut. Pan Kazio opowiada nam o swojej pieczarkarni i o umiłowaniu do podróży. Był już z żoną nawet w Bułgarii.

— Cały rok człowiek haruje, to chociaż przez dwa tygodnie może mieć *all inclusive* pod nos podstawione! A nie? Baśka!

Jego żona kiwa niepewnie głową. Obserwuję ją przez jakiś czas. Wygląda jak typowa szara myszka. Słońce uwydatniło jej piegi i zabarwiło nos i ramiona na różowo.

— Cały czas przeliczam wszystko na złotówki i wychodzą mi jakieś horrendalne kwoty! — pan Kazio załamuje ręce. — Ten wyjazd to w sumie prezent od teściów. O dziecko staramy się i staramy, to może ta zmiana klimatu coś zadziała!

Moja siostra wznosi oczy do nieba. Wsiadamy na dworcu autobusowym w Chanii. Natychmiast gubimy się i dojście do portu zajmuje nam półtorej godziny.

Wąskie uliczki są jak z bajki. Pan Kazio fotografuje swoją żonę na tle fontanny.

— Kapelusz ci kupię z rondem, to cię ochroni przez słońcem. — mówi czule.

Prawie zaczynam jej zazdrościć. Zośka buszuje po sklepach z pamiątkami, a pan Kazio zwiedza w tym czasie Muzeum Morskie.

— Nie jest pani zainteresowana makietami statków? — pytam.

— Nie pani, tylko Basia!

— Zuzanna! — podajemy sobie ręce.

Każda z nas dźwiga wodę mineralną, której wciąż ubywa i która

robi się coraz cieplejsza. Od czasu do czasu ocierając pot z czoła, myślę o Marcinie i próbuję wierzyć w jego zdrowy rozsądek.

— Musimy coś zjeść! — moja siostra spogląda tęsknie w stronę portowych restauracji.

— Coś specjalnego! — podchwytyję.

Zamawiamy ośmiornicę z grilla, kalmary i owoce morza. Pan Kazio patrzy podejrzliwie w talerz.

— No nie wiem, głupio tak kroić jej ramiona!

Wybuchamy śmiechem. Nawet jego żona staje się bardziej rozmowna.

— Co pani robi zawodowo? — pyta Zośka.

— Pomagam trochę mężowi we wszystkim...

Obserwujemy turystów z całego świata. Pan Kazio proponuje przejażdżkę bryczką zaprzęzoną w konie ubrane w kapelusze z pomponami.

Do hotelu wracamy wieczorem. Moja siostra obładowana jest torbami; kupiła między innymi plażowy parasol, bo w ten sposób zaoszczędzimy po dwa euro dziennie. Zafascynowały ją także piękne wyroby z muszelek. Ja kupowanie pamiątek rezerwuję sobie na ostatni dzień.

— Zbysiu! Zostaw już te drinki! — grubasek opędza się od żony, która jest znudzona po całym dniu spędzonym przy hotelowym basenie. — Chodźmy gdzieś!

— Gdzie indziej trzeba płacić! A tu (beknięcie) nie! Zostajemy! — odpowiada jej. Kobieta omiata go wściekłym wzrokiem i uwodzicielsko uśmiecha się do greckiego barmana.

— Romans wisi w powietrzu! — chichocze Zosia.

— Mam pytanie! Czy próbowały panie dzisiaj zupy z tej czerwonej wazy? — pan Kazio już jest w pobliżu. — Moim skromnym zdaniem oni kompletnie nie znają się na zupach!

— Te! Chudy! Podejdz no tu! — grubasek macha do niego ręką. — Same baby! Nie ma z kim pić!

— No widzą panie! Co za elementarny brak kultury! To jest niestety ostatnio nagminne! I jaki się tworzy stereotyp Polaka za granicą! — pan Kazio jest oburzony.

— A gdzie żona? — pytam uprzejmie.

— Odpoczywa po kolacji!

— Zmęczyła się? — moja siostra ma dziwny błysk w oczach.  
— O! Pani pilot! Pani Klaudyna! Pani tu podejdzie! — grubasek ożywia się wyraźnie.

Cała nasza grupa posłusznie gromadzi się wokół niej.

— Pierwsze pytanie! Gdzie macie czapeczki? — pilotka patrzy na nas groźnie.

— O, tu! Się nieco zgmiotła! — grubasek wyciąga swoją, zgniecioną na stołku barowym.

— No pan to przynajmniej ma swoją przy sobie! A reszta? — pani Klaudyna patrzy na nas karcącym wzrokiem. — Proszę o nich pamiętać. Przecież to dla waszego dobra! Nie załóżcie czapeczki i udar słoneczny murowany!

— A pani dlaczego nie nosi czapeczki? — pyta Zośka ze złośliwym uśmiechem.

— Jestem przyzwyczajona do słońca. Mam identyfikator, a poza tym wszyscy mnie tu znają! — pani Klaudyna jest zniecierpliwiona. — Mam dla państwa foldery wycieczek fakultatywnych. Zbieram dziś pieniążki. Proszę przygotować równą kwotę. Bo z góry mówię, że nie mam wydać!

Decydujemy się na Santorini. Na sobotę!

— Pamiętajcie! Oprócz czapeczek bierzemy sweterki, bo na pokładzie statku wieje!

— Tak jest! Bierzemy sweterki! — chichocze Zosia.

## **Piątek**

Po śniadaniu dzwonię do Karoliny. Jest zaspana i niewiele można od niej wyciągnąć. Ciekawość zwycięża i wybieram też numer Marka.

— To ty? Jadę właśnie do pracy! Byłem wczoraj u Karoli! Oryginalnie to sobie wszystko urządzili! — mój były mąż ma świetny humor.

— A Kasia? Co u niej? Co u was? — dopytuję się.

— Sielanka. Niedługo się rozwiedzie i będzie moja!

— Uważaj na siebie! — mówię poważnym głosem.

— Masz na myśli Marcina? Wiem, że był w szoku, ale prze-



cież ona nie jest jego niewolnicą! Wybrała mnie i nieskromnie powiem, że to dobry wybór!

Marek nabrał niespotykanej pewności siebie!

Tymczasem moja siostra miota się po naszym balkonie.

— Majtki od kostiumu mi zginęły! Wyprałam je wczoraj i powiesiłam tutaj! No i gdzie one są? — wścieka się.

— Może wiatr je zwiął. Zejdź na dół i sprawdź!

— Albo ukradł je jakiś fetyszysta! — z sąsiedniego balkonu wychyla się głowa grubaska. Pan Zbysio uśmiecha się od ucha do ucha. — Uprzedzam panie, że tu u mnie słyhać wszystko, co panie do siebie mówią!

— Niech pan odda moje majtki! Jeżeli to żart, to raczej nie-smaczny i nieśmieszny! — wścieka się Zośka.

— Po co mi pani majtki? Mam swoje i to nawet kilka par!

Testujemy hotelowy basen. Jest imponujący. Przewieszono są nad nim kiczowate mostki, a na środku umieszczono barek z markowymi alkoholami z całego świata.

Zamawiam kieliszek wina. Dostrzegam żonę pana Zbysia ubraną w białe, mokre bikini. Sączy drinka z różową parasolką.

— Przepraszam. Nie widziała pani mojego męża, Zbigniewa? — pyta grzecznie.

— Niestety. Nie widziałam — odpowiadam.

— To dobrze — czarnowłosa piękność uśmiecha się czule do barmana.

Macham do mojej siostry w brodziku dla dzieci.

— Uważaj, bo się utopisz! — śmieję się.

— Przecież ja kiedyś umiałam pływać, a teraz to mi się po prostu nie chce! — odpowiada mi.

Po obiedzie zwiedzamy Rhetymnon. Tym razem tylko we dwie. Miasteczko jest malownicze. Kupujemy wino domowej roboty i miód z orzechami.

— Symbol Krety to pszczoła! — wymądrza się Zosia.

Jest sęsta i większość sklepów zamknięto. Urzeka nas kawiarniany ogródek, którego główną atrakcją jest rozgadana papuga w klatce.

— Mogłabym tu mieszkać... — wzdycham.

— Pyszne jedzonko tu mają. Podobno dieta śródziemnomor-

ska jest najzdrowsza: oliwa z oliwek, ser... — Zośka rozmarzona przymyka oczy.

— Jak oni tu cudownie żyją. Bezstresowo! Bez pośpiechu! — wzdycham jeszcze raz.

Telefonuję do redakcji. Damian zapewnia mnie, że wszystko jest w absolutnym porządku.

— Co ty się tak denerwujesz? Poradzą sobie bez ciebie! — upomina mnie moja siostra.

Wyszukuję jeszcze numer Bogdana, bo komórka Hanki jest wyłączona.

— Dzwonisz z Grecji? To miło... — j e g o głoś jest daleko i smutny.

— Jak ona się czuje? Czemu nie odbiera?

— Zuzanna, wiesz, nie jest dobrze, ale lekarze robią wszystko. Ona bardzo źle znosi chemioterapię. Spadły jej wszystkie wartości. Przetaczano jej krew. W szpitalu kończą się już zapasy, a Hanka musi mieć jeszcze transfuzję. Jeżdżę po stacjach krwiodawstwa. Chciałem oddać swoją, ale byłem w kilku egzotycznych krajach w ostatnim półroczu i nie pozwolili mi!

— Boże! Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Zrobimy zbior-  
kę w redakcji! Na pewno ktoś ma jej grupę! — prawie krzyczę.

Informuję Damiana i Marysię. Przekazuję wszystkie dane od Bogdana.

Zośka patrzy na mnie ze smutkiem.

— Świetne masz wakacje!

— Nic na to nie poradzę! To moja koleżanka! Przyjaciółka! — odpowiadam.

Jemy lody w milczeniu. Wciąż myślę o tym, że życie jest kruche i powinniśmy delectować się każdą przyjemną chwilą. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro.

Wieczorem wypijam kilka drinków z panem Zbyszkim. Jest zachwycony moim towarzystwem.

— Fest babka z pani jest! Nie to, co moja żona! — mówi, gdy wznosimy kolejny toast.

Basen jest przepięknie podświetlony. Obsługa zaprasza nas na dyskotekę. Zośka dyskretnie puka się w czoło, ale ja decyduję się pójść.

Żona grubaska tańczy zorbę z barmanem.

— Popatrz kochanie! Nauczyłam się wreszcie! — szczebioce w stronę męża.

Podziwiam jej opaleniznę i żółtą, mikroskopijną sukienkę na ramiączkach, skórzane sandałki na niebotycznych obcasach i oplecione czarnymi rzemykami, pulchne łydki.

— Takie buty są nieestetyczne! Przypomina mi to kawał szynki owiniętej sznurkiem! — krzywi się Zosia.

— Mam pytanie! — pan Kazio szarpie mnie za ramię. — Mam parę swoich płyt. Myślą panie, że hotelowy didżej mógłby je puścić...?

— Niech go pan zapyta! A co pan tam ma? — zaglądam mu przez ramię.

— Przeboje ludowe Ziemi Warmińskiej oraz *I am Barbie Girl* — *Bravo Hits 3* — prezentuje z dumą.

— Może być! Weź, koleś, tam zagadaj, to wreszcie wyłącza tę zorbę! — pan Zbysio popycha go w stronę konsoly didżeja.

## Sobota

Jest piąta rano i jeszcze trochę ciemno. Pani Klaudyna tłumizowanie i liczy nas dwukrotnie.

— Wszyscy są! A więc proszę państwa: wsiadamy do autokaru i jedziemy do Rhetymnonu. Tam czeka nas statek. Rejs trwa cztery godziny. Na pokładzie dostaną państwo śniadanie. Są tam także sklepy, restauracja i drinkbar.

— Nie boisz się choroby morskiej? — pytam Zosię, która nerwowo zmienia film w aparacie.

— Boję się, ale poświęcam się dla ciebie.

Statek robi wrażenie. Woda w porcie wygląda ponuro, jest granatowoczarna.

Na pokładzie pani Klaudyna kieruje nas do kantyny. Kolejka do szwedzkiego stołu jest porażająca.

— Przepraszam! Czy to śniadanie kontynentalne? — dopytuje się starsza pani, która zaczepiała nas na lotnisku.

— Czyli co? — pan Zbyszek ma dziś fatalny humor.

— No... rogalik z dżemem i kawa.

— Kpi sobie pani czy co? — grubasek wścieka się coraz bardziej. — Ja tu zapłaciłem sto euro za te Santorini i nikt mi nie będzie, kurna, serwował samego dżemu na śniadanie!

W kolejce podnoszą się równie oburzone głosy.

— Proszę państwa! Kto wam powiedział, że tam tylko dżem dają! — rudowłosa, zadbana czterdziestolatka zwraca się do wszystkich z niezwykłą pewnością siebie. — Mój synek Rafał przepechnął się tam i podejrzwał! No chodź! Powiedz państwu, co widziałeś! — woła piegoatego dziesięciolatka.

— Widziałem parówki i jajecznicę! — mówi dumnie chłopiec.

— O! To już lepiej! — pan Zbyszek się uspokaja.

Gdy docieramy do stołu, jajecznica jest już zimna, a parówki letnie. Wychodzimy na pokład. Rzeczywiście solidnie wieje. Wszystkie plastikowe krzesła są już zajęte.

— Zostajemy tu, czy wracamy do środka? — pytam, ale moja siostra jest podejrzanie zielona na twarzy i pokazuje, że nie może mówić.

— To fakt, ostro buja, ale żeby od razu wymiotować? Pomagam jej dojść do siebie w toalecie. Z sąsiedniej kabiny wychodzi Basia, równie zielona i rozczochrana.

— Ja myślę, że to przez te ohydne parówki! — stwierdza Zosia.

Basia znowu zakrywa usta i błyskawicznie znika w kabinie.

Pod damską toaletą waruje pan Kazio. Łapie mnie za łokieć i dopytuje się zdenerwowany.

— Mam pytanie! Pani, jako kobieta, może mi na nie odpowiedzieć! Czy te mdłości u mojej żony to znaczy, że już...?

— Co „już”? — dziwię się.

— Że się udało! Bo my bardzo się staramy! Wie pani! Codziennie!

— A! To! — zaczynam rozumieć. — To chyba raczej nie ta przyczyna! Moja siostra też wymiotuje, a nie jest w ciąży. To przez bujanie.

— Bujanie, mówi pani? Ano tak. A to szkoda — pan Kazio wyraźnie się zasmuca.

Znajduję Zosię w drinkbarze. Przysypia w ogromnym fotelu.

Dzwonię do Bogdana. Na szczęście nie ma tu problemów z zasięgiem.

— Dziękuję za pomoc! Jesteś niesamowita! Zgłosiło się bardzo dużo osób!

— Jak Hanka? — pytam z obawą.

— Bardzo słaba. I wiesz... najgorsze jest to, że na tym oddziale tak wiele osób umiera. To odbiera nadzieję! To koszmarnie! Pamiętasz Luizę? Odeszła... wczoraj wieczorem.

Milczę porażona.

— Nie słyszę cię! Jesteś tam? — krzyczy Bogdan.

— Jestem. Czy to się stało przy Hance?

— Na szczęście nie, bo była na badaniach.

Po tej rozmowie idę wypłakać się do toalety. Poprawiam makijaż. Zakładam ciemne okulary. Na pokładzie wieje silny wiatr, oczy łzawią mi od tych podmuchów.

Santorini jest fascynujące. Domki budowane na stromych zboczach, jakby piętrowo. Niedaleko wulkan, który w każdej chwili może zniszczyć ten bajkowy pejzaż.

— Wiele tysięcy lat temu erupcja wulkanu spowodowała gigantyczną falę tsunami, która błyskawicznie dotarła na Kretę — pani Klaudyna znudzonym głosem odczytuje nam rozdział z przewodnika.

— Macie państwo kwadrans na zrobienie zdjęć i zakupy, i ruszamy dalej! — ogłasza. Biegamy więc z Zośką po okolicznych sklepikach.

Wybieram słodkie wino Vinsanto produkowane tylko tutaj.

— Kupiłbyś mi coś ze złota! — marudzi żona Zbyszka.

Ceny misternych pierścionków przyprawiają o zawrót głowy, więc jej mąż jest wściekły.

— Weź się opanuj! To cacko kosztuje tyle, co dwuletni opel!

Kolejną atrakcją jest przejażdżka na osłach, które przetransportują chętnych ze stromego zbocza do portu. Cena tej przyjemności — pięć euro.

Pozostali mogą zjechać kolejką linową.

— Jedzie pani na osłe? — pyta Basia. — Mój mąż nie chce, a ja sama się boję!

Zosia chwytą za aparat. Wiem, że wyglądam śmiesznie, sie-

dząc okrakiem na tym biednym zwierzęciu, ale trudno! To zdjęcie powinni mieć wszyscy moi pracownicy!

Jestem przerażona, gdy okazuje się, że osły wcale nie będą prowadzone za uzdę. Idą sobie swobodnie, czyli zygzakiem, po niesamowicie stromych, kamiennych schodach. Ich kopyta ślizgają się w odchodach. Popychają się nawzajem i zachodzą sobie drogę. Ich właściciel — Grek, wrzeszczy coś tylko niezrozumiale. Jestem sinoblada ze strachu, gdy mój osioł zbliża się do urwiska. Gdybym spadła, to zostałyby ze mnie miazga: około dwudziestu piętér w dół, skały, kamienie.

Ku mojemu zdumieniu Basia świetnie się bawi i chichocze, gdy jej osioł popycha mojego. Dawno nie miałam tak ekstremalnych przeżyć!

Moja siostra czeka na mnie na dole i wyciera sandały upaprane odchodami zwierząt.

— Co? Fajnie było? — śmieje się, gdy widzi moją minę.

— Jakie one biedne! Takie chude i brudne! — Basia rozczuła się, gdy mąż pomaga jej zejść na ziemię.

— Rzeczywiście biedne! — wzdycham. Widzę, jak pan Zbyszek majestatycznie kołysze się na grzbiecie osła, któremu trzęsą się nogi.

— Żona nie chciała się przejechać? — pytam go uprzejmie.

— No nie chciała! Woląta te wagoniki! — wzrusza ramionami.

Wycieczka na Santorini trwa krócej niż sam rejs. Powrotne cztery godziny spędzamy w sali restauracyjnej. Orkiestra rzępoli melodię z *Greka Zorby*, Panu Kaziowi głowa opada na piersi.

— Mąż jest zmęczony, a kawy nie pije, bo ma za wysokie ciśnienie — wzdycha Basia.

Znowu tłoczmy się w kolejce do szwedzkiego stołu. Obiadokolacja pachnie całkiem przyjemnie, ale po pierwsze, porcje nakładają kucharze i są one niewielkie, a po drugie, kto już raz odszedł od stołu, to już do niego nie podejdzie. Kierownik sali, jak widać, rozgryzł manewry grupy z Polski, która wyjadała jedzenie w ekspresowym tempie.

— Jak oni nas tutaj traktują! — pan Zbyszek jest oburzony. — Chciałem iść, kurna, po dodatkę zupy i miecha se jeszcze przy okazji nałożyć, a to zagrodzone i człowiek zaraz głodny z powrotem będzie!

Jego żona dziobie frytki widelcem. Różowy top bez ramiączek podkreśla opaleniznę, a białe, postrzępione szorty minimalnie przykrywają posągowe uda.

— Ty byś tylko jadł i jadł! Albo jadł i pił! — wzdycha.

— A co nie? Prawdziwy facet jestem! Wszystko jest dla ludzi! — odpowiada przekornie jej małżonek.

— Chodźmy, bo zwariuję! — Zośka zrywa się od stołu.

Na górnym pokładzie znajdujemy wolne krzeselka i zamawiamy sok z arbuza.

— Muszę tu zabrać Xenię i Tomka! Może będzie taka opcja w jakimś biurze podróży: tydzień na Krecie i tydzień na Santorini — zastanawia się moja siostra.

— Mam pytanie! — pan Kazio znajduje nas pośród tłumu turystów z całego świata. — Nie wiedzą panie, jak długo będzie grać ta orkiestra, bo próbowałem się zdrzemnąć, ale mam miejsce tuż przy głośnikach.

— Orkiestra będzie grała do końca! Jak w Titanicu! Dzwonili do mnie z Polski! Kolejne biuro podróży zbankrutowało! — starsza pani zapala papierosa umieszczonego w długiej fifce.

## Niedziela

— Coś pani pokażę! Coś ekstra! Chce pani? No! Chce pani? — ktoś gwałtownie zasłania mi słońce.

To chudy dziewięciolatek Rafał.

— Niech pani weźmie ze sobą trochę chleba! Ma pani? Nie? To ja pożyczę swojego.

Zwlekam się z leżaka, Moja skóra lśni od balsamów i potu. Zastanawiam się, czy mały nie ma kolegów w swoim wieku i dlaczego zaczepia akurat mnie!

— Tędy! — Rafał pokazuje mi mostek wśród zarośli.

— Na dole! Widzi pani! Jak rozrzucę chleb, to podpłynie ich więcej! — mały jest podekscytowany.

Patrzę, jak śliczne żółwie podpływają i wyciągają szyje. Jest ich coraz więcej.

— W czwartek znokoutowałem jednego kromką chleba, to

znaczy, tak mi się wydawało, bo schował się pod wodę, ale nie myśli pani, że go zabiłem? Nie mógłbym!

Spotykam go znowu w autokarze. Jedziemy do aquaparku. Zośka wierci się niecierpliwie.

— Ośmieszymy się tylko! Co my będziemy tam robić?

— Nie bądź taka zasadnicza! Każdy ma w sobie dziecko! — przekonuję ją.

— Nie, no ja rozumiem. Przez cały rok zgrywasz ostrą szefową, to teraz chcesz się pobawić jak mała dziewczynka!

— Właśnie! — potakuję.

— Dobrze, że mam aparat! Będzie niezła pamiątka!

Na miejscu okazuje się, że moja siostra ma w sobie jednak odrobinę dziecka, bo bawi się świetnie.

Mamy ochotę przetestować najbardziej stromą zjeżdżalnię: z dzikim krzykiem pędzimy w dół, prosto do basenu, z wysokości ósmego piętra. Ekstremalne przeżycie! Zabójcze tempo i wokół tylko ściana wody. Po tej przygodzie Zośka obraża się na mnie na dwie godziny.

— Mogłam dostać zawału serca, udaru, epilepsji! — wścieka się.

— Ale nie dostałaś! — wzruszam ramionami.

— Szkoda, że nie zabrałam Xenii — moja siostra zamyśla się, gdy sączymy lodowate drinki.

— To duża dziewczyna! Ma swoje życie! Nie może jeździć wszędzie z mamusią — tłumaczę jej.

— Dla mnie ona zawsze będzie moją małą córeczką. Tak niewiele wie o życiu i mam nadzieję, że nieprędko się dowie — Zośka smutnieje.

— Xenia da sobie radę! Daliście jej tyle miłości.

— Wiem, ale ona jest delikatniejsza niż Karolina. Twoja córka ma ogromną siłę przebicia, a Xenia tego nie ma.

— Nie wiem, czy to jest zaleta. Karola uważa, że ma zawsze rację i niespecjalnie zastanawia się nad tym, co robi...

Wieczorem w naszym hotelu ogromne poruszenie. Obiecywany wieczór folklorystyczny i grill!

Szykujemy kreacje — ja wybieram połyskującą piękną srebrzystą suknię na ramiączkach, rozciętą do połowy uda, a moja sio-



stra T-shirt ze swojej firmowej kolekcji z napisem MÓJ NAJLEPSZY PRZYJACIEL TO BATMAN i zielone szorty o numer za duże.

Przy pięknie podświetlonym basenie spotykamy pana Zbyszka, który z zainteresowaniem obserwuje przygotowania.

— Widziałem ich tancerki! Całkiem całkiem te Greczynki! — rozmarza się.

— Tak w samych slipkach pan wystąpi? — dziwi się Zosia.

— A co? Kurna, gorąc jak jasna cholera, to w czym mam łązić! Slipy są firmowe! O! Tu jest logo! — grubasek rechocze.

Idziemy na drugą stronę basenu, bo moja siostra gotowa jest zabić pana Zbyszka wzrokiem.

— Chce pani coś zobaczyć? — Rafał ubrany jest dziś odświętnie i na biało. Czapeczkę ze świnką BIG PINK ma założoną daszkiem do tyłu.

— Już widziałam żółwie! — wzdycham.

— Nie żółwie! Coś innego! — mały nie daje za wygraną.

— On cię lubi! — śmieje się Zosia.

— Ja nikogo nie lubię! Pokazać coś pani? — Rafał ciągnie mnie za rękę.

Idziemy na tyły hotelowej restauracji. Nie docierają tutaj ostre światła. Słyszę brzęk talerzy i głośne rozmowy.

— To tam! — mały mówi teatralnym szeptem. — Widzi ich pani?

Z trudem dostrzegam dwie ciemne sylwetki. Po chwili rozpoznaję żonę pana Zbyszka i greckiego barmana objętych w czułym uścisku!

— Całują się! — stwierdza Rafał z triumfem. — Niech pani nikomu nie mówi! Zwłaszcza mojej mamie!

— Obiecuję! Chodźmy na kolację! — zabieram go szybko.

Wieczór folklorystyczny kończy się wspólnym biesiadowaniem. Jem już czwartą porcję. Czuję, że po powrocie do Polski nie zmieszczę się w moje ciuchy.

— Mam pytanie! Próbowwały panie żeberka u tego wysokiego kucharza? — pan Kazio ma koszulę zachlapaną piwem.

— Jak ty jesz, kochanie, ludzie patrz! — strofuje go Basia.

Poniedziałek

Po śniadaniu dzwonię do Hanki.

— Już dobrze?

— Dobrze. Trochę fałszywy alarm, ale dzięki za pomoc! — jej głos jest jeszcze słaby.

— Świetnie! Nie męczę cię w takim razie.

— Ale męcz mnie dalej! Jakie ja mam tutaj rozrywki? Od czasu do czasu ktoś umrze i to wszystko! — mówi Hanka z goryczą.

— Tak, słyszałam o Luizie — wdycham.

— Opowiedz mi o Krecie. Nigdy nie byłam w Grecji.

— Wszystko opowiem, jak wrócę.

— Wyrwałaś jakiegoś beach-boy'a?

— Staram się, ale są oporni. Podbijam więc cenę... — próbuję żartować w jej stylu.

Hanka opowiada mi o pani Krysi, która teraz zajmuje z nią salę. Staruszka jest bardzo energiczna i odwiedzają ją tabuny wnuków i prawnuków.

— To gehenna! Krzyczą! Włóżą wszędzie! Zbili mi kubek i czajnik elektryczny, ale pani Krysia jest wspaniała i te jej opowieści!

Moja siostra namawia mnie na obchód okolicznych sklepów z pamiątkami. Oglądamy koszulki, czapki i materace w kształcie gigantycznych telefonów komórkowych.

Przeoglądam stojaki z gazetami. Są czasopisma z Niemiec i Anglii. Znajduję także kilka polskich magazynów, ale sprzed dwóch dni.

Zośka ma dylemat: kupić mniejszy czy większy wazonik? Większy jest ładniejszy, ale może nie wytrzymać podróży samolotem, a mniejszy jest brzydszy, ale poręczniejszy.

Zostawiam ją z tym problemem i łapię pierwszy z brzegu polski brukowiec. Czytam o sposobach na upał, przeglądam wywiady, a jeden z nich przykuwa moją uwagę: **BYŁEM OCHMISTRZEM GWIAZDY!** Na dużym zdjęciu Teddy z potężną patelnią. Nazywa siebie „stylistą kuchni *fusion*”. Twierdzi, że gotował dla gwiazd, między innymi dla mojej córki, i że ma w planach otwarcie restauracji. **Właśnie znalazł sponsora!** „Moja kuchnia jest tym dla XXI wieku, czym był Picasso dla sztuki nowoczesnej XX wieku! Eksperymenty! Szaleństwo! Wolność! Żadnych granic!”

Duszę się od śmiechu i zastanawiam, dlaczego ten tupeciarz nie wspomina, że nie tylko gotował u Karoliny, ale także sprzątał, prasował, odkurzał.

Zoska ma w planach oglądanie jeszcze dziesięciu pocztówek, więc spokojnie wybieram numer Karoli.

— Kochanie! Co u was? Wszystko w porządku?

— W porządku! — mówi moja córka grobowym głosem.

— Znalazłam tutaj gazetę sprzed dwóch dni. Widzę, że wasz Teddy robi karierę!

— Już nie nasz! — syczy Karolina.

— Odszedł? — dziwię się.

— Nie! Wyrzuciliśmy go! Podkradał moje ciuchy! Mamy podobny rozmiar! Zginęły mi džinsy z Londynu z aplikacjami, rodzaj unisex, a potem moja przyjaciółka widziała go w tych spodniach w Przedsiębiorstwie Geodezyjnym.

— Gdzie?

— Mamuś! To nazwa klubu!

— No ładnie! Złodziej! I jaki tupet! Kto wam teraz pomaga? Przecież ty niedługo rodzisz!

— Nie tak niedługo! Od czasu do czasu wpada mama Bruna!

— A! To współczuję! — uśmiecham się.

Kilka godzin później spaceruję uliczkami Chanii z Zosią, panem Kaziem i jego żoną.

— Szkoda, że nie zostaniecie jeszcze drugi tydzień! — wzdycha Basia. — Przecież tu nie opłaca się przyjeżdżać na tak krótko! Zostajecie kolejne siedem dni za jedną trzecią ceny!

— Mądry Polak po szkodzie — wzdycha moja siostra.

— Mam pytanie! Popłyną panie ze mną łodzią podwodną? — pan Kazio studiuje ogromny afisz przyklejony na rozgrzanym murze.

— Patrzcie! Można obejrzyć niezwykle rzeczy! — rozmarza się jego żona.

— Ty nie płyniesz! Pamiętasz, co było na Santorini? — pan Kazio jest stanowczy.

— Nie zrobisz mi tego! — Basia robi naburmuszoną minę.

Łódź podwodna jest żółta i wygląda dość niepozornie. Cena tej przyjemności to piętnaście euro.

Schodzimy ostrożnie pod pokład wielkości sporej trumny. Nie wiem, skąd mam takie skojarzenia. Oprócz nas jest dziesiątka turystów.

Odpływamy i buja coraz silniej. Powietrza jakby coraz mniej. Wachluję się elegancką ulotką zachęcającą do tego niezapomnianego rejsu i brukowcem z Teddym na okładce. Wpatrujemy się z napięciem w szybę, za którą miał być podwodny świat. Wszyscy są mokrzy od potu, tuż przed naszymi twarzami przepływa butelka, za nią kalosz.

Basia robi się sina. Moja siostra dla odmiany zielenieje. Buja coraz mocniej. Teraz wiem, czym jest klaustrofobia. Jestem jakieś dwa metry pod wodą, do wyjścia mam najdalej ze wszystkich, zresztą oni blokują mi drogę. Co będzie, jak dostanie się tu woda? Czuję, że zaraz albo zwymiotuję, albo zemdleję! Patrzę na Zośkę. Błyskawicznie podejmujemy decyzję! Jeden z marynarzy pomaga nam wyjść na pokład.

Okazuje się, że na górze jest już spora grupa osób trzymających torby foliowe w dłoniach. Na szczęście jeszcze puste.

Wieje potężny wiatr, ale tu na powietrzu jest całkiem przyjemnie. Powietrze! Dużo powietrza!

Basia jest cała spocona, ale dzielnie się trzyma. Pan Kazio nie ma siły nic mówić.

— Za piętnaście euro obejrzelśmy latarnię morską od drugiej strony portu. Wygląda tak samo, jak z brzegu — wzdycham.

## Wtorek

Dziś o północy wracamy do Polski. Jestem przygnębiona i z żalem myślę o porzuceniu beztroskiego życia. Już nie będzie morza, plaży, cudownych krajobrazów. Wrócę do pracy, do wieżowca podobnego do akwarium, do dziesięciogodzinnego dnia pracy, do świata pełnego zawiści i niezdrowej rywalizacji.

Zwiedzamy jeszcze Heraklion i Knossos. Pan Kazio i jego małżonka zostali w hotelu, bo „skorupy to raczej ich nie interesują”.

Wszędzie towarzyszą nam cykady. Są niezwykle. Ich odgłosy zagłuszają nawet głośne rozmowy.

Ku mojemu zdumieniu w Muzeum Archeologicznym żona pana Zbyszka zadaje przewodniczce całkiem inteligentne pytania. Zastanawiam się, dlaczego zmylił mnie jej wygląd? Dlaczego uznałam, że kobieta, która obwiesza się złotem i nosi mikroskopijne spódniczki, nie może błysnąć inteligencją?

— Zawsze oceniasz ludzi po wyglądzie! — Zośka krzywi się. — Tak nie można! Ta osoba ma pewnie ukończone dwa fakultety i robi doktorat!

— Pan Zbyszek nie wygląda mi na naukowca!

Jego żona ma na imię Kama. Gawędzimy chwilę, czekając na przyjazd autokaru.

— Sama pani zwiedza Heraklion i Knossos? Mąż nie chciał wybrać się na wycieczkę? — pytam.

— On się nie nadaje na takie wypadki! — Kama prychna i poprawia wielkie okulary przeciwsłoneczne z logo Coco Chanel.

— W muzeum od razu bołą go nogi, jest mu duszno, mówi, że nie ma sensu interesować się tym, co było kiedyś. Trzeba zająć się tym, co jest teraz — Kama zamyśla się.

— Czyli czym?

— On mówi, że woli dokładnie zgłębiać ludzi, a nie obrazy, rzeźby, kościoły. A człowieka najlepiej poznaje się przy kieliszku.

— Chyba nie za bardzo do siebie pasujecie — moja siostra jest trochę zbyt bezpośrednio.

— Wie pani, ja jestem elastyczna, a on ma także swoje zalety. Trzeba być tolerancyjnym w związku. Właśnie! Tak myślę! Tolerancja to podstawa!

Kama zapala papierosa. Zastanawiam się, ile ma lat. Kim jest? Z bliska nie wygląda tak młodo, myślę, że już dość dawno temu skończyła trzydzieści lat.

W drodze powrotnej do Cavros pani Klaudyna nie daje nam spokoju. W firmowej czapeczce BIG PINK i z ogromnym identyfikatorem kręci się po autokarze i rozdaje ankiety z logo biura.

— Wasze opinie są dla nas niezwykle cenne! Oczywiście są one anonimowe! Bardzo prosimy o szczerą i wyczerpującą odpowiedź!

Nie chce mi się myśleć. Zośka jest jednak bardzo zainteresowana ankietą i pożyczka długopis od Kamy.

Dzwoni Bogdan. Na moment serce przestaje mi bić w normalnym rytmie.

— Czy coś z Hanką? — krzyczę.

— Dzień dobry! Świetnie cię słyszę! Jakbyś była tu, w Warszawie. Nie miałem do kogo zadzwonić, a bardzo chciałem podzielić się z kimś dobrymi nowinami, nie chcę ci przeszkadzać, odpoczywasz przecież! — tłumaczy się nieporadnie.

— Mów! — denerwuję się.

— Poprawiły się jej wyniki badań! Rozmawiałem z lekarzem. Podchodzi do jej przypadku z umiarkowanym, ale jednak optymizmem. Mówi, że Hanka ma silny organizm i wolę życia. Ja... — jego głos załamuje się na chwilę.

— To doskonała wiadomość! Jutro będę w Warszawie. Wpadnę do niej, jak tylko odpocznę po podróży! — zapewniam go podekscytowana.

— Lubię z tobą rozmawiać. Umówimy się na kawę? — pyta bardzo cicho.

— Oczywiście. Zadzwonię jutro!

Pakujemy się po kolacji. Zgadzam się z Zosią, że to idiotyzm przyjeżdżać na Kretę tylko na tydzień! To jak lizanie cukierka przez papierek.

Idziemy jeszcze na plażę. Robi się ciemno. W oddali kilka przytulonych par. Z naszego hotelu dobiegają dźwięki dyskoteki.

— Przywiozę tu Tomka i Xenię! I ciebie jeszcze raz! Z jakimś facetem wreszcie! — wzdycha moja siostra.

— Z jakimś inteligentnym, przystojnym, dowcipnym i... — rozmarzam się.

Zamawiamy ostatnie drinki przy basenie. Kama pije samotnie przy barze. Nigdy nie widziałam kogoś tak opalonego. Wygląda jak Cyganka. Ma błękitny top wiązany na szyi i dżinsową minispódniczkę.

— Niech panie nie pytają: „Gdzie mąż”! Bo na szczęście nie mam pojęcia! — mówi.

Widzę, że jest lekko wstawiona.

— Wspomniałam już o wolności i tolerancji! Nie jesteśmy bliźniętami syjamskimi! — podnosi głos.

— Ale my o nic nie pytamy! — uspokajam ją.

— To dobrze, a tak naprawdę to nie jest dobrze! Wszystko się jakoś pogubiło... — zaczyna płakać.

Jesteśmy przerażone. Zanim udaje nam się wykrztusić słowo, Kama gwałtownie prostuje się na krześle.

— Robię z siebie widowisko! Przepraszam! Zawsze upijam się na smutno! Dobrze wam, że już wyjeżdżacie!

— Niby dlaczego? — Zosia ma głupią minę.

— W takim raju człowiek uświadamia sobie, że tak naprawdę na co dzień żyje w piekle!

Żegnamy się ze wszystkimi: z panem Kaziem i jego żoną, z Rafałem i jego mamusią, z panem Zbyszkciem, który odnalazł się przy recepcji. Okazało się, że zatrzaskał drzwi od pokoju, a klucz został w środku.

— Kurna! Przez takie duperele nie mogę iść po fajki! Szukają właściciela hotelu, który ma dostęp do zapasowych kluczy! Ale cyrk!

Wreszcie nasz autokar powoli odjeżdża. Jest ciemno. Kilka osób macha z balkonów. Szczęściarze!

Widzę jeszcze przy barze samotną Kamę i jej męża miotającego się po recepcji, obserwuję pana Kazia i Basię trzymających się za rękę...

## Środa

W Warszawie leje deszcz. Przemoczona o piątej rano docieram do domu.

Wszystko ładnie, bo niezawodna pani Tosia wysprzątała dokładnie każdy centymetr mojego mieszkania.

Lustro w łazience pokazuje mi, że rzeczywiście moja opalenizna jest całkiem imponująca.

Śpię do czternastej. Trochę się przejaśniło. Jutro muszę być w pracy i ta świadomość psuje mi humor.

Dzwonię do Karoliny.

— Kochanie! Kiedy się spotkamy? Robiłaś badania?

— Robiłam. Mam problem — j e j głos jest posępny.

— Boże! Co się stało?

— Nie wiem, jakie wybrać przedszkole: europejskie, językowe, artystyczne, ekologiczne, katolickie? No nie wiem, tak samo z imionami jest problem! Podoba mi się kilkanaście, na przykład: Kalista, Eurydyka, Eunice, Afrodyta, Famke, Arystoteles, Woody...

— Co ty z tym przedszkolem? Przecież to jeszcze za wczesnie! — przerywam jej.

— Zawsze mówiłaś, że jestem nieodpowiedzialna, no więc postanowiłam być poważną matką i dowiedziałam się, że do niektórych przedszkoli, tych elitarnych, zapisy prowadzone są z kilkuletnim wyprzedzeniem!

— Niemożliwe!

— Możliwe i trzeba zapłacić wpisowe, żeby trzymali miejsce dla twojego dziecka! Mam takie jedno na oku. Chcę tam pojechać, rozejrzeć się, ale Bruno pracuje. Może ty byś...

— Jasne! Kiedy?

Po tej rozmowie chce mi się śmiać. Nie poznaję Karoliny. Nigdy nie była tak przewidująca i zapobiegliwa.

Jadę do szpitala. Mam kilka drobiazgów z Grecji dla Hanki. Cieszę się na myśl, że spotkam u niej Bogdana, ale niestety! Nie ma go!

— Chodź! Chodź! — moja przyjaciółka siedzi na łóżku. Serce mi prawie pęka, gdy widzę przekrzywioną chustkę na jej głowie.

— No co? Bogdan ogolił mi głowę kilka dni temu. Te włosy wypadały już bez przerwy! Podobno odrosną mi mocniejsze!

Opowiadam jej o Krecie. Bardziej skupiam się na ludziach, a nie na cudownych widokach i atrakcjach. Nie chcę, aby było jej przykro.

— Brat wpada do ciebie? — pytam niby obojętnie.

— Jasne! Zaraz tu będzie! Biedaczek robi mi pranie, gotuje, sprząta... — śmieje się Hanka.

— To dobrze...

— No! Wychowuję go dla innej kobiety! Lepiej późno niż wcale!

Przyglądam się nowej sąsiadce Hanki, słynnej pani Krysi. Śpi, cicho pochrapując.

— Jak ci się z nią żyje na jednej sali?

— Mówiłam ci! Koszmar! Na szczęście trafiłaś na jej drzem-



kę, bo inaczej to byśmy nie porozmawiały. Przyczepiła się do Bogdana! Chce go swatać ze swoją wnuczką albo ewentualnie z siostrzenicą! Pani Krysia ma wielką rodzinę.

— A co on na to?

— Sama go zapytaj!

W drzwiach stoi brat Hanki z wielką torbą wiktuałów. Ma podkrążone oczy, jest nieogolony, ale ubrany elegancko, odrobinę na luzie.

— Witam panie! — uśmiecha się.

— Cicho! Obudzisz panią Krysię! — moja przyjaciółka grozi mu palcem.

— To dobrze! Pogadam z nią o zasadniczej kwestii: wnuczka, a może siostrzenica? Bo mam dylemat! — Bogdan przysuwa sobie stołek.

— Wnuczka jest młodsza, ale brzydsza. Nie ma na przykład zęba z przodu — chichocze Hanka.

— Uwierz mi: to drobiazg! Siostrzenica jest ładniejsza, ale dobrze po czterdziestce — śmieje się Bogdan.

— Pani Krysia wtajemniczyła nas we wszystkie niuansy dotyczące jej rodziny. Jej wnuczka ma na imię Viola i jest kucharką w przedszkolu — tłumaczy moja przyjaciółka.

— A siostrzenica to rozwódka z czwórką dzieci. Pracuje w mięsnym na Woli. Podobno ma wielu adoratorów, więc nie wiem, czy się załapię — brat Hanki wzdycha głęboko. — Przyszła tu parę razy, no i ja, prawdę mówiąc, trochę boję się takich kobiet!

— Masz świeżą prasę? — moja przyjaciółka zagląda do jego torby.

— Wysyła mnie codziennie po gazety! Czyta wszystko: prawicowe, lewicowe, centrowe, brukowce — Bogdan rozkłada ręce.

Po godzinie odprowadza mnie do samochodu. Umawiamy się na kawę: jutro na Nowym Świecie. Wieczorem. Komplementuje moją opaleniznę. Robi to na mnie spore wrażenie, ale udaję, że jest dokładnie odwrotnie.

Jestem w redakcji przed ósmą. Wita mnie uszczęśliwiona Marysia. Włosy ufarbowała na marchewkowy odcień. Wciśnięta jest w zielony zakieciak z broszką w kształcie potężnego motyla i długą, wełnianą spódnicę z kolorowymi frędzlami.

— Jak to dobrze, że pani jest! — uśmiecha się do mnie szeroko. — Kawa już czeka!

Damian opowiada mi o wszystkim, co działo się w zeszłym tygodniu. Dodaje z dumą, że oddał krew dla Hanki.

— Co z nią? — pyta, bawiąc się długopisem.

Zastanawiam się, czym mnie jeszcze zaskoczy, dlaczego wątpiłam, że zachował w sobie resztki człowieczeństwa. Dlaczego od razu utwierdziłam się w przekonaniu, że nie ma żadnych zasad?

W przerwie na lunch wypatruję Marcina, ale niestety... Widzę kilka osób z jego firmy, ale on się nie pojawia.

Godzinę później cała nasza redakcja wstrząśnięta jest wiadomością o pobiciu Tymona na Dworcu Centralnym. Udawał tam bezdomnego (do swojego cyklu reportaży: *Sceny z życia Polaków...*). Wcześniej wcielał się już w role grabarza i śmieciarza. Niestety, tym razem zajął czyjś rewir.

Damian natychmiast jedzie na komendę. Boję się trochę o Tymona, bo to niebezpiecznie zakręcony dziwak.

Na szczęście sprawa powoli się wyjaśnia. Wieczorem dostaję informację, że mój dziennikarz ma tylko podbite oko. Marysia podaje mi herbatkę z melisy.

— To pomaga na nerwy! — wzdycha.

— Co ty tu jeszcze robisz? — dziwię się.

— Też się denerwowałam, nigdy nic nie wiadomo, tam jest pełno narkomanów, a jeżeli coś mu wstrzyknęli?

— Nic mi o tym nie wiadomo, ale obiecuję, że redakcja sfinansuje mu wszystkie badania! Nie martw się! — uspokajam ją.

— Ja się nie martwię! — obrusza się Marysia.

Proponuję, że podwiozę ją do domu, ale wykreca się. Twierdzi, że mieszka niedaleko.

W domu zastaję Karolinę. Przytyła. Ma problemy z cerą. Do-

biera się do moich słoików w nutella.

— Jak się cieszę, że wpadłaś! — przekrzykuje telewizor.

— Cześć, mamuś! Przywiozłaś coś? Jakies ekstrasfanty?

Jest taka sama, jak dwadzieścia lat temu. Mała, interesowna bestyjka.

— Nie pytasz, jak było? — wzdyham, szykując kolację.

— Przecież wiem, że zaje...fajnie. Opaliłaś się, zabawiłaś, poznałaś kogoś? — Karolina oblizuje łyżkę.

— Wiesz, że nie szukam przygód! — macham ręką.

— Wiem! To źle! Jakbyś się odrobinę wyluzowała, to od razu ktoś by się znalazł!

— Nie mam zamiaru nikogo szukać! Jest mi dobrze tak, jak jest! — stwierdzam stanowczo.

— Wcale nie jest ci dobrze! Tata mówi, że powinnaś sobie kogoś znaleźć, tak jak on, to od razu spojrzysz na wszystko z dystansem! — mówi moja córka z ogromną pewnością siebie.

— Tata kogoś ma? — udaję zaskoczenie.

— A ma! Śmieszne, nie? On chce, żebym ją poznała. Mówi, że jest cudowna. Skąd on ją wytrzasnął? — Karolina zamyśla się głęboko.

Nie chcę wtajemniczać jej w zawirowania uczuciowe mojego byłego męża. Niech on sam opowie swojej jedynaczce, jak ukradł znajomemu żonę, i to w dość dramatycznych okolicznościach.

Gdyjemy razem kolację, dopytuję się o Bruna. Karolina wzu-  
sza ramionami.

— Jestem jak słońca. Nie wiem, co on we mnie widzi!

— Nie bądź taka skromna — głaszczę ją po głowie. — Jesteś cały czas piękna i atrakcyjna.

— Nie ściemniaj! — moja córka potrząsa głową. — Nie wiem, co się ze mną dzieje! Ciagle płacze albo się śmieję! Bruno pewnie ma mnie dosyć!

— Bzdury! Przecież on wie, że tak bywa w ciąży!

— Nie wie! Skąd ma wiedzieć! — Karolina gwałtownie wstaje od stołu. — Wezwij mi taksówkę! Pamiętaj! W poniedziałek mamy wizytę w tym przedszkolu!

Pomagam jej włożyć lekki, różowy płaszczyk.

— Bruno nie może pójść tam z tobą? — pytam delikatnie.

— On się nie zna! Zresztą wyjeżdża do Londynu na tydzień!  
Ciągłe gdzieś wyjeżdża! Mówię ci! On ma mnie dość!

Nie mogę zasnąć, przewracam się z boku na bok. Otwieram okno, bo jest duszno, a potem zamykam, bo sąsiedzi dyskutują głośno na balkonie. Myślę o Karolinie. Zastanawiam się, czy rzeczywiście ma problemy w związku.

Piątek

W redakcji to Tymon jest dziś bohaterem. Opowiada każdemu, kto się nawinie, o niebezpiecznej przygodzie na Dworcu Centralnym.

— Rozpracuję ten gang, tę mafię! — ogłasza z dumą.

Damian puka się w czoło. Wychudł ostatnio i przybladł. Pytam go o urlop, ale jest tajemniczy.

— Nie myślę o wyjeździe. Najpierw tutaj trzeba wszystko ogarnąć!

Rozumiem aluzję. Prawdopodobnie jego zdaniem ja tego nie ogarniam i on, biedactwo, musi się poświęcić!

Udaje mi się wyrwać po południu i jadę na Nowy Świat. Czy ktoś kiedyś policzył, ile tu jest knajpek?

Jestem umiarkowanie elegancka, makijaż odświeżony. Nałożyłam kosztowną bluzeczkę z głębokim dekoltem. Opalenizna trzyma się świetnie.

Bogdan już jest! Z różą!

Czerwienię się jak pensjonarka.

— To dla ciebie! Powinien być cały bukiet, ale nie chciałem wydać się staromodny. — śmieje się.

— Dziękuję.

— A wyszedłem na sknerę. Pozwolisz, że dziś ja stawiam.

— Pozwolę — wzdycham.

Trudno nam wybrać kawę, bo jest ich tutaj kilkadziesiąt rodzajów.

— Widziałaś nazwę tej knajpki? Kafeya! To brzmi swojsko!  
— Bogdan rozsiada się na czerwonej kanapie.

— Jak Hanka? — dopytuję się.

— Jest lepiej, ale oznacza to tyle, że jej organizm zaczyna dobrze znosić chemię — zamyśla się.

— Aż tyle! Nie można widzieć wszystkiego w czarnych barwach! — stwierdzam stanowczo.

— Zazdroszczę ci optymizmu. Tłumaczę sobie codziennie, że medycyna idzie do przodu i ratuje gorsze przypadki, ale gdy wracam do pustego mieszkania, jej mieszkania, i oglądam zdjęcia na ścianach, to zaczynam wariować!

Czy mi się wydaje, czy naprawdę on ma łyzy w oczach? Czuję się nieswojo.

— A wasi przyjaciele, znajomi, rodzina, wiedzą o Hance?

— Raczej nie. Małą mamy rodzinę.

— Dobrze jest czasem z kimś pogadać — zamyślam się.

— No i gadam z tobą! Lubię z tobą rozmawiać... Z przyjaciółmi porozumiewam się tylko przez Internet, bo jeden siedzi w Indiach, a drugi w Paryżu.

Kelnerka przynosi kawę z cynamonem. Bogdan słodzi obficie.

— Czemu tak mi się przyglądasz? Jest jakaś teoria, ile prawdziwy mężczyzna powinien używać cukru? — śmieje się.

— Zero! — mówię stanowczo z poważną miną.

— Ach! A jakie mi zostały przyjemności? Przecież mimo wszystko nie jestem jeszcze brzuchaty i dodam, że wciąż jestem wysportowany!

Rozśmiesza mnie. To dobrze, że ma ochotę żartować.

— Jak się pracuje w takiej gazetce? Zawsze pytam o to Hankę, ale mnie zbywa — pyta z błyskiem w oku.

— Możesz sobie lekceważyć naszą „gazetkę”, ale powiem ci, że zrobiono badania i okazało się, że większość osób mieszkających w Polsce chciałoby znaleźć się w naszym piśmie. I to są dokładnie obliczone dane! — unoszę palec do góry.

— Ale chyba chcieliby, aby pisano o nich same pozytywne rzeczy, a nie te skrupulatnie ukrywane! — polemizuje ze mną Bogdan.

— Czy ja wiem! Mieliśmy niedawno taką historię: znany prezydent o odmiennych preferencjach miał do nas straszne pretensje, że opisaliśmy jego pobyt z partnerem na Ibizie. Groził nam procesem! Po kilku tygodniach dostał jednak propozycję prowa-

dzenia talk-show o tolerancji. Mówiono o nim „na salonach” i jego akcje wyraźnie wzrosły! Jak widzisz, pomogliśmy mu!

— Wielu osobom tak pomagacie? Zaczynam się ciebie bać!  
— Bogdan patrzy na mnie uważnie.

— Nie bój się. Piszemy tylko o *celebrities*. Kowalski z Nowakiem na Ibizie na pewno nie zainteresowałoby naszych czytelników! — wzruszam ramionami.

— Bogu dzięki nie należę do *celebrities*! Powiedz mi tylko, dlaczego zamiast podpatrywać przez dziurkę od klucza, od razu wyważacie drzwi?

— Wiem, że się ze mnie śmiejesz, ale takie gazety są potrzebne, skoro tylu ludzi je czyta! — bronię się.

— Ja nie czytam i nie zamierzam, ale szanuję twoją pracę. Chyba się nie obraziłaś? — delikatnie dotyka mojej dłoni.

— Chyba nie — wzdygam.

— Miałaś ciężki dzień?

— Bardzo. Nie mogę się przestawić. Dwa dni temu opalałam się, pływałam i nie myślałam prawie o niczym, a teraz...

\*

Wracam do domu rozmarzona. Podśpiewuję, szykując kąpiel.

Dzwoni telefon, więc zostawiając mokre plamy, dopadam do słuchawki.

— Czemu się nie odzywasz? Czekam i czekam na twój telefon! Nie jesteś ciekawa, co u mnie? — głos Marka jest pełen entuzjazmu.

Jestem bardzo ciekawa, także tego, czy on jest równie zainteresowany moimi sprawami. Obawiam się, że nie.

— No mów! — wzdygam.

— Zacząłem nowe życie! Wyrzuciłem stare meble! Przebudowałem basen! Inaczej się ubieram! Inaczej jem!

— Co znaczy „inaczej”? Bez noża i widelca? — j e s t e m złośliwa.

— U człowieka, kochana, liczy się dusza i ciało, a nie tylko ciało! Trzeba to razem ogarnąć! Byliśmy z Kasią u psychoterapeutki, aby nasz związek od razu ewoluował w dobrą stronę, a nie w złą! Tak profilaktycznie!

— Proszę! Jaki ty zapobiegliwy jesteś! — kpię.

— Widzisz! Kasia też tak mówi! Przecież o samochód bardziej dbamy niż o związek! Wydaje się nam, że jakoś to będzie, a to nie jest takie proste!

— Na pewno nie — robi mi się zimno.

Marek chce koniecznie, abym poznała Kasię osobiście i przekonała się, jakim jest skarbem. Nie uważam tego za dobry pomysł. Twierdzi też, że Marcin pogodził się z tym, że żona od niego odeszła.

— Już nie ma problemu! Wiedziałem, że to jest rozsądny gość! Może się nawet zaprzyjaźnimy?

## Sobota

Xenia płacze. Szlochają i Zosia jesteśmy bezradne. Mała nie za bardzo chce mówić, co się stało. Z ogromną siłą smarka w chusteczkę.

Przyjechałam do domu Zośki i Tomka w południe i trafiłam w sam środek rodzinnej awantury. Mąż mojej siostry wyniósł się szybko, bo Xenia wydusiła z siebie, że to „babska sprawa”. Zosia wyciągnęła tylko od niej, że to nie „pms i nie obłany egzamin”.

— To co? Kochana! Jak nam powiesz, to będziemy wiedziały, co zrobić, jak ci pomóc! — obejmuję Xenię i sadzam w fotelu.

Moja siostra robi herbatę i wyjmuje ciasteczka. Mamy nadzieję, że mała wreszcie coś z siebie wydusi.

— Poznałam kogoś... — wzdycha Xenia. — On jest taki...

Znowu płacze.

Zośka przytula swoją córkę i gładzi jej włosy. Czas mija. Po dwóch godzinach dowiadujemy się wreszcie, że Xenia z całą swoją grupą ze studiów oblewała zdanie wszystkich egzaminów w pubie Lolek na Polach Mokotowskich. Przysiedli się do nich inni studenci: między innymi młodzieniec o imieniu Krystian, który od razu poprosił Xenię o numer telefonu.

— Jak on wygląda? — dopytuję się.

— Mam jego zdjęcie w komórce! Zaraz pokażę! — dziewczyna ociera łzy.

Pochylamy się z Zosią nad jej mikroskopijnym telefonem.

Wszystko mi się zamazuje. Moja siostra biegnie do okna, gdzie jest lepsze światło.

Młodzieniec na zdjęciu prezentuje język w całej okazałości. Nic więcej nie potrafimy dostrzec.

— Dużo nie widać! — j e s t e m rozczarowana.

— No... bo... on nie za bardzo chciał, żebym robiła mu zdjęcie, ale ja chciałam pokazać Ance, Aśce i Beacie, że no, że mam kogoś!

— To znaczy — on już jest twój, czy ty jesteś jego? — pyta moja siostra podejrzliwie. — J a k d ł u g o s i ę z n a c i e ? Tydzień?

— Dwa tygodnie — Xenia znowu płacze.

— Na jakim etapie jest ta znajomość? — Zośka stara się być dyplomatką.

— Na żadnym! Zerwał ze mną!

— Jakto „ z e r w a ł ” ? — j e s t e m oburzona.

— Byliśmy dwa razy w kinie, raz w pubie z jego znajomymi i raz na dyskotecę, no i... — Xenia wyciera oczy. — Powiedział mi, że w sobotę będzie miał wolny pokój w akademiku, ale ja nie chciałam, to dla mnie za szybko, a on na to, że „przeinwestował” i że „w takim razie kończymy ten pseudozwiązek”!

Obie z Zośką milczymy zaszokowane. Moja siostra robi się czerwona z oburzenia.

— Jak śmiał! Co to jest, do cholery! On myślał, że dwa razy kupi mojej córce piwo i bilet do kina i może z nią robić, co mu się podoba? Ja pójdę do dziekana! Nie! Pójdę do rektora!

Zośka biega po pokoju, szuka telefonu. Próbuję ją uspokoić, lecz bezskutecznie.

— Taki człowiek powinien być skreślony z listy studentów! To skandal! Co za prymityw! Co za dno! A w ogóle co on studiuje?

— Rehabilitację — wzdycha Xenia.

— No proszę! Mięśniakjakiś, który uważa, że z każdą dziewczyną za kufel piwa zrobi, co zechce!

— Nie przesadzaj! Przynajmniej był szczery! — próbuję obrócić wszystko w żart.

— Co się teraz porobiło! Kiedyś to było nie do pomyślenia! — moja siostra potrząsa głową.

— Dobrze, że to się tak skończyło — próbuję znaleźć jakieś dobre strony.



Idziemy z psami do lasu — na spacer dotleniający i uspokajający. Xenia jest przygnębiona. Ciekawa jestem bardzo, jak moja córka poradziłaby sobie w takiej sytuacji. Zastanawia mnie, dlaczego teraz obie dziewczyny tak rzadko się kontaktują. Kiedyś były nierozłączne.

Moja córka zawsze wymyślała zabawy i rozdzielała role, a Xenia bez szemrania dostosowywała się do jej pomysłów. Teraz cztery lata różnicy wieku okazały się przepaścią nie do przeskoczenia.

Karolina zaczęła robić karierę, błyszczeć, bywać, a córka Zosi prowadziła życie spokojnej licealistki, a potem studentki. Nigdy nie imponowały jej wyczyny Karoli, była nimi raczej zdumiona.

— Zapomnijmy o tym wszystkim! Chodźmy na lody albo zorganizujemy grilla! Jest wielu wspaniałych chłopców, a o tych mniej wspaniałych nie warto pamiętać! — pocieszam Xenię, jak mogę.

Wiem jednak, że moją siostrę martwi ta sytuacja. Jej córka jest wrażliwa, naiwna i w końcu ktoś może to wykorzystać.

— Nic nie mów Tomkowi! — rozkazuje, gdy szykujemy obiad w kuchni.

— Żartujesz! Przecież to babskie sprawy! — oburzam się.

— On traktuje małą, jakby była jeszcze dzieckiem! Rozpieszczona córeczka tatusia! A Xenia jest już kobietą. Mam nadzieję, że szybko dojdzie do siebie, ale nie mogę tego przeboleć, że ktoś w tak chamski sposób zranił jej uczucia!

Przygotowujemy kurczaka w sosie śmietanowym. Zosia ma potworny bałagan w kuchni, a w lodówce artystyczny nieład. Nie uznaje jednak żadnych pań do sprzątania, bo „to barbarzyństwo, żeby ktoś obcy grzebał mi w lodówce i w garnkach”.

Twierdzi, że zaoszczędzone w ten sposób pieniądze woli wydać na swoje jedyne dziecko.

— Jak ci się podoba ten Bruno? — pyta nagle.

— Chłopak Karoliny? Mówiłam ci, wydaje mi się, że jest w niej zakochany, chociaż głowy nie dam. Niewiele mówi, ale mam nadzieję, że to jest wreszcie trafny wybór — zamyślam się.

— Karolina sobie poradzi. Zawsze. Szkoda, że moja córka taka nie jest...

— Żartujesz? Jedna taka w rodzinie wystarczy! — stwierdzam stanowczo.

— Co my tu robimy? — niespokojnie szarpię mojego byłego męża za ramię.

Uparł się, abyśmy spotkali się przed południem na Placu Zamkowym. Tymczasem miejsce to rozbrzmiewa muzyką ludową, a tłumy warszawiaków degustują i kupują „przysmaki Podlasia”. Takich kolejek nie widziałam od wielu lat!

— Zaraz się zgubimy! — j ę c z ę , ale Marek nie zwraca na mnie uwagi.

— Mam już cztery sękacze, trzy sery korycińskie, ale zapomniałem o kiełbasie, smalcu i miodzie — Marek rozgląda się nerwowo. — Gdzie tu jest mniejsza kolejka?

— Od kiedy lubisz chłopskie jadło? — robię się coraz bardziej podejrzliwa.

Rozpływam się z gorąca i wachluję intensywnie ulotką o zaletach Gminy Wąsosz.

— Kasia mnie tu przysłała! — Marek ociera pot z czoła.

— A to wszystko się wyjaśniło!

— Co mówisz? Nic? Ona twierdzi, że najważniejszy jest powrót do natury, do korzeni. Nasi przodkowie nie mieli tych wszystkich leków i kosmetyków, a chorowali mniej — mój były mąż zamierza dać mi wykład.

— A jeśli już chorowali, to szybciej umierali, bo nie było lekarstw! — wruszam ramionami.

— Nic nie rozumiesz! Kaśka wytłumaczyłaby ci to lepiej! — Marek ustawia się w kolejce po nalewki z żurawin.

— Nielegalnie sprzedają alkohol, bez bandero! na butelkach! — szarpię mojego byłego za ramię.

— A pani to co? Kontrol? — tęga blondyna w stroju ludowym piorunuje mnie wzrokiem.

— Po co ci ta łyżka? — pytam Marka, który zaopatrzył się w drewniane sztucce.

— Są mniej rakotwórcze. Kasia tak mówi! Czekaj! Tam jest degustacja kaszanki!

Pchamy się do kolejnego straganu. Czytam w kolorowym informatorze: „Kaszankę przygotowuje się z odgotowanych i roz-

drobnionych podrobów wieprzowych, pokrojonych w kostkę, z dodatkiem kaszy gryczanej i krwi świeżo upuszczonej ze zwierzęcia. Po dodaniu przypraw: soli, pieprzu i ziół, wszystkie składniki łączy się i upycha w jelita..."

Chyba zostanę wegetarianką!

Marek co kilka minut konsultuje przez komórkę z Kasią listę zakupów.

— Dlaczego ona nie przyszła? Nie chce mnie poznać? Wie, że znam Marcina? — dopytuję się.

— Musiała być dzisiaj w pracy. Jakaś ważna sprawa! Wyjątkowa! — Marek przepycha się w stronę estrady.

Jemy pyzy przy drewnianych stołach. Oszałamiają wielkością i zabójczą ilością skwarek.

— Chce mi się pić! — mamroczę.

— Mam nalewkę! — odzywa się mój były mąż konspiracyjnym szeptem.

— Wiesz, że jestem samochodem. Ty zresztą też. Powiesz mi wreszcie, co u ciebie? Na jakim etapie jest twój romans? Kiedy Kasia się rozwiedzie? Co na to wszystko Marcin?

— Za dużo pytań! — Marek rozkłada ręce. — Po pierwsze, to nie jest byle romans, to jest miłość mojego życia!

— Już to mówiłeś!

— I powtórzę jeszcze sto razy! Nie spływaj tego i nie żartuj sobie z mojego związku! — patrzy na mnie groźnie.

— Ale okoliczności, jakie są, takie są! Raczej komediowe! Ukradłeś znajomemu żonę! — śmieję się, bo komiczna jest ta jego poważna mina.

— Jakiemu znajomemu? — Marek wzrusza ramionami.

— Znałeś go przecież wcześniej!

— Przelotnie. Poza tym, to nie moja wina, że on nie potrafił sprawić, aby Kasia była szczęśliwa w małżeństwie! — mój były mąż rozprawia się z ostatnią pyzą.

— Obawiam się, że nie będzie tak różowo, jak ci się wydaje. Sądzę, że Marcin nie podda się łatwo! Jągo znam! Wcześniej zwierzał mi się ze wszystkiego, a teraz nie dzwoni, nie mailuje, nie SMS-uje. Myślę, że szykuje coś i boi się, że ci powiem — ostrzegam go, ale Marek wydaje się tym nie przejmować.

— Stara! Życie jest piękne! Po co się przejmować bzdetami!  
— macha lekceważąco ręką.

— Gdy byliśmy razem, to nigdy nie mówiłeś, że życie jest piękne! — wzdycham.

— To nie przez ciebie! Po prostu: ciężko było, kasy nie było...  
— (znowu dzwoni jego komórka). — Tak, kochanie! Tak, zapamiętam: dwa duże słoiki miodu lipowego!

Jest mi smutno, że nikt nie słucha mnie z taką uwagą i z takim rozmarzonym spojrzeniem. Mój były mąż jest teraz zupełnie innym człowiekiem.

— Ona nie ma jeszcze rozwodu, a mieszka z tobą... Marcin może wykorzystać to w sądzie przeciwko niej! — wyliczam.

— Nie bój się! Kaśka wynajęła mieszkanie, to znaczy: ja je wynajętem dla niej na Ursynowie. Oficjalnie to właśnie tam mieszka! Wszędzie widzisz problemy! Będzie dobrze! Zobaczysz!

Jego optymizm wydaje się przedwczesny, ale postanawiam zmienić temat.

Rozmawiamy o Grecji. Marek od razu zapala się i postanawia zabrać tam Kasię.

— Masz zamiar poznać Karolinę z Kasią, tak? I jak dziecko naszej córki będzie zwracało się do twojej ukochanej? „Babciu”? Na pewno jej się to spodoba! — śmieję się.

— No... nie pomyślałem o tym... — Marek drapie się po głowie. — To ty będziesz babcią! Do Kasi może mówić „ciociu” albo po imieniu!

— Narzeczona dziadka albo jego żona to nie babcia? — tak się śmieję, że dostaję czkawki.

Wracam do domu z pięcioma reklamówkami. Zakupiłam między innymi chleb wiejski, sery, miody, grzybki w occie, smalec. Kto to wszystko zje?

## Poniedziałek

Urywam się z pracy w przerwie na lunch i jadę do Karoliny. Jest już południe, a moja córka dopiero wstała!

— Słuchaj! Mamy niecałą godzinę. Muszę zaraz wracać! Ubie-

raj się! Jadłaś śniadanie? — dopytuję się zdenerwowana.

— Jadłam, bo co? — moja córka zachowuje się jak rozpieszczona pięciolatka.

— W co mam się ubrać? — wzdycha.

— Dlaczego u was taki bałagan? — jestem przerażona.

Ubrania Karoliny leżą wszędzie. Nawet na podłodze i na sedesie.

— Wynajmij jakąś Ukrainkę do sprzątania! — radzę jej.

— Dlaczego nie Angielkę albo Włoszkę? Jesteś straszna! — moja córka ziewa.

— Znajdę ci kogoś. W zlewie stos brudnych naczyń! Wszędzie kurz! Nie możesz tak mieszkać! — załamuję ręce.

Karolina powoli się ubiera. Jest ociężała i wiecznie śpiąca. Przeglądam wyniki jej badań, ale nie dostrzegam nic niepokojącego.

Wkłada luźną białą indyjską sukienkę do kostek, na ramiączkach.

— Nie mogę wcisnąć na stopy żadnych butów! Nogi mi ciągle puchną! — Karola wścieka się. — Zula pożyczyła mi specjalne klapki swojej mamy, która jest pielęgniarką.

Jesteśmy oczywiście spóźnione. Staram się prowadzić samochód bardzo ostrożnie. Moja córka drzemie. Zaczynam błądzić. Rejony Konstancina są mi raczej obce.

— O! Jest! Widzę! — Karolina ożywia się.

Ogromna pomarańczowa willa przypomina raczej agencję towarzyską, a nie przedszkole. Kolorowy szyld z napisem ELITE-CLUB i słodki motylek jako logo to wszystko, co widać na frontonie budynku.

— Jesteś pewna, że to tutaj? — patrzę na Karolę zdumiona.

— Jestem pewna. Nie słyszysz dzieciaków?

Rzeczywiście słyszę. Krzyki i piski.

— Tu nie wolno parkować! Zastawia pani bramę! — rosty ochroniarz w mundurze patrzy na mnie groźnie.

Uzbrojeni ochroniarze w przedszkolu? No cóż... może rzeczywiście tak jest bezpieczniej.

Karolina tłumaczy eleganckiej kobiecie w średnim wieku, że byliśmy umówione z samą panią dyrektorką!

Shokują mnie ściany budynku pomalowane na wszystkie kolory tęczy.

W szklanych gablotkach królują rzeźby stworzone przez dzieci: dzieła z patyków, kamieni, korków, kory i papieru. Całkiem pomysłowe!

Pani dyrektor to bardzo atrakcyjna, rudowłosa piękność. Po-dejrzewam, że silikon zaaplikowano jej wszędzie, gdzie dało się go wstrzyknąć.

Kolor pomarańczowy króluje w jej garderobie. Ma obcisły T-shirt odsłaniający pępek i dżinsy do połowy łydek ozdobione srebrnym haftem. Pomarańczowe buty na koturnach dodają jej wzrostu.

— Witam panie! Są panie zdziwione moim strojem? — pyta prosto z mostu.

— Tak — wzdycham.

— Nie! Dlaczego? — jednocześnie Karolina wpada mi w słowo.

— Mój strój jest programowy, drogie panie! Jak wszystko w naszej placówce! Wieloletnie badania wykazały, że dzieci oddarzą zaufaniem osoby ubrane swobodnie i na luzie, a nie kobiety w białe w garsonki czy żakiety! Ja się poświęcam, moje drogie panie, i dla dobra naszych milusińskich noszę ubrania w kolorach: różowym, żółtym, błękitnym i właśnie pomarańczowym. Słyszały panie o koloroterapii? Dzieci wyrażają swoją radość życia właśnie kolorami! To my, dorośli, wstydzimy się barw i odchodzimy od nich. A teraz pytanie osobiste! Dlaczego ma pani brązową spódnicę? — patrzy na mnie z wyrokiem w oczach.

— Bo... no... — nie wiem, jaka odpowiedź jest prawidłowa.

— Boi się pani wyrażać swoje uczucia. Dlaczego nie pomarańczowa bluzka i różowa spódnica na przykład? Proszę pamiętać o wpływie kolorów na nasze dzieci! Mogą je pobudzać albo uspokajać. Nasz Elite-Club działa w oparciu o badania francuskiego naukowca i pedagoga Marcela Bourc'e'a. Odkrył on, że kolory i zapachy są ogromnie ważne w życiu dziecka. Jeżeli wasze małżeństwo zostanie przyjęte do naszej placówki, będziecie musiały, drogie panie, wprowadzić odrobinę intensywnych barw do swojego życia! Na przykład pomarańczowy jest dla dziecka pobudzający i zmusza do myślenia, a poza tym bardzo przyjemny. Proszę pomyśleć o zapachu, jaki wydzielają owoce!

Pani Dyrektor ma ujmujący uśmiech, a ja czuję się przy niej

jak nierozgarnięty brzdąc. Wreszcie przechodzi do konkretów.

— Czesne w naszej placówce odpowiada jakości naszych usług. Wpisowe to pięset pięćdziesiąt euro. Mamy ograniczoną liczbę miejsc, dlatego dużo zależy także od aplikacji, którą panie złożycie, i od ankiety, którą wypełnicie za chwilę!

— Ale maleństwo jeszcze się nie urodziło! Czy to nie za wcześnie? — zastanawiam się.

— To, że myślicie o przyszłości tej drobinki, świadczy tylko o waszej odpowiedzialności, drogie panie! Będziemy trzymać miejsce dla maleństwa, jeżeli wpisowe będzie płacone co roku!

— Czyli pięset pięćdziesiąt euro razy trzy? — upewniam się.

— Dokładnie! Plus aplikacja, ankieta i egzamin! — oblicze pani dyrektor rozjaśnia uśmiech.

— Egzamin? Jaki egzamin? Dla rodziców czy dla dziecka? — jestem zdumiona.

— Oczywiście, że dla dziecka! Proszę się nie martwić! Komisja w pół godziny zorientuje się, czy wasze maleństwo nadaje się do naszej placówki! — entuzjazm nie opuszcza pani dyrektor.

— A jeżeli się nie nadaje, to czy wpisowe będzie zwrócone? — dopytuję się.

— Oczywiście, że nie! Przecież to nie nasza wina, że wasz dzieciaczek nie nadaje się do naszego eksperymentalnego przedszkola! Pracujemy tylko z wybitnymi jednostkami, które mają od urodzenia niezwykle zdolności. Przykro mi, ale dla przeciętnych brzdąców doskonale są nawet państwowe przedszkola! Krzywdy im tam na pewno nie zrobią.

Wypełniamy ankietę. Pani dyrektor jest przemiła i pożycza mi swoje pióro.

— Jakie zapachy preferujesz? Jakie dźwięki są dla ciebie przyjemne, a jakie nieprzyjemne? O co tu chodzi? — zastanawiam się.

— Cicho! — Karolina wierci się i rozgląda, ale pani dyrektor gdzieś zniknęła.

— Czy kolor żółty jest przyjemniejszy od różowego? — czytamy dalej. — Istny dom wariatów.

— Mamuś, opanuj się! Może jesteśmy nagrywane i to jest wstępna selekcja? Nie komentuj wszystkiego tak złośliwie! Wiesz, czyje dzieciaki tutaj chodzą?

— Ale ja nie wiem, czy żółty jest przyjemniejszy od różowego! — wzdycham.

— Napisz, że żółty nie jest przyjemny tak jak różowy, bo jest ostry, razi oczy, a bardziej żywy jest różowy — dyktuje mi moja córka.

Odpowiadamy na dziesięć kolejnych pytań. Nic z tego nie rozumiem.

— Idę do toalety — Karolina podrywa się gwałtownie.

Pędzę za nią, rozglądając się z ciekawością po korytarzach.

W toalecie pachnie wanilią, umywalka jest cytrynowego koloru, a lustro ma pomarańczową ramę. Ściany ozdobione są portretami słodkich zwierzątek i dowcipnymi wierszykami:

— DO CZEGO JEST MYDEŁKO?  
DO CZEGO JEST RĘCZNICZEK?  
DO MYCIA RĄCZEK!  
POWIE CI KRÓLICZEK!

Karolina zamyka się w kabinie, a ja poprawiam makijaż.

ZĄBKI MYJEMY BARDZO DOKŁADNIE  
BO ZROBI SIĘ DZIURKA  
I ZĄBEK WYPADNIE!

Boję się, że dostanę oczopląsu: jaskrawe żyrafy, słonie, biedronki i pszczołki mówią do mnie z każdej ściany, z każdego kąta.

— Nie wiem, czy ta koloroterapia to dobry pomysł! — odzywam się po chwili.

— Słyszałaś! Słynny na cały świat pedagog i naukowiec to odkrył! Nie wymądrzaj się! — odpowiada moja córka.

— Żeby to nie było tak, jak z barami tlenowymi! Już kiedyś prawie uwierzyłam, że takie wdychanie tlenu za opłatą pomaga na wszystkie choroby, tymczasem okazało się, że to bzdura! — maluję usta błyszczkiem.



Wczoraj w drodze powrotnej próbowałam podpytywać Karolinę o ojca jej dziecka. Czy są w kontakcie? Czy on interesuje się jej ciążą? Wyśmiała mnie.

— Teraz liczy się Bruno! Cała sprawa z George'em to przeszłość! — warknęła.

— Ale nosisz jego dziecko!

— Jakoś go to specjalnie nie rusza! — wyszczała.

Nie wracałyśmy już do tego tematu. Zrobiło się smutno. Co będzie, jeżeli Bruno okaże się kiepskim przybranym tatusiem?

Dzisiejszy dzień rozpoczął się bardzo nerwowo. Miałam rozmowę z prawnikami. Ciągłe ktoś nas pozywa! Wróciła sprawa Nory i jej domniemanego alkoholizmu. Damian wysłał Tymona razem z opłaconymi pracownikami MPO w pobliże domu naszej gwiazdy. Przetrzęsnęli jej śmietnik i okazało się, że dominują w nim przede wszystkim butelki po wódce i szampanie. Nora oficjalnie mieszka sama. Skąd więc takie ilości alkoholu? Jej prawnik twierdzi, że to pozostałości po przyjęciach, które urządza *nasza* gwiazda, i dowodzi, że grzebanie w cudzych śmieciach jest nielegalne.

W przerwie na lunch spotykam Marcina. Ma podkrążone oczy i zmięty garnitur.

— Dlaczego się nie odzywasz? — zaczepiam go w kafeterii.

— Nie jesteś bezstronna. Nie chcę cię w to wszystko mieszać! — próbuje wyminąć mnie z tacą.

— Już za późno. Wmieszaliście mnie w to obaj. Ty i Marek! Będziesz przede mną uciekał? Nie pogadamy?

— O czym? O pogodzie? Wiesz, że interesuje mnie tylko jeden temat. Nie chcę, żebyś mówiła im o moich posunięciach. Wybacz — Marcin próbuje odejść, ale ja jestem szybsza.

— Za kogo ty mnie uważasz? Dlaczego miałabym komukolwiek pomagać? Przecież twojej żony nigdy nie widziałam na oczy, a to, co robi Marek, jest mocno kontrowersyjne! — odpowiadam ostro.

— Ja użyłbym innego słowa! Dobrze. Usiądźmy — Marcin pokazuje mi stolik pod plastikową palmą.

Jestem zirytowana, a on nawet nie stara się być uprzejmy, tak

jak kiedyś. Nie pyta, co u mnie słyhać. Świat nie istnieje.

— Jak sobie radzisz? Rozmawiałeś z nią? — pytam, soląc zupeł.

— Rozmawiałem. Nie chce wrócić. Nie chce i koniec. Twierdzi, że wynajęła mieszkanie, ale wiem, że mieszka z nim! — w jego oczach widzę dziwne błyski. — Udowodnię to w sądzie! Odbiorę jej małą!

— Oszalałeś? Nie zrobisz tego! Ty także nie jesteś bez winy! Sam przyznałeś się do zdrady!

— Jak to baba, trzymasz oczywiście z kobietami! Tłumaczyłem ci wiele razy, że moje skoki w bok to nie było nic poważnego! Przecież jej nie porzuciłem, tak jak ona mnie! Nie afiszowałem się z kimś innym! Nie mówiłem, że nasze małżeństwo było pomyłką! — Marcin jak zwykle ma inny punkt widzenia.

Przerywa nam telefon. To Bogdan! Nie jestem w stanie ukryć radości!

— Nie przeszkadzam ci? — pyta mnie ostrożnie.

— Nie! Dzwonisz w samą porę! Jak Hanka?

— Bez zmian. Myślałem o naszej rozmowie, o tobie. Wiesz, że lubię z tobą gadać. Może pogadamy i dzisiaj? — pyta nieśmiało.

— Dziś? Dobrze! Wieczorem!

Umawiamy się w greckiej knajpce na Ursynowie. Marcin patrzy na mnie ponuro.

— Masz kogoś? — pyta, bawiąc się widelcem.

— A co? Nie wolno? — myślę, ale milczę dyplomatycznie.

Tracę do niego resztki sympatii. Wydaje mi się teraz tylko żałosnym, egoistycznym samcem.

— Nawet nie wiesz, jak to wszystko odbiło się na moim zdrowiu! — Marcin wzdycha głęboko. — Nikomu tego nie mówiłem, ale cierpię na bezsenność, ciśnienie mi skacze i drażą ręce!

— Byłeś u lekarza?

— U lekarza? Nie. Nie wierzę w żadnych terapeutów! Zuzanna! Ty się nawet nie domyślasz, w jakim jestem stanie! — jego głos załamuje się.

Może naprawdę kocha swoją żonę i cały świat mu się wali?

— Zostałem ośmieszony! Poniżony! Nie daruję im tego! — zaciska pięści.

Mam dość. Nie można z nim normalnie rozmawiać. Wymusza

jeszcze na mnie przyrzeczenie, że nikomu nie powiem o jego zamiarach. Jakich zamiarach?

Odwracam się na chwilę tuż przy drzwiach do windy. Widzę Marcina, jak samotny, przy stoliku, z nieobecnym wzrokiem mówi coś do siebie.

Co się z nim stało? Co się z nami stało? Czy ten załamany, zmęczony życiem człowiek to ten sam Marcin, który imponował mi inteligencją, humorem, dowcipem?

Na moich oczach postarzał się o kilka lat.

Po pracy pędzę do domu i myślę o Bogdanie. Jest tak odmienny od wszystkich mężczyzn, których znałam. Nie próbuje imponować mi na siłę, nie zgrywa przede mną samca — zdobywcy. Tak naprawdę nic o nim nie wiem, a wiele chciałabym się dowiedzieć, odkryć jego słabości i śmieszności. Czy mu się podobam? Chociaż trochę? A może nie ma z kim pogadać o chorej siostrze i wybrał mnie, bo byłam pod ręką? Wpadam z euforii w smutek. Przebieram się. Piję kawę. Czeszę. Maluję.

Czy on naprawdę zwróci uwagę na mój strój, makijaż, przecież jest przerażony chorobą Hanka i tylko o tym myśli? Czy warto się stroić? Zapewne równie dobrze mogłabym być jego kumplem, któremu można zwierzyć się z tego, co boli, gryzie, uwiera.

Jestem spóźniona. Bogdan wita mnie z szerokim uśmiechem.

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znalazłaś odrobinę czasu! Wiem, że jesteś bardzo zajęta! — jest ubrany na błękitno, w koszulę i dżinsy. Ciekawe, czy wie, że do twarzy mu w tym kolorze?

— Bez przesady. Nie jestem pracoholiczką. Potrafię oderwać się od tego wszystkiego!

— Czy mi się wydaje, czy ty naprawdę nie lubisz swojej pracy? — Bogdan udaje zdziwienie.

— A ty lubiłbyś na moim miejscu? Codziennie przekonuję się, że ludzie za przysłowiowe trzydzieści srebrników potrafią opowiedzieć o najintymniejszych sekretach swoich przyjaciół, sąsiadów, krewnych, znajomych... — zamyślam się.

— Zawsze dziwiło mnie, że Hanka weszła w to wszystko tak głęboko, stała się agresywna, ostra, bezkompromisowa. To fakt, życie jej nie rozpieszczało, ale wierzę, że zawsze miała dobre

intencje. Nikomu świadomie nie robiła krzywdy. Zamówimy coś?

— Bogdan patrzy na mnie uważnie.

— Zamówimy — długo studiuję kartę dań.

— Nic nie mówisz? To dobrze. Lubię enigmatyczne kobiety.

Słucham jego opowieści o szpitalnym życiu Hanki i patrzę na jego dłonie. Mocne. Kościste. Męskie.

Niewiele mówi o sobie. Zamawiamy owoce morza. Opowiadam mu o Krecie, a on wspomina swój pobyt w Atenach. Próbuje wyłapać jakieś osobiste nuty w tych historiach, ale Bogdan jest dyskretny, tajemniczy i zabawny.

— Nie zanudzam cię? Przyznaj się! — śmieje się.

— Przyznaję, że nie. Policzyłeś kiedyś, w ilu krajach byłeś?

— Nie. To trochę jak przechwałki w przedszkolu: „Ja byłem w Australii, a ja w Indiach!” — przekomarza się ze mną.

— Ale mnie to fascynuje. Zazdroszczę ci. Nie rozumiem, jak ludzi może uszczęśliwiać życie w tym samym miejscu przez całe lata — wdycham.

— Może na tym polega sztuka życia? Odkrywanie wciąż na nowo tych samych ścieżek? — Bogdan zamyśla się.

— Nie sądzę. Przeraża mnie na przykład mieszkanie na wsi czy w małych miejscowościach. Wierz mi, to nie jest snobizm ani pogarda, tylko nie wyobrażam sobie egzystencji na tak małej przestrzeni: kościół, kiosk, dwa drzewa, monopolowy i apteka. Można się udusić. Wciąż ten sam monotony krajobraz, te same twarze...

— Typowa z ciebie pani miastowa — Bogdan grozi mi palcem. — Przewróciło ci się w głowie. Nie można oceniać ludzi według siebie. Dla kogoś innego kościół, kiosk, dwa drzewa, monopolowy i apteka to swojski, słodki krajobraz. I czuje się w tym krajobrazie dużo lepiej niż w gigantycznym centrum handlowym.

— Nie przekonasz mnie — kręcę głową. — Nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią podróży, nie kochają poznawać świata.

— Nie zapomnij, że świat jest też tutaj. W najbliższej okolicy. Dobrze znasz swoich sąsiadów? — Bogdan pochyła się w moją stronę.

— Nie. Słabo albo wcale. I czego to dowodzi? — pytam przekornie.

— Mogą być równie fascynujący, jak stopy w Azji czy bezdroża Ameryki Południowej — śmieje się.

## Środa

Siódma rano. Karolina rozradowanym głosem informuje mnie przez telefon, że jej płyta *MISS CAROLYNNA* trafi do sklepów muzycznych w piątek. Przez cały weekend ma mieć spotkania z fanami.

— W tym stanie? Oszalałaś? — jęczę.

— Zrozum! Muszę wycisnąć ten czas jak cytrynę! Potem będę wyłączona z życia na jakieś trzy miesiące. Mój agent twierdzi, że płytka świetnie się sprzeda, bo ludzie latem chcą się zrelaksować i nie lubią ciężkiej muzy!

— Mam nadzieję, że nie będziesz koncertować? — pytam z nadzieją w głosie.

— Co ty? Mam już rozpiskę trasy: Rewal, Międzyzdroje, Kołobrzeg, Łeba... czekaj, niech sprawdzę — Karolina szeleści czymś w słuchawce. — No już. Muszę być cicho, bo Bruno odsypia zaraną noc. Poznawał się z moim menedżerem.

Nie wiem, jak ona wyobraża sobie występy w tym stanie? Nie próbuję się jednak kłócić, bo to nic nie da.

— Będę podpisywać płyty w Empiku. Mają być cztery telewizje i trzy stacje radiowe. Nie wiem, jakie ciuchy wybrać, włosy, paznokcie, kurczę! — moja córka wpada w panikę.

— Poproś jakąś stylistkę o radę — wzdycham.

— Chyba stylistę. Znam jednego dobrego, geja. Ale sporo policzy sobie za poradę — ziewa.

— Nie szarżuj, bo jeszcze urodzisz za wcześnie. Uważaj na siebie! — błagam ją.

Ja swoje, a ona swoje. Jest podekscytowana. Opisuje mi okładkę płyty, na której, o zgrozo, ma być uwieczniony jej brzuch z napisem w stylu graffiti: *MISS-CAROLYNNA-PLAŻOWO*.

— Mamuś! Teraz wszystko się sprzedaje! Musi być tylko odpowiednio opakowane i wypromowane! — przekonuje mnie.

Chyba ma rację.

Jest upał. Nie chce mi się pracować. Poleżałabym na łące, na plaży, w miłym towarzystwie.

Po pracy odwiedzam Hanę. Muszę włożyć fartuch i maseczkę, bo jej nowa sąsiadka jest świeżo po operacji.

W sali panuje potworny zaduch. Moja przyjaciółka daje mi ostrzegawcze znaki i wymyka się na korytarz.

— Na szczęście nie muszę non stop leżeć, bo oszalałabym od tego smrodu. Nie można otwierać okna, bo ta kobieta jęczy i twierdzi, że najmniejszy podmuch wiatru ją zabije. Bogdan przyniósł mi odświeżacz i nawilżacz powietrza. Jak ona zasypia, to wszystko spryskuję, uchylam okno, ale ta skubana zaraz się budzi! — Hanka ma podkrążone oczy i zmęczone spojrzenie.

— Co się stało z panią Krysią? — pytam, gdy znajdujemy wolne krzesła na korytarzu obok ryczącego na cały głos, starego telewizora.

— Nie można tego ściszyć? — moja przyjaciółka zagląda do sali obok.

— Co pani! Leci *Moda na sukces!* My się ruszać nie możemy, to przynajmniej zamiast wizji mamy fonie! Zaraz będzie *Klan* i *Teleexpress* — głos kobiety (widzę tylko jej nogi otulone szpitalnym kocem) jest stanowczy i chrapliwy.

— Chodźmy do bufetu! — Hanka wzdycha. — Widzisz, jaki tu jest horror! Pani Krysia jest już w domu, a ja tutaj gniję.

Zamawiamy herbatę, która okazuje się potworną, tanią lurą w plastikowych, spęczniałych od wrzątku kubkach.

— Przyniosłam ci trochę czasopism, parę lekkich książek i płyty, bo widziałam, że masz discmana — podaję jej torbę.

— Jesteś kochana! Muszę tu jeszcze być co najmniej tydzień. Bogdan kupuje mi mnóstwo rzeczy, ale ja nie wiem, z czego on żyje. Dałam mu moje karty do bankomatu, żeby opłacił mieszkanie i rachunki. Wyobraź sobie, przyszedł wyciąg z konta i okazało się, że nie pobrał ani złotówki! Pensja nietknięta, a wszystko opłacone! Nic mi nie mów! Nie wiem, co jest grane! — Hanka wzdycha głęboko.

— Może wynajął swoje mieszkanie? — zastanawiam się.

— Na pewno nie. Ma tam stopy szpargałów, pamiątki z podróży, rzeźby z Tahiti i tak dalej. Wiem, że nie zniósłby sytuacji, gdyby ktoś obcy tam się kręcił.

— Z czego on tak naprawdę żyje? — podpytuję ją.

— Miał szkołę nurkowania, sprzedawał swoje reportaże i zdjęcia do prasy, tworzy strony internetowe. Bogdan to człowiek orkiestra. Czemu on cię tak interesuje? — dziwi się.

— Tak tylko pytam — wzruszam ramionami.

Nie wiem, czy opowiadał jej o naszych spotkaniach. Czy coś wspominał...? Omijam więc skrupulatnie ten temat i chwalebę się premierą płyty Karoliny.

— Mam nadzieję, że dasz mi chociaż jeden egzemplarz? — moja przyjaciółka śmieje się. — Ona jest niesamowita. Każda inna kobieta w tym stanie szykowałaby wyprawkę dla niemowlęcia i chodziła do szkoły rodzenia, a ona rozkręca swoją karierę.

— No właśnie! Dlaczego Karola nie chodzi do szkoły rodzenia? — denerwuję się.

— Wyobraź sobie, wczoraj było tu kilka osób z redakcji, Marysia, Tymon, wpadł też Damian! — Hanka ma dziwną minę. — Wiesz, jaki on jest. Rzucił dwa słowa, soczek przyniósł i zajął się swoją komórką. Po trzech minutach już po nim śladu nie było!

Uwielbiamy plotkować o osobach z redakcji. Marysia i Tymon to wdzięczne tematy. Coś chyba zaczyna iskrzyć między nimi!

— Przyszli razem, wpatrzeni w siebie, ja im chyba przeszkadzałam — Hanka się śmieje. — Ale to miło, że znaleźli czas i chęć, żeby wpaść. Myślałam, że mnie nie lubią!

— Nie przesadzaj! Marysia bardzo się przejęła. Wiem, że to ona organizowała zbiórkę krwi!

Zamawiamy jeszcze jagodzianki, ale moja przyjaciółka nie kończy swojej.

— Paskudna! Po chemii mam ciągle w ustach metaliczny smak!

Patrzę na nią ze współczuciem. Wiem, że stara się trzymać dzielnie. Owinięta w śliczny kremowy szlafrok i w zielonej chusteczce na głowie wygląda całkiem ładnie...

Czwartek

— Ma pani kogoś znajomego na moim osiedlu? — czarnowłosa, mocno opalona kobieta uśmiecha się do mnie w windzie.

— Znajomego? Przecież ja tu mieszkam! — rozpoznaję Kameę, znudzoną mężatkę z wakacji na Krecie.

— O! To jesteśmy sąsiadkami! Ja mieszkam na piątym piętrze!

— A ja na drugim — przyglądam się jej uważnie.

Jest wczesny ranek, a ona ma mocno wieczorowy makijaż: rzęsy kapią od tuszu, a usta lśnią fioletową szminką.

— Szkoda, że panie wyjechały po tygodniu! Dużo się działo! Mieliśmy złodzieja w hotelu! Okradł nawet panią pilot! — Kama jest wyraźnie podekscytowana naszym spotkaniem.

Nie mogę oderwać oczu od jej złotych tipsów.

— Proszę, proszę! Jesteśmy sąsiadkami! Pani siostra też tu mieszka?

— Nie... — wzdycham.

Szykuje się dłuższa pogawędka, a ja jestem już spóźniona.

— Zapraszam do mnie na kawę i ploty! — Kama podaje mi numer komórki. Zapisuję niechętnie.

W podziemnym garażu z dumą pokazuje mi swój nowy nabytek, purpurowego Seata Toledo. Macha mi na pożegnanie.

Dzwonię do Zośki i opowiadam o tym dziwnym spotkaniu.

— Patrz, jaki świat jest mały! — moja siostra śmieje się.

— Ciebie też zaprosiła na kawę i przekazała pozdrowienia! Jak Xenia? — dopytuję się, stojąc w gigantycznym korku.

— Wyjeżdża za tydzień do Londynu. Kurs językowy! Rozumiesz! To mnie zrujnuje! Ona chce jeszcze szukać tam pracy, jej koleżanka z roku dorabia jako baby-sitter, znasz Xenię, ktoś jej coś opowie i ona od razu się zapala! Wolałabym, żeby podszkoliła język, ale nie kosztem zarwanych nocy i niańczenia dzieciaków. Musisz... znaleźć kogoś do psów. Może pani Tosia się zgodzi? — Zosia musi kończyć rozmowę.

Zapisuję sobie w kalendarzu: „koniecznie zadzwonić w sprawie psów!” Mam nadzieję, że moja gosposia za dodatkową opłatą zgodzi się wychodzić z psami na spacer. Nie darzy ich specjalną sympatią i zawsze podkreśla, że woli koty, ale chyba nie będzie to dla niej zbyt uciążliwy obowiązek. Mam wyrzuty sumienia, że jestem trochę „wirtualną” panią domu, ale niestety, praca pochłania mnie całkowicie.



W redakcji Marysia wita mnie rozanielonym spojrzeniem. Z tajemniczym uśmiechem przynosi mi potwornie mocną kawę z zabójczą ilością cukru, chociaż wie, że używam słodzika.

— Co słychać? — pytam, przyglądając się jej uważnie.

Moja sekretarka wystroiła się dziś w cygańską sukienkę i białe, lśniące kozaki z ostrymi czubami. Zastanawiam się, czy nie przesadziła? Jest lipiec, dziewczyny biegają w kłapkach, topach i szortach! Ale Marysia jest nietuzinkowa i muszę o tym pamiętać!

— Sprawiałam sobie nowe oprawki do okularów! — uśmiecha się promiennie, bawiąc się kolczykami w kształcie puzonów.

— Śliczne — komplementuję ją.

— Tu jest poczta! Znowu mnóstwo zaproszeń na premiery, wernisaże, wręczenia nagród... Mam je tradycyjnie wyrzucać do kosza? — Marysia dobrze mnie zna i wie, że nie przepadam za bywaniem. Do tego trzeba mieć kondycję! Myślę o Bogdanie... Chętnie poszłabym z nim na jakąś premierę, ale nie odzywa się, więc ja pierwsza nie zadzwonię!

Moja sekretarka kręci się nerwowo. Wciąż coś upuszcza, gubi i szuka okularów, długopisu, telefonu... Widzę, że jest obecna tylko ciałem. Tymon rzuca jej zalotne spojrzenia. Chyba nawet się ogolił i wystroił na jej cześć w coś, co miał najlepszego, czyli góralski sweter i sprane sztruksy.

— Czy oni nie są śmieszni? Przecież wszyscy wiedzą, że ze sobą kręcą, a oni próbują to ukryć! — J o w i t a, jedna z moich najlepszych reporterek, wskazuje niezbyt dyskretnie na Marysię i Tymona.

— Koleżanko! Zajmijcie się pracą, a nie życiem prywatnym innych ludzi! — grozę jej palcem.

— Przyjmuję zakłady, ile potrwa ten romansik! — Damian próbuje być zabawny.

— Może potrwa dłużej, niż myślicie! — wzruszam ramionami.

Dzwoni mój telefon. Ze zdumieniem odkrywam, że to Marcin.

— Chcę się zabić! — jego głos jest ledwo słyszalny. Wszędzie hałas, głośne rozmowy, krzyki... nie jestem pewna, czy dobrze go rozumiem.

- Co mówisz? Powtórz! — proszę.
- Chcę się zabić. Nie wiem jeszcze jak, ale wiem, że tego chcę! — Marcin jest stanowczy.
- Gdzie jesteś? W pracy? — dopytuję się przerażona.
- Nie w pracy! W domu! W pustym... cholernie... pustym domu!

Coś w jego głosie ogromnie mnie niepokoi. Zapisuję sobie adres i biegnę do samochodu. Marysia ma przykazane, aby informować wszystkich, że jestem na służbowym spotkaniu.

Z trudem docieram do Wilanowa. Jest już pora obiadu i mój żołądek skręca się z głodu. Żar leje się z nieba. Cudownie, że mam klimatyzację w samochodzie!

Willa Marcina otoczona jest solidnym murem. Na tarasie widzę dziecięcy wózek, kubek, zabawki i uschnięte kwiaty w zdobnych donicach...

Drzwi są otwarte. Znajduję go w salonie. Żaluzje są zaciągnięte. Zaduch. Na stole pełne popielniczki i kilka pustych butelek po whisky.

— Napijesz się? — Marcin siedzi w głębokim fotelu, tyłem do drzwi.

Podziwiam plazmowy telewizor, który huczy tak, że nie słyszę własnych myśli. Dostrzegam pilota na szklanym stoliku i bezceremonialnie wyłączam nowoczesne pudło. Podchodzę do okna i wpuszczam trochę światła. Marcin mruży oczy.

— Co robisz? — wzdycha.

Jest nieogolony, rozczochrany. Ma na sobie spodnie od pizamy i zmięty podkoszulek.

— Dlaczego nie pojechałeś do pracy? Co się stało? — otwieram drzwi balkonowe, aby wpuścić trochę świeżego powietrza. O moje nogi ociera się puszysty, chociaż trochę zaniedbany pers.

— Zostawiła kota. Wzięła psa! — odzywa się Marcin ponurym głosem.

— I dlatego siedzisz tu i pijesz? — próbuję przemówić mu do rozsądku.

— Mojego psa! Dlatego go zabrała! — nalewa sobie jeszcze jedną szklaneczkę.

— Co się z tobą dzieje? — siadam obok niego zrezygnowana.

Nie wiem, co robić! Dzwonić po kogoś? Po kogo?

— Najgorsze jest to, że ona jest szczęśliwa beze mnie! Rozumiesz? Zawsze myślałam, że Kaśka, jeżeli nasze małżeństwo się rozpadnie, to ona się załamie! Całkowicie! A teraz popatrz! — zaczyna płakać jak mały chłopiec.

Dostrzegam porozrzucane wszędzie czarnobiałe zdjęcia, na dawno nieodkurzanym dywanie, na stole lepiącym się od brudu, wokół foteli.

— Kto zrobił te zdjęcia? — oglądam jedno z nich: Kasia z małą w parku, obok Marek, uśmiechnięci, trzymający się za ręce.

— Człowiek, któremu za to płacę! To dowody! — Marcin drżącymi dłońmi próbuje pozbierać zdjęcia z podłogi.

— Dowody na to, że jest szczęśliwa? Nie dajesz jej do tego prawa? — wzdycham.

— Zniszczę ją, i jego! Zobaczysz! — niechący strąca szklankę ze stołu.

Nie zwraca jednak uwagi na szkło i plamy na dywanie. Spłoszony kot ucieka do kuchni.

— Nie możecie się dogadać? Rozmawiałeś z nią? — jestem przerażona jego stanem.

— Rozmawiałem, ale ona od razu mówi, że ja krzyczę i odkłada słuchawkę! Porozumiewamy się przez adwokatów! Niech on mi ją odda! Powiedz mu! Słyszysz! — Marcin wyciera oczy.

— Może powinieneś pogadać z psychologiem? Może... — zastanawiam się głośno.

— Gadam z tobą! To wystarczy! Nikt nie może mnie zobaczyć w takim stanie! Nikt nie wie, że jestem takim frajerem! Takim zerem, któremu żona przyprawia rogi! Mówię im, że wyprowadziła się, bo miała dość moich skoków w bok! Klepią mnie po ramieniu, rzucają porozumiewawcze spojrzenia. Nie mogą się dowiedzieć, że ja tu siedzę i płaczę przez nią! Rozumiesz? — Marcin zapala papierosa.

— Rozumiem! A teraz weź prysznic, a ja tu posprzątam!

— Zostaw! Nie musisz! Zwolniłem kobietę, która u nas sprzątała, bo patrzyła na mnie jakoś dziwnie, ale mogę do niej zadzwonić, mogę zadzwonić — głos mu się łamie. — Do nikogo nie mogę zadzwonić!

— Do mnie możesz! Weź się w garść! Co powiedziałaś w pracy? — wynoszę butelki i popielniczki.

— Nic nie musiałem mówić! To moja firma! Nie muszę się nikomu tłumaczyć!

— Dobrze. Weź prysznic. Od razu poczujesz się lepiej!

— Moja babcia tak mówiła, zawsze tak mówiła — znowu widzę łzy w jego oczach.

Dzwoni telefon w salonie.

— Nie zwracaj uwagi, nie chce mi się z nikim gadać! — Marcin z ociąganiem wstaje z fotela.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie, tak załamane go, zdruzgotanego.

Udaje mi się odkurzyć tylko salon i wywietrzyć pokoje na parterze. W lodówce nie znajdują zbyt wiele produktów. Wyrzucam spleśniały ser i przeterminowane jogurty.

Dzwonię do pracy i uprzedzam, że będę za godzinę. W łazience panuje cisza. Ustał szum wody. Zaczynam się denerwować. Walę pięściami w drzwi.

— Marcin! Co ty tam robisz? — krzyczę.

— Nic. Palę i myślę — słyszę jego cichy głos.

Jestem potwornie głodna, a resztki chleba, które znalazłam na blacie w kuchni, nie wystarczą nawet na dwie kanapki. Zamawiam więc pizzę.

Marcin wciąż nie opuszcza łazienki.

— Wychodź! Zaraz będzie pizza! — krzyczę, szorując zlew, który zarósł brudem.

— Nie wyjdę! — j e g o głos jest stanowczy.

— Jak to nie wyjdiesz? Zamieszkasz tam? Mam zadzwonić po pogotowie? Skąd ja mam wiedzieć, czy teraz nie wieszasz się na lampie?

— Nie wiem się! Próbowałem, ale na pewno nie wytrzyma mojego ciężaru! — Marcin otwiera drzwi, ma mokre włosy i ręcznik kąpielowy wokół bioder. Wygląda świetnie, ale zachowuję zimną krew.

— Napijesz się herbaty? Zaraz będzie pizza!

— Skąd wiedziałas, że nic nie jadłem od dwóch dni? — Marcin patrzy na mnie podejrzliwie.

— Kobieca intuicja! Ubierz się i zapraszam do kuchni!

Gdy jemy pizzę w salonie, przeprasza mnie za swoje zachowanie.

— Załamałem się. Musiałem z kimś pogadać, musiałem wyrzucić z siebie całą cholerną rozpacz i idiotyczną zazdrość!

— Nie wiedziałam, że tak ją kochasz... — zamyślam się.

— Ja też nie wiedziałem, jestem bezradny jak dziecko. Wydzwaniam do niej, błagam o spotkanie, a potem wrzeszczę i używam słów, których potem żałuję! — Marcin drżącą ręką sięga po kubek z herbatą. — Kretyn ze mnie, może gdybym inaczej to rozegrał, bywał częściej w domu, to nie szukałaby kogoś innego. A ten... co on jej może dać? Sama się z nim rozwiodłaś, to wiesz, że na pewno ideałem nie jest!

— A kto jest? — wzdygam. — Czy ona tłumaczy się jakoś, ma wyrzuty sumienia? — dopytuję się.

— Nie ma! Twierdzi, że od lat była zdradzana! Kto jej napłótł takich bzdur na mój temat? Może mogłabyś spotkać się z nią i wszystko wyjaśnić?

— Nie mogłabym! — jestem stanowcza. Nie będę mieszać się w ich sprawę.

Zostawiam Marcinowi wizytówkę mojego psychoterapeuty. Na pewno wyrzuci ją do kosza. Jego żona interesuje mnie coraz bardziej. Doprowadziła go prawie do załamania nerwowego... Marek szaleje na jej punkcie! Co ma w sobie ta kobieta?

Wracam do pracy. Obiecuję Marcinowi, że będziemy w kontakcie.

W domu jestem dopiero późnym wieczorem. Wykończona. Zastaję Karolinę w kuchni.

— Wybiła godzina zero, mamuś! Jutro rusza promocja! Z góralami i z kozą!

— Jak to z góralami i z kozą? — stawiam swój nesesor na krześle.

— Teraz modny jest folk. Sama rozumiesz! Będę miała kowbojski kapelusz, białą bluzkę z dużym dekoltem i szerokimi rękawami, kolorową spódnicę i cizemki.

— Cizemki? — staram się rozumieć, co mówi, ale nie nadążam.

— Będzie kapela góralska, Cyganie i koza, którą wypożyczylimy od sąsiada mamy Bruna. Podobno jest bardzo spokojna! — Karolina kręci się po kuchni.

— Kto? Mama Bruna? — dziwię się.

— Nie. Koza!

— Ale po co to wszystko? — Przygotowuję herbatę w naszych ulubionych kubkach.

— Jedna z moich piosenek to folkowy mix. Trzeba postawić na różne gatunki muzyczne! Nie tylko na disco!

— Myślałam, że to takie plażowe piosenki o morzu i wakacjach...

— W większości tak, ale nie tylko! Wystąpimy także w Zakopanem i w Bukowinie! — Karolina cały czas je. Wygląda zdrowo. Oczywiście błyszczą. Policzki ma rumiane. Nowe kolczyki w nosie, uszach i pępku.

— Bardzo cię proszę, żebyś nie tańczyła! Bądź rozsądna! Lekarz powie ci to samo! — wzdycham.

— Mamo! Nie nudź! Nie mogę być niewolnicą swojego brzucha!

Piątek

PORYWAM CIĘ W SOBOTĘ WIECZOREM! KONCERT W PLENERZE! MOŻE BYĆ? — to SMS od Bogdana.

Wciąż o nim myślę. Także podczas rozmów służbowych. Po awanturze z Damianem siedzę roztrzęsiona, przeżywając wszystko w samotności.

Słyszę nagle, jak ktoś szturmuje sekretariat i pod drzwiami do mojego gabinetu wybucha kłótnia.

— Ale pan nie może tam wejść! — głos Marysi jest rozpaczliwy.

— Yes! Ja... wejść! — męski głos jest stanowczy.

— Nie! Nie wejść! — moja sekretarka jest bliska płaczu.

Drzwi otwierają się gwałtownie.

— O co chodzi? — patrzę groźnie na intruza.

Okazuje się niedużym, pulchnym rudzielcem około czterdziest-

ki. Ma na sobie prążkowany garnitur, różową muchę i skórzane mokasyny.

— Kim pan jest? — otwieram szeroko oczy.

— Kim? Ja wejść... ja powiem!

Odprowadzam Marysię. Wychodzi, posyłając mi zdumione spojrzenie.

— George Wilson! — mężczyzna podaje mi spoconą dłoń.

Jest niższy ode mnie. Na jego palcu dostrzegam okazały sygnet.

— Czy my się znamy? — dopytuję się.

— Ja znać Caroline, my niedawno rozstać się! — rozsiada się na krześle.

Czy to jest ten człowiek, który wpakował moją córkę w kłopoty? To przez niego płakała!

Robię się lodowato uprzejma.

— Słyszałam o panu! O co chodzi? — zakładam nogę na nogę i wbijam w niego wzrok.

— Długa historia... Caroline mnie nie chce... szkoda — George wzdycha boleśnie.

— Trudno, żeby chciała kontynuować związek z żonatym mężczyzną — wzruszam ramionami.

— Ja to wiedzieć, trudna sprawa, ale ja pomóc chętnie — zapewnia mnie.

— Ani ja, ani moja córka nie potrzebujemy pomocy! Drzwi są tam!

— Pani zła, a ja proszę pomóc, ja chcę wrócić do niej, ja kocham... — George załamuje ręce.

— A żona? — unoszę brwi.

— Żona wyjechać... nie chce mnie... ja sam!

Wydaje się żaloszny w tym swoim kabaretowym garniturku.

— Rozmawiał pan z Karoliną? — pytam, patrząc na zegarek.

— Ja chceć... a ona nie odbierać telefon... może pani jej powiedz, ja kocham... — George wyciera pot z czoła. Jak widać, konwersacja w języku polskim sprawia mu trudność.

— Powiem, ale nic nie obiecuję! — zapewniam go.

Patrząc, jak kłaniając się uprzejmie, zamyka za sobą drzwi. Co Karolina w nim widziała? Zawsze wybierała mężczyzn, na któ-

rych ja nie zwróciłabym uwagi. Chcę do niej zadzwonić, ale rezygnuję. Wiem, że ma dzisiaj premierę płyty. Nie chcę jej denerwować.

Przeglądam gazety na biurku; czasem warto pociągnąć jakiś temat, który został poruszony przez konkurencję. Czuję, że się wypalam i mam coraz mniej pomysłów.

W jednym z kolorowych tygodników znajduję wywiad z moją córką. Na zdjęciu na okładce tuli się do Bruna i do pluszowej różowej pantery.

— *MISS-CAROLYNNA-PLAŻOWO* — to tytuł debiutanckiej płyty znanej modelki i fotomodelki Karoliny. Jest ona niezwykła także z innego powodu! Pierwszy raz dyskotekowe, folkowe i hip-hopowe hity wykonuje kobieta w ciąży! Skąd ten pomysł?

— Uważam, że bliskie macierzyństwo nie powinno przeszkadzać mi w realizacji marzeń! Oczywiście jest mi trudniej śpiewać, bo gdy ruszam przeponą, to maleństwo kopie, ale mój lekarz nie ma nic przeciwko występom.

— Uczyłaś się zawodowego śpiewu?

— Należałam do profesjonalnego chóru. Myślę, że mam dobrze wyszkolony głos. Zresztą, gdyby tak nie było, nie odważyłabym się zaprezentować publiczności! Szanuję swoich słuchaczy!

— Jak godzisz prowadzenie domu z byciem artystką?

— Nie mam z tym żadnego problemu. Moi znajomi mogą potwierdzić, że świetnie gotuję, a mój narzeczony chwali ciasta, które dla niego piekę!

— Kiedy ślub?

— Marzę o tej chwili. Wyobrażam ją sobie ciągle. Jak każda dziewczyna chciałabym przeżyć ten moment romantycznie.

— Bruno także jest romantykiem?

— Tak. Rzadko się to zdarza w dzisiejszym świecie. Jak tylko dowiedział się, że noszę jego dziecko, to padł na kolana i poprosił mnie o rękę..."

Lekturę przerywa mi telefon od Bogdana.

— Dostałaś mojego SMS-a? Siedzę w szpitalnym bufecie, wariuję po prostu. Myślałem, że się obraziłaś?

— O co? Nie! Mam mnóstwo spraw! — wzdycham.

— A! To przepraszam! Już się rozłączam!



— Czekaj! — powstrzymuję go. — Nie chcę cię spławić! Świetny pomysł z tym koncertem! Muszę odpocząć! Zrelaksować się!

Omawiamy szczegóły. Całe popołudnie spędzimy nad Zalewem Zegrzyńskim. Zwiedzimy pałac w Jabłonce. Cieszę się jak dziecko.

## Sobota

Zaliczam wizytę u kosmetyczki i fryzjera. O drugiej po południu podjeżdżam pod szpital. Bogdan nie ma samochodu, więc na wycieczkę wybieramy się moim.

— Hanka śpi! Miała kiepską noc! — wita mnie przy portierni.

— Szkoda! Chciałam wejść na górę i pochwalić się, że mnie porywasz!

— Ładnie wyglądasz! — Bogdan przygląda mi się uważnie. — To nie banalny komplement! To prawda!

— Staram się, chociaż czasami to trudne, ale ty nie wyglądasz za dobrze! — odpowiadam, gdy wsiadamy do samochodu.

— Miła jesteś! No cóż, martwię się o Hankę, w nocy myślę o tym, co mogłoby się stać, jestem między nadzieją a rozpaczą. To koszmarny stan, ale nie mówmy o mnie — Bogdan zamyśla się.

— A dlaczego nie? Jesteś sam w obcym mieście, twoja siostra jest poważnie chora... masz prawo czuć się fatalnie! — pocieszam go.

— Ale im więcej o tym myślę, tym gorzej się czuję. Chwile z tobą to dla mnie prawdziwe wytchnienie. Nie znaczy to, że opieka nad Hanką jest męcząca, ona jest wręcz bezproblemowa, ale mam alergię na szpital. Moja siostra nic nie mówiła? — upewnia się.

— Nie. O czym? — ściszam radio w samochodzie. Jestem ogromnie ciekawa jego zwierzeń.

— W dzieciństwie bardzo chorowałem, sześć lat spędziłem w szpitalach i sanatoriach. To śmieszne, ale pierwszą bójkę zaliczyłem właśnie w szpitalu i pierwszy pocałunek z dziewczyną także tam. Nie znałem innego życia, nie wiedziałem, czy będę żył. Wiesz, dzieciom nie mówi się całej prawdy, ale ona prędzej czy później

dociera, bo jeżeli ciągle trzymają cię w tym przeklętym miejscu i wokół ciebie umierają rówieśnicy, to zaczyna kiełkować w twojej głowie myśl, że ty też masz jakąś nieuleczalną chorobę. Nie mogłem biegać, skakać, kopać piłki, stałem się obserwatorem szpitalnego życia, widziałem rozpacz, śmierć, ból i to wszystko o wiele za wcześnie, dużo za wcześnie. — Bogdan potrząsa głową. — Szybko uczyłem się życia. Dzieciaki są okrutne, nie owijają niczego w bawełnę. Mówiły na przykład: „Nie baw się z tym łysym, bo on ma najwyżej trzy miesiące życia. Zaprzyjaźnisz się, polubisz i potem smutno ci będzie. Nie opłaca się!” Po tym wszystkim nie za bardzo umiałem odnaleźć się w normalnym świecie. Cztery razy zmieniałem liceum. Oblałem maturę z matematyki. Chciałem być wolny. Jak najszybciej uciec od rodziców, zapomnieć o ich wymownych spojrzeniach. Nie potrafili ze mną rozmawiać, nie umieli mnie karać. Bali się. Gdzieś głęboko pozostała w nich świadomość, że byłem śmiertelnie chory, że drżeli o moje życie. Wykorzystywałem to. Wiedziałem, że mam nad nimi przewagę, że nie mogą nic zrobić. Nie znaliśmy się za dobrze, bo jedynie święta spędzałem w domu. Oboje pracowali i do szpitali czy sanatoriów wpadali rzadko i na krótko, tak że po prostu przestałem za nimi tęsknić. Jak tylko skończyłem osiemnaście lat, wyniosłem się z domu. Pragnąłem wolności. Totalnej. Pracowałem fizycznie, jeździłem po całej Polsce autostopem, spałem na dworcach, myłem wagony, kiedyś przygarnęli mnie Cyganie, innym razem zostałem pobity i okradziony, ale byłem szczęśliwy... wreszcie wolny! Ile razy marzyłem o takiej chwili w szpitalu, przykuty do łóżka, że po prostu wsiadam w pociąg i jadę przed siebie, nieważne dokąd i po co!

Słucham tego z niedowierzaniem. W porównaniu z jego dzieciństwem i młodością moje życie było sielanką.

— Byłem wolny! Nie musiałem już obawiać się, czy następnego dnia obudzę się w niebie, czy w piekle. Bardzo bałem się śmierci, gdy byłem dzieckiem. Przychodziła często w nocy lub nad ranem. Zabierała moich kolegów. Była blisko, obok mnie. Już nie płakałem, nie błagałem rodziców, żeby zabrali mnie z tego koszmarnego miejsca. Wiedziałem, że to nic nie da. Każdego dnia marzyłem o tym, co będę robić „na wolności”. — Bogdan zamy-

śla się. Patrzy na mnie w milczeniu.

— Wiem. Myślałem tylko o sobie. Nie dawałem znaku życia przez długi czas. Rodzice szaleli z niepokoju. Bali się o mnie, o moje zdrowie. Zraniłem ich bardzo, odchodząc bez słowa, bez wytłumaczenia, jakby byli dla mnie bez znaczenia. Wpadłem w narkotyki, to był następny etap. Wydawało mi się, że wszystko mi wolno, że wszystko mogę robić bezkarnie, skoro wyrwałem się śmierci. Gdy śpałem, to świat był jeszcze piękniejszy, zapominałem o koszmarach, które często śniły mi się w nocy. Wiesz, tego nie da się opisać, pamiętam sny o jednym z moich przyjaciół ze szpitala, który popełnił samobójstwo, gdy dowiedział się, na co jest chory. Powiedzieli mu nie lekarze, nie pielęgniarki, nie rodzice, tylko koledzy z sali, opowiedzieli o innych, którzy z tego nie wyszli. Nastraszyli go. Miał trzynaście lat. Potem śnił mi się często. Przestał, gdy zacząłem brać.

— A Hanka? Nie pomagała ci? — pytam delikatnie.

— Próbowła. Słaby mieliśmy kontakt. Rodzice zawsze stawali mi ją za wzór, co oczywiście powodowało konflikty. Uważałem, że nie ma nic gorszego niż przemądrzała starsza siostra. Gdy po swoich wędrówkach po Polsce wróciłem do domu, ona natychmiast domyśliła się, co jest grane. Najpierw kryła mnie przed rodzicami, a ja zapewniałem ją, że już rzuciłem to świństwo. Potem płakała, wrzeszczała, groziła, a ja śmiałem się jej w twarz. Potrzebowałem pieniędzy i zacząłem wyносить różne rzeczy z domu, pierścionek po babci, srebrne łyżeczki, order dziadka. Myślę, że ona tak długo mnie kryła, bo bała się o mamę, nie chciała jej martwić.

— Ale rodzice domyślili się? — pytam cichym głosem.

— Tak, nagle to do nich dotarło. Byłem agresywny, nieprzyjemny, dużo spałem w ciągu dnia. Oficjalnie uczyłem się po nocach do zaocznej matury, ale, pewnego dnia czułem, że muszę coś wziąć, a nie miałem pieniędzy, dostałem szau, wrzeszczałem na matkę, była przerażona... Do dziś nie mogę sobie tego darować. Zabrałem jej wszystko, co miała w portmonetce, ale to było za mało. Hanka próbowała mnie uspokoić, ojca nie było wtedy. Nie wiem, jak by się zachował. Uderzyłem swoją siostrę tak mocno, że rozciąłem jej wargę. Boże, nawet nie poczułem wyrzutów

sumienia, tylko jeszcze większą wściekłość. Wezwała milicję. Zabrali mnie i dość brutalnie potraktowali, sięgnąłem dna. Stałem się szmatą. Miałem żal do Hanki, ale potem uświadomiłem sobie, że zrobiła najlepszą rzecz, jaką mogła. Musiała chronić dom, matkę przed taką swołoczą, przed tym śmieciem, którym byłem. Uświadomiłem sobie, że mogę stracić wszystko. Wierz mi. Byłem blisko — opowieść Bogdana jest wstrząsająca. Kto wie, jakie tajemnice jeszcze kryje?

— Trochę to trwało, ale przekonałem się, że zdrowie i życie można stracić bardzo łatwo, przez swoją głupotę. Równie łatwo można zniszczyć miłość najbliższych osób. Powinienem być jednak dumny, bo od dwudziestu pięciu lat jestem czysty. Rodzice wybaczyli mi. Starąłem się o to bardzo, zdałem maturę, skończyłem archeologię. Nauczyłem się pilotować szybowiec, nurkować, to dla mnie znaczy wolność. Próbowałem rozmawiać z Hanką. Miała do mnie ogromny żal, twierdziła, nie bez racji, że rodzice zawsze bali się o mnie i troszczyli, a ja świadomie zafundowałem im jeszcze dodatkowe cztery lata koszmaru. Jak widzisz, mam skomplikowany życiorys. Nie wiem, czy podoba ci się teraz taki facet z bliźniami na duszy, jak ja, z drugiej strony, jestem trochę dumny, że poradziłem sobie bez pomocy psychologów, psychiatrów, sam powoli naprawiłem relacje z rodzicami, z Hanką. No i co ty na to? Fatalny życiorys, prawda? — pyta ze smutnym uśmiechem.

— Prawda. Twoja siostra ostrzegała mnie przed tobą — wzdycham.

— I miała rację. Nie sprawdzam się w związkach, zwłaszcza w tych dłuższych. To przez głupie marzenie o wolności. Nie każdej kobiecie opowiadam o tych bolesnych sprawach, ale do ciebie mam zaufanie. Zraniłem bardzo wiele osób, nie potrafiłem nawet elegancko kończyć związków, po prostu uciekałem bez słowa. Miłość była dla mnie zniewoleniem. Gdy robiło się wspólnie i zaczynaliśmy budować wspólną przyszłość, ja znikąłem.

— Nie pomyślałeś, że przyjemnie jest mieć kogoś bliskiego? Bratnią duszę. Kogoś, kto cię wspiera i fascynuje — podpytuję go.

— Wiesz, kobiety zaczynały wymagać ode mnie coraz wię-

cej, a ja czułem, że zaczynam się dusić. Odpowiedzialność za drugiego człowieka przerażała mnie i kłóciła się z moim poczuciem wolności.

— To raczej czysty egoizm! — wzruszam ramionami.

— Masz rację. Moje sprawy, moje uczucia były dla mnie najważniejsze. Reszta nie za bardzo się liczyła.

— Ale teraz opiekujesz się Hanką, nie jesteś...

— Nie jestem całkiem stracony? — Bogdan uśmiecha się blado. — Mam dług wobec niej. To najbliższa mi osoba. Rodzice już nie żyją. Musimy się wspierać.

Dojeżdżamy do Legionowa.

— Popsułem chyba trochę wyjazd tymi zwierzeniami? Ale chciałem, żebyś miała pełny obraz — Bogdan zamyśla się.

— No i mam pełny obraz! — odpowiadam bez uśmiechu. Po co on to wszystko mówi? Znam siebie i wiem, że wciąż będę o tym myśleć.

Robimy postój. Jemy lody. Błądzimy po parku. Jakaś para pozuje do ślubnej fotografii.

Dzwonię do Karoliny, gdy Bogdan znika, aby uregulować rachunek.

— Jak promocja płyty? Jak było?

— Mamuś, ja śpię! Było rewelacyjnie! Potem ci wszystko opowiem! — ziewa.

— Nie zgadniesz, kto był u mnie wczoraj w pracy! Swoją drogą, skąd on wiedział, gdzie pracuję? — zastanawiam się.

— Kto?

— George Wilson! Wyobrażasz sobie!

— Taa... dzwoni do mnie co jakiś czas. — Karolina nie jest ani zdziwiona, ani oburzona.

— Powiedział mi, że cię kocha, że jest sam, bo żona go zostawiła...

— Jest zazdrosny o Bruna. Świrnięty Anglik!

— Czytałam wywiad z tobą w tygodniku „Celebrities”. Dlaczego powiedziałaś im, że Bruno jest ojcem twojego dziecka? — dopytuję się.

— No nie udawaj! Wiesz, jak jest! Taki obraz słodkiej rodziny świetnie się sprzedaje! Kogo obchodzi, że George jest w to za-

mieszany! Nikt nie musi wiedzieć, że romansuję z zonatymi facetami! — Karolina wścieka się.

— Masz rację! To było głupie pytanie! — uspokajam ją.

— Jasne, że głupie!

Kończę rozmowę i chowam się pod kawiarnianym parasolem. Słońce mocno grzeje i boję się, że natychmiast się spocę.

Bogdan jest trochę przygnębiony, ale stara się poprawić mi humor.

— Nic nie mówisz? Jestem spalony, tak?

— Spalony to za mało powiedziane — wybucham śmiechem.

— To nadaję się tylko na kolegę, tak? — robi smutną minę.

— To się okaże! Jedziemy!

## Niedziela

O dziewiątej rano budzi mnie dzwonek do drzwi. Po omacku docieram do przedpokoju. Spałam tylko trzy godziny. Koncert nad Zalewem skończył się dobrze po północy.

Zachowywaliśmy się jak nastolatki. Nawet śpiewaliśmy z całą publicznością, tak więc dziś mam potworną chrypę.

— Kto, kto tam? — pytam grubym głosem.

Przez wizjer dostrzegam Marka, nerwowo zerkającego na zegarek.

— Co się stało? Coś z Karoliną? — natychmiast otwieram drzwi.

— Nie, nic — mój były mąż drapie się po głowie.

W ręku ma dziecięcy, różowy plecaczek z twarzą lalki Barbie, a zza jego kolan wygląda śliczna złotowłosa sześciolatka, ubrana w białą sukienkę z bułkami, słomiany kapelusik z kokardą i żółte sandały.

— To... to jest Stella — Marek odchrząkuje.

— Stella — powtarzam bezmyślnie.

— Tak, córeczka Kasi.

— Córeczka Kasi i Marcina? — wreszcie do mnie dociera. — Co ona tutaj robi?

— Widzisz, mam problem, muszę pojechać na służbowe spo-

tkanie. To kwestia kilku godzin, a Kasia też ma ważne zebranie. Miałem zająć się małą, ale nie mam z kim jej zostawić. — wzdycha.

— A Marcin?

— To nie jego weekend. Kaśka byłaby wściekła, gdybym ją tam zawiózł, nic jej nie powiedziałem o tym służbowym spotkaniu, bo to wyniknęło pół godziny temu. Nie wiem, co robić! Nie chcę do niej dzwonić, bo pewnie i tak nie może teraz odebrać telefonu! Nie chcę jej denerwować!

— Moment! To wy oboje pracujecie w niedzielę? — pytam, otulając się szlafrokiem. Myślałam, że to ja jestem niepoprawną pracoholiczką, a tu proszę!

— Ja pracuję siedem dni w tygodniu! Gdy się chce do czegoś dojechać, to tak to wygląda! — Marek obrusza się.

— A jeszcze do niczego nie doszedłeś? Dom z basenem, dwa samochody to mało? — otwieram szeroko oczy.

— Nic nie rozumiesz! Kasia chce uniezależnić się od Marcina. Mówi, że nie może nikomu nic zawdzięczać! Adwokaci też kosztują! Ale ja chciałbym, w przyszłości, żeby trochę zwolniła. Mógłbym ofiarować jej bardzo wysoki standard życia. Ona jednak nie chce brać pieniędzy od nikogo. Może zmieni zdanie... — Marek zamyśla się.

— Zawieź małą do dziadków! — chcę już zakończyć tę głupią dyskusję! Nie chcę być wtajemniczana w ich sprawę!

— Kiedy, no, ja się boję ojca Kaśki, a poza tym oni wszystko jej powiedzą. Nie chcę, żeby myśleli, że nie mam czasu dla Stelli! To kwestia tylko kilku godzin! — znowu patrzy na zegarek.

— Co ja mam z tym wspólnego? — patrzę na małą, która przestępuje z nogi na nogę.

— Nie zajęłabyś się nią? Proszę! Odwdzięczę ci się! To sytuacja awaryjna! Jej niania nie odbiera telefonu! Nie wiem, co mam robić! Poszłybyście, no nie wiem, na przykład do zoo — patrzy na mnie błagalnie.

— Ja już byłem w zoo! — Stella wydyma usta.

Wpuszczam ich do środka. Czestuję małą sokiem. Jest zachwycona psami. Zwłaszcza Happy robi na niej wrażenie.

Wypycham Marka do przedpokoju.

— Na szczęście psy są łagodne! Mam nadzieję, że ona nie ma alergii na sierść, co? — pytam.

— Nie wiem, chyba nie — Marek jest zmieszany. — Przepraszam.

Mój były mąż nie domyśla się, że go testuję. Przecież wiem, że Stella wychowywała się razem z kotem i psem. Mam wrażenie, że on bardzo niewiele wie o małej i nic nie robi, żeby to zmienić!

— A twoja matka? Przecież ona nie ma nic do roboty! — mówię szeptem.

— Kasia jej nie lubi. Byliśmy u niej dwa razy i powiedziała, że więcej tam nie pójdzie, mam nadzieję, że z czasem zmieni zdanie, poza tym nie zapominaj, że mama jest dobrze po siedemdziesiątce.

— Nie zapominam. Zwróć uwagę, że ja miałam podobne zdanie o swojej byłej teściowej! Mogłabym pogadać o niej z Kasią, wymienić doświadczenia — uśmiecham się.

— Błagam! Nie zrobisz mi tego! — Marek kręci się nerwowo.

— Przecież Stella mnie nie zna, może się przestraszyć, no nie wiem, zacząć płakać. Zresztą pewnie powie mamie, że była u jakiejś obcej pani! — zniżam głos.

— Wyjaśnię to jakoś Kasi! Przysięgam, powiem, że była tylko godzinę, bo musiałem pojechać po leki dla mamy.

— Już zaczynasz ją okłamywać! Gratulacje! — śmieję się.

— Zuzanna! Ja za dziesięć minut mam cholernie ważne spotkanie! Błagam cię! — Marek prawie ma łzy w oczach.

Niechętnie się zgadzam. Biorę od niego plecak małej. Zapamiętuję, że jest już po śniadaniu i nie wolno dawać jej zbyt wielu słodyczy.

— Mówię ci, to nie potrwa długo! Ja cię chyba ozłocę! — Markowi błyskawicznie wraca humor.

Zamykam za nim drzwi i biegnę do kuchni. Stella zdążyła zjeść już spory kawałek ciasta od pani Tosi.

— No dobrze! Kończymy jedzonko i idziemy na spacer! — zabieram jej talerz.

— Z psami? To ja chcę je prowadzić na smyczy. A ty kto jesteś? — patrzy na mnie bez uśmiechu.

— Ciocia! Nowa ciocia! — przekonuję ją.



Udaje nam się wyjść po godzinie. Jestem bez śniadania i bez kawy. Wciąż chodzę za matą i ją obserwuję... boję się, że coś sobie niechcący zrobi albo że zje coś, co nie nadaje się do jedzenia.

— Gdzie jest mama? — pyta mnie rezolutnie.

— W pracy. Twoja mamusia ciężko pracuje — zapewniam ją.

— Po co?

— Po to, żeby mieć pieniążki i kupić ci coś ładnego! — wymyślam na poczekaniu.

— To ja chcę nowy domek dla Barbie. Czy Barbie pracuje?

— Na pewno gdzieś pracuje! — wzdycham.

— A gdzie Barbie pracuje? — mała nie daje za wygraną.

— No różnie, może w biurze albo... — j a k a m się. Gdzie, do licha, pracuje Barbie?

Idziemy do parku. Zastanawiam się, czy ona jest podobna do Marcina. Ma jego oczy, zarys szczęki...

— Karuzela! Chodź! — Stella wrywa mi się błyskawicznie.

Próbuję przypomnieć sobie czasy, gdy Karolina miała sześć lat. O czym rozmawiałyśmy? Co robiłyśmy? Jakie lubiła zabawy?

Ktoś siada koło mnie na ławce. Kątem oka dostrzegam opalone ramiona, skórzaną mini i klapki na niesamowitej szpilce.

— Zuzanna! Znowu się spotykamy! Jesteś z tą małą? To twoja wnuczka? — Kama zdejmuje przeciwsłoneczne okulary marki Versace.

— Nie! Córeczka znajomych! — syczę.

Mam ochotę ją zabić! Wnuczka! Czy ja wyglądam na babcię sześćioletniej pannicy! Co za bezczelność!

— A! przepraszam! Śliczna lalunia! Ale upał! — wachluje się gazetą.

— Myślałam, że lubisz taką pogodę — wzruszam ramionami.

— Lubię, ale nienawidzę się pocić. Mogliby wymyślić taką tabletkę, która stopowałaby pocenie się! Pierwsza bym ją kupiła! Wpadłabyś do mnie na kawę? Mam film DVD z Krety! W końcu jesteśmy sąsiadkami! — Kama patrzy mi prosto w oczy. Gdy uśmiecha się, widać siateczkę zmarszczek na skroniach.

— No nie wiem... — wzdycham.

— Mam pyszne wino! Nie odmawia się sąsiadce!

— Czy twój mąż też będzie? — pytam dyplomatycznie.  
— Nie. Wyjechał. To jak? Dziś wieczorem? — zakłada nogę na nogę.

Nie wiem, jak jej odmówić. Nie umiem. Jestem speszona.

— No cóż, niech będzie, przyniosę coś do jedzenia — proponuję.

— Mam wszystko. Nie ma problemu!

— Chcę siku! — Stella ma brudne kolana i zgubiła gdzieś swój kapelusik.

— Wracamy! — podnoszę się z ławki i żegnam z Kama.

— Do zobaczenia! — macha mi z hollywoodzkim uśmiechem. Żałuję, że się zgodziłam. O czym możemy rozmawiać? Jakie mamy wspólne tematy?

Stella ogląda bajkę w telewizji, a ja próbuję przygotować obiad. Pani Tosia, jak zawsze, zostawiła sporo pyszności, ale muszę wybrać coś delikatnego i lekkostrawnego.

Telefon odrywa mnie od mieszania w garnkach. To Bogdan!

— Co słychać? — ma ciepły, serdeczny głos.

— Przepraszam, mam paskudną chrypę, nie mogę uwierzyć, że ja, w tym wieku, wydzieriałam się na tym koncercie jak nastolatka — wzdycham.

— Teraz masz głos bardzo namiętny. Podoba mi się. Nie dasz się porwać gdzieś znowu?

— Zależy gdzie. Przyjadę do Hanki jutro po pracy, to pogadamy! Czy ona wie o naszych wypadach? — zastanawiam się.

— Domyśla się. Nie chcę jej denerwować, bo sama mówiłaś, że zrobiła ze mnie potwora.

— Ciociu! Pies mnie polizał!

— Bo cię lubi! Zaraz będzie obiad!

— Nie chcę obiadu. My też mamy psa!

— Wiem — wzdycham.

— I kota, ale jest u taty.

Po godzinie próbuję się dodzwonić do Marka. Bez skutku. Dwadzieścia razy zostawiam mu wiadomość.

Stella zasypia na kanapie. Zjadła niewiele. Wyłączam telewizor i wycofuję się do sypialni. Nie wiem kiedy, zapadam w nerwową drzemkę.

Nagle ktoś dzwoni do drzwi.

Na progu stoi atrakcyjna brunetka ubrana w pistacjowy zakiet i białe spodnie uprasowane w kant. Rozpoznają Kasię i czują się niezręcznie.

— Dzień dobry — mówi do mnie bez uśmiechu.

— Dzień dobry — chrypię.

— Pani jest była żoną Marka? — upewnia się.

— Tak. To ja. Proszę...

Wpuszczam ją do środka. Kasia rozgląda się niepewnie.

— Czy jest u pani moja córka?

— Jest. Śpi. Zaraz ją obudzę.

Zaglądam do salonu. Mała drzemie z rączkami na brzuszku.

— Dziękuję, że pani... że pani się nią zajęła... to się więcej nie powtórzy — Kasia jest bardzo oficjalna.

— Ale może się powtórzyć! Stella jest słodka i zupełnie bezproblemowa! — zapewniam ją.

— Dziękuję. Zaraz ją obudzę — j e s t wciąż sztywna i lodowato uprzejma.

— Może napijemy się herbaty? Mam także rosół, który jadłyśmy z małą, pewnie nie jest pani głodna, ale jest pyszny. Stella w ogóle nie grymasiła.

Kasia patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

— Nie, nie, dziękuję! Ja... No dobrze! Niejadłam nic od siódmej rano.

— A! To świetnie! To znaczy, już podgrzewam! — prowadzę ją do kuchni.

— Pani jest bardzo miła, a przecież my w ogóle się nie znamy — Kasia zamyśla się.

— Mam być miła tylko dla tych, których znam? Zresztą słyszałam o pani, same superlatywy — rozstawiam talerze na stole.

Widzę, że jest zmęczona i ma podkrążone oczy.

— Miałam wątpliwości, czy Marek dobrze zrobił, że przywiózł tu Stellę, ale widzę, że niepotrzebnie na niego nakrzyczałam — nerwowo bawi się ślicznym łańcuszkiem zdobiącym jej szyję.

— To było jakieś nagłe, bardzo ważne spotkanie, o ile wiem, nie chciał odwozić małej do Marcina — rozkładałam sztućce, zastanawiając się, czy mówić jej o tym, że kiedyś byłam zakochana w jej mężu.

— No tak, okazuje się, że świetnie pani zna najważniejszych mężczyzn mojego życia! — Kasia patrzy na mnie uważnie.

— Tak się złożyło. Cytryna do herbaty? — pytam uprzejmie.

— Niech pani na mnie spojrzy! — w jej głosie pobrzmiwa rozpacz. — Jestem złą matką, tak?

Milczę przez chwilę.

— Nie znamy się. Rozumiem, że są teraz takie czasy, że ludzie pracują nawet w niedzielę. Sama jestem pracoholiczką — wzruszam ramionami.

— Ale? — Kasia nie daje się zbić z tropu.

— No... Stella jest taka malutka, potrzebuje stabilizacji — wzdycham. — Nie chcę prawić kazań — częstuję ją rosołem.

Widzę, że jest bliska płaczu.

— Jestem zmęczona, to przez to. Marcin wszystko utrudnia, nie potrafię tego ogarnąć.

— Marek powinien pani pomóc.

— Pomaga — zapewnia mnie. — Chociaż chyba nie za bardzo wie, jak się do tego zabrać.

Pijemy herbatę. Kasia ma lekko rozmazany makijaż.

— Mama? Jesteś tu z ciocią? — rozespana Stella ciągnie mojego psa za ogon.

— Moje małeństwo! — Kasia już jest przy niej.

Gdy zostaję sama, zabieram się do zmywania naczyń. Marzę, aby wreszcie odetchnąć: posłuchać muzyki, obejrzeć jakiś film.

Nie mogę jednak skupić myśli. Dzwonię do Zośki.

— Nie przeszkadzasz! — zapewnia mnie. — Całą sobotę pracowałam w ogrodzie, a niedziela to słodkie nieróbstwo. Spałam aż do ósmej. Tomek zrobił obiad i pojechaliliśmy na rowerach do sklepu po pyszności na kolację. Jak widzisz, prowadzę fascynujące życie! Co u ciebie?

Opowiadam jej o wyznaniach Bogdana.

— Daj sobie spokój! — oczywiście jest już do niego uprzedzona. — Mówiłam ci! On nie radzi sobie sam ze sobą!

— To było tyle lat temu! Głupie błędy młodości! On miał potwornie smutne dzieciństwo! Nie potrafił się pozbierać.

— Ale od razu narkotyki? — Zośka jest oburzona. — Po co ci taki pokręcony facet?

— Przypomnij sobie, co ty wyprawiałaś na studiach! — de-  
nerwuję się.

— Oj tam! Paliłam trawę! No i co? Ale trawa to nie narkotyki!

— Tak mówisz Xeni? A może palicie razem?

— Zwariowałaś? Tylko nic jej nie mów! — Zośka jest wyraź-  
nie wystraszona.

— Ojciec o mało przez ciebie nie osiwiął, gdy zniknęłaś z tymi  
muzykami na dwa miesiące!

— No dobra! Poddaję się! — moja siostra wzdycha z rezy-  
gnacją. — Jednak mimo wszystko uważaj! Przecież w ogóle go  
nie znasz! Hanka mówiła, że to kiepski materiał na potencjalnego  
narzeczonego!

— Ale ty mnie rozśmieszasz! Uważam. Współczuję mu. Nie  
ma nikogo bliskiego oprócz siostry. Boi się, że ją straci.

— Cudownie! Jesteś jak zwykle pocieszycielką i konfesjona-  
łem. Tylko z litości nie idź z nim do łóżka!

Opowiadam jej o Stelli. Jest oburzona zachowaniem Marka.

— Dziecko to nie kukułcze jajo! Oni oboje są nieodpowie-  
dzialni! Romansują sobie, a to maleństwo cierpi!

— Pogubili się po prostu, Marcin ma depresję, a ja obserwu-  
ję to wszystko i zastanawiam się, dlaczego dorośli ludzie zacho-  
wują się jak dzieci! — wzdycham.

— A właśnie! Widziałam Karolinę w jakimś programie mu-  
zycznym. Co to za pomysł! Górale, kozy, Cyganie, palmy! Oszala-  
ła! Kto to kupi! — Zośka jest zirytowana.

— Takie są trendy! — tłumaczę jej spokojnie.

— Dupa nie trendy! Kto ją do tego namówił? I to jeszcze w tym  
stanie! Nie mogłaś jej zabronić? — oburza się.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? Miałam się oflagować albo  
rozpocząć głodówkę?

— No jasne! Ona od małego robiła, co chciała!

Postanawiam się zdrzemnąć, odpocząć od cudzych problemów.  
Wieczorem wychodzę z psami na krótki spacer. Dostrzegam Kamę,  
na balkonie, otuloną kąpielowym ręcznikiem.

— Za godzinę? — macha do mnie.

Marzę, żeby побыć dłużej w samotności. Z ogromną niechęcią  
myślę o kolejnym dniu pracy. Znowu kierat! Znowu po dziesięć  
godzin dziennie w redakcji!

Kupuję ciasteczka i chipsy w osiedlowym sklepiku. Swoją drogą, dlaczego tutaj jest tak drogo? Właściciele uważają chyba, że okoliczni mieszkańcy muszą płacić haracz za to, że w życiu wiedzie im się odrobinę lepiej niż przeciętnemu Kowalskiemu. Z drugiej strony, przyznaję sama przed sobą, że staję się snobką. Myślałam, że pieniądze mnie nie zmieniają. Całe lata z trudem wiązałam koniec z końcem, a teraz widzę, że nabieram obrzydliwej pewności siebie. Apartament na strzeżonym osiedlu? Lśniaca toyota? Zaczynam przyzwyczajać się do drogich gadżetów. Zaczynam uważać, że po prostu mi się one należą.

Chyba znów powinnam odwiedzić mojego psychoterapeutę.

Dzwonię do drzwi mieszkania Kamy mocno stremowana.

— Chodź! Zapraszam! — j e s t bardzo uprzejma.

Jej apartament pełen jest antyków, lamp Tiffany'ego, świeczników i bibelotów.

Siadamy w zagraconym salonie. Kama zapala kadmidełka.

— Lubię zapach wanilii. Kojarzy mi się z dzieciństwem i z moją babcią! — rozsiada się wygodnie w fotelu.

Włosy splotła w niedbały kok. Wygląda jak Hiszpanka, Latynoska. Chodzi boso, błękitne dżinsy opinają jej uda.

— Co za niezwykły zbieg okoliczności, że poznałyśmy się dopiero na Krecie, a nie tutaj.

— To wielkie osiedle. Czasem tak bywa — odpowiadam, zastanawiając się, o czym można z nią porozmawiać.

— Jesteś pierwszą sąsiadką, którą zaprosiłam, a mieszkam tu od trzech lat! — Kama nalewa wino do ozdobnych kieliszków. — Nie wiem nawet, kto urzęduje za ścianą. Kojarzę tylko dwie osoby. Jakoś te sąsiedzkie więzy powoli zanikają. Jak byłam mała, to w naszej kamienicy znałam wszystkich... — zamyśla się.

— Jesteś z Warszawy? — pytam uprzejmie.

— Nie. Z Łodzi. Przyjechałam tu na studia. Zakompleksiona gówniara w okularach! Ale wiesz, duma mnie rozpierała, bo dostałam się na wymarzony kierunek! To było coś! Nikt z mojej rodziny nie wierzył, że mi się uda!

— Co to za kierunek? Co to za studia? — pytam zciekawiona.

— Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna. Wydział Aktorski. Dostałam się za pierwszym podejściem! Niewielu osobom to się udaje.

— Jesteś aktorką? — otwieram oczy ze zdumienia.

— Teoretycznie tak. Wiesz, w życiu czasem niektóre rzeczy się komplikują. Przez cztery lata pracowałam bardzo ciężko, mówili, że mam wadę wymowy, zły zgryz, kilka kilogramów za dużo. Robiłam wszystko, żeby profesorowie byli zadowoleni. Często nocowałam w szkole, bo próby kończyły się przed północą. Teraz wspominam to z sentymentem, ale wtedy byłam wykończona, wiesz, ciągłe egzaminy, mało snu, mało jedzenia, bo nie pochodzę z bogatej rodziny, byłam potwornie zmęczona. Poznawałam fajnych ludzi, ale między nami wciąż była rywalizacja. Chciałam być profesjonalną aktorką i... prawie mi się udało — zamyśla się.

— Prawie?

— Obroniłam dyplom z wyróżnieniem. Byłam dumna jak paw. Gdy przygotowaliśmy spektakl dyplomowy ze mną w roli głównej, to prawie nie jadłam, nie piłam, zbiegałam tylko co jakiś czas po papierosa do bufetu. Wiesz, że tam sprzedawano papierosy na sztuki? Dla biednych studentów-nałogowców — Kama się śmieje.

— Zagrałaś w jakimś filmie, spektaklu? Może widziałam cię w czymś w telewizji? — dopytuję się.

— Poczekaj, dojdziemy i do tego. Gdy opuszczałam szkołę teatralną, byłam pewna, że świat stoi przede mną otworem. Moi profesorowie zadbali, żebym myślała w ten sposób. Chwalili mnie, nagradzali, a potem okazało się, że dyrektorzy teatrów wcale nie chcą mnie zatrudnić, a castingi do filmów wygrywają moje mniej zdolne koleżanki. Musiałam jednak z czegoś żyć, wciąż wynajmowałam pokój u tej samej staruszki na Powiślu, ale ciągle wisiłam jej pieniądze. Często jadłam tylko bułkę z kefirem, bo na nic więcej nie było mnie stać.

— A twoja rodzina? — dziwię się.

— Jak długo można utrzymywać jakąś pseudoartystkę, która ubzdurała sobie, że wyżyje z recytowania wierszy? To było podejście mojego ojca, zmarł zresztą wkrótce potem i moje marzenie, że udowodnię mu swój talent, musiałam schować do kieszeni. W ogóle ambicję także musiałam schować do kieszeni... — Kama smutnieje.

— Jak zarabiałaś na życie? — pytam delikatnie.

— Na szczęście są takie imprezy, jak promocje chipsów... jogurtów. No cóż, byłam też śnieżynką w przedszkolach razem z moim kolegą, który wcielił się w Świętego Mikołaja. To były marne pieniądze, zwykle płacone z opóźnieniem, a ja wciąż miałam długi. Wreszcie znalazłam ogłoszenie, szukali odważnych kobiet do party line...

— Do sex-telefonu? — zamieram z kieliszkiem wina uniesionym do ust.

— Możesz nazywać to, jak chcesz. Miałam wyobraźnię, refleks, więc wielu mężczyzn właśnie tylko ze mną chciało rozmawiać. Tak poznałam Zbyszka — uśmiecha się lekko. — Teoretycznie nie wolno nam było spotykać się z dzwoniącymi osobami, ale on bardzo mnie prosił i złamałam ten zakaz. Wiedziałam, że nie jest przystojny, bo atrakcyjni mężczyźni nie muszą płacić kobiecie za flirt przez telefon, ale polubiłam go. Miał dużo uroku, adorował mnie, pomagał. Wkrótce zamieszkaliśmy razem i rozkręciliśmy jego firmę transportową. Zbyszek raczej nie umiał rozmawiać z klientami, nie był dyplomata, a ja po prostu grałam profesjonalną panią prezes. I w ten sposób nam się udało! Pol-Transit to teraz potęga! Możemy wypić za ten sukces! — unosi kieliszek.

— Nie brakuje ci sceny, filmu? — dziwię się.

— Zagrałam w dwóch reklamach: piwa i tamponów. To cały mój dorobek! Czego ma mi brakować? Czegoś, czego nigdy nie posmakowałam? Oczywiście, czuję jakieś ukłucie zazdrości, gdy nagle widzę którąś z moich koleżanek w telewizji albo na okładce babskiej gazety, ale już się przyzwyczałam. Nie można mieć w życiu wszystkiego. Przynajmniej ja nie mogę!

## Poniedziałek

Nie mogę znaleźć ważnego dokumentu. Marysia także zniknęła! Szukam jej na korytarzu i w bufecie. W końcu zaglądam do toalety. Jest. Płacze.

Na mój widok niezdarnie ociera oczy papierowym ręcznikiem. Na jej obcisłej, kolorowej bluzce, upstrzonej wzorami z komik-



sów, widzę plamy od korektora i od potu. Wbiła się w niemodne bojówki; kolczyki to srebrne, ogromne pająki.

— Co się stało? — staram się jej nie spłoszyć.

— O! Przepraszam! — pociąga nosem. — Przepraszam. Już wracam do pracy. Już, już — wierzchem dłoni wyciera pyzaty policzek.

— Co jest? Co się dzieje? — nie daję za wygraną.

— Ja, zaraz mi przejdzie, to głupie. Tymon zamieszkał u mnie, pewnie wszyscy już wiedzą, no i dzisiaj, dziś nie smakowała mu moja jajecznicza! — moja sekretarka znowu zaczyna beczeć.

— Tak powiedział? — wzdycham z ulgą, że to nic poważnego.

— Nie powiedział, ale wiem! To spojrzenie! Już wiem, jak patrzy, gdy coś mu się nie podoba! — Marysia z niesamowitym hałasem wyciera nos.

— Jak patrzy?

— O, tak, jakoś tak — komicznie porusza brwiami.

— To jutro rano zrobisz lepszą!

— Ale jeśli dziś się wyprowadzi, to już nie zdążę! — biadoli.

— Przez jajecznicę? — nie dowierzam.

— On jest bardzo wymagający, pod każdym względem. Nie wiem, nie wiem, jak to będzie! — j e j oczy zachodzą łzami.

— Długo mieszkacie razem?

— Trzy dni. Ale on przywiózł tylko kilka swoich rzeczy, jakby to było tymczasowe, chwilowy stan. Kilka par dżinsów, dwie koszule, trzy pary butów i laptop. A u kogo trzyma resztę? — Marysia w rozpaczy wyłamuje palce.

— Może reszty nie ma? Może to całego jego dobytek? Nie wygląda na właściciela ogromnej garderoby! — pocieszam ją.

— Tak pani myśli? Może rzeczywiście ma pani rację! Gdy zapytałam, gdzie ma resztę rzeczy, to mruknął coś i włączył telewizor!

— No widzisz! Tylko nie daj się wykorzystać! Nie skacz wokół niego! Jak mu nie smakuje jajecznicza, to niech sam zrobi lepszą! Niech on się stara! Rozumiesz? — buntuję ją.

— Tak. Rozumiem. On ma się starać, ale jak ucieknie, to znaczy... — Marysia głęboko wzdycha.

— To znaczy, że szukał służącej, a nie partnerki i nie zastęgi-

wał na ciebie! J a s n e ? — uspokajam ją.

— Tak, całkowiec.

Wątpią, czy ona wykorzysta moje rady.

Przed lunchem zaglądam do Internetu. Podziwiam świetnie zrobioną stronę mojej córki: [www.misscarolynna.pl](http://www.misscarolynna.pl). Są zdjęcia wszystkich okładek czasopism z nią w roli głównej, najnowsze wywiady i specjalne pozdrowienia dla fanów. Ze zdumieniem czytamy także zapowiedź kolejnej płyty, którą nagra razem z maleństwem: "jego gaworzenie będzie doskonałym tłem dla nowoczesnych, chilloutowych muzycznych propozycji".

Karolina najwyraźniej chce wykorzystać także dziecko do robienia kariery. Nie pochwalam tego, ale nie mogę nic zrobić.

O osiemnastej jestem u Hanki. Drzemie. Kobieta na łożku obok ma nalaną twarz i potwornie podkrążone oczy. Na mój widok poprawia chustkę na głowie i uśmiecha się zachęcająco.

— Ona zaraz się obudzi. Proszę poczekać! Często tak przysypia.

Siadam grzecznie na stołku, koło łożka Hanki. Wypakowuję banany, czasopisma, kremy.

— Pani jest rodziną? — kobieta nie daje za wygraną.

— Tak jakby. Prawie. Przyjaciółką — odpowiadam cicho.

— Dobrze jest mieć przyjaciół, którzy nie zawiodą w chorobie, moi zawiedli — patrzy na mnie wymownie.

— Przykro mi. To smutne — odpowiadam.

Hanka powoli otwiera oczy.

— Jesteś — mówi szeptem.

— Tylko na chwilę. Nie chcę ci przeszkadzać — tłumaczę.

— Przeszkadzaj! Przeszkadzaj jak najczęściej — odpowiada powoli.

— Co to za kroplówka? Gorzej się czujesz? — dopytuję się.

Nie podoba mi się, że kobieta z sąsiedniego łożka otwarcie przysłuchuje się naszej rozmowie.

Chcę zapytać o Bogdana, opowiedzieć jej o naszych spotkaniach, ale warunki nie są sprzyjające. Trudno. Poczekać.

Marysia ma świetny humor. Od rana. Podśpiewuje. Podryguje. Wszędzie jej pełno.

— Poskutkowało! A z jajecznicą to był fałszywy alarm! — rzuca mi przelotnie.

Podczas lunchu spotykam Marcina. Wygląda lepiej niż ostatnim razem, chociaż wyraźnie postarzał się i przybyło mu siwych włosów. Je niewiele. Wita się ze mną bez entuzjazmu. Prawdę mówiąc, oczekiwałam słów wdzięczności, chociaż zdawkowego „dziękuję”, ale niestety... Jest zamknięty, zasklepiony w swojej rozpacz i nienawiści.

— Nienawidzę kobiet! — oświadcza mi przy deserze.

— O! To miłe! Dziękuję!

— Ty jesteś wyjątkiem, ale reszta to... — zagryza wargi.

— Tylko jedna zrobiła ci świństwo, a ty paskudnie uogólniasz!

— próbuję żartować.

— Nie jedna! Wiele. Na przykład moja matka. Wyszła drugi raz za mąż za człowieka, który wiecznie mnie gnoił.

— Może miała nadzieję, że wszystko ułoży się między wami?

— odzywam się uprzejmie.

— Bzdura! Chodziło jej o pieniądze i wygodne życie! Miałem wszystko oprócz miłości — wzrusza ramionami.

— Nie mów tak. Jesteś niesprawiedliwy — denerwuję się.

— Sama to ostatnio przyznała! Wreszcie opowiedziałem jej, że moje małżeństwo się sypie. Stwierdziła, że to jej wina, bo nie nauczyła mnie, jak okazywać uczucia. Płakała. Głupia sprawa! — wzdycha.

— Ile ona ma lat?

— Prawie osiemdziesiąt. Jest niesamowita. Pochowała trzech mężów, chodzi z trudem, ale codziennie robi sobie makijaż i pije kawę u Bliklego.

— Opowiedziałeś jej o wszystkim? O detektywach, o swojej depresji?

— No, bez przesady! O jakiej depresji? Masz na myśli tamten kiepski dzień? Nie wiem, co mi się stało. W każdym razie, jak widzisz, egzystuję normalnie.

Nie mówię mu, że poznałam Kasię i Stellę. Nie będę mieszać się w ich sprawy.

— Jak twoja córeczka? Jak ona to znosi? — pytam.

— Mała? Ona... Boże... co my jej fundujemy! Boję się... że to w niej zostanie... na całe życie!

Wieczór spędzam na basenie w centrum fitness, dwa kroki od domu. Postanawiam zacząć dbać o siebie: obowiązkowo aerobik, może pilates, a może jazz dance, chociaż obawiam się, że moja kondycja nie jest najlepsza.

Pływam godzinę. Potem idę na masaż. Totalny relaks. Wiem, że po takim wieczorze zasnę od razu, jak niemowlę.

Gdy zasypiam, budzi mnie telefon. Oczywiście to Karolina, dla której północ to świetna pora na pogaduszki.

— Co tam, kochanie? Jak się czujesz? — wzdycham.

— Mamuś! Zapisz sobie! Sobota! Godzina osiemnasta! Rewal! Amfiteatr! — moja córka jest niezwykle podekscytowana.

— Nie nadażam! O czym ty mówisz?

— Mam koncert rozpoczynający trasę promocyjną! Musisz tam być!

— A gdzie to jest?

— Nad morzem! Blisko Kołobrzegu! Jak wyjedziesz rano, to zdążysz. Zabierz ciocię i wujka! Muszę czuć jak najwięcej życzliwych osób na widowni!

Jak ona się uprze, to nie ma zmiłuj. Wiem, że się nie wykręcę. Przeraza mnie jednak perspektywa spędzenia prawie całego weekendu w samochodzie.

— Słuchaj... to strasznie daleko... może jak będziesz występować gdzieś bliżej...

— Wiesz co? Ja zaczynam zupełnie nowy etap w życiu, a ciębie to zupełnie nie obchodzi! To krok milowy w mojej karierze, a ty masz do tego takie podejście! Nawet rodzice Bruna przyjadą, a ty... — połączenie się urywa.

Czuję się winna. Oddzwaniem do niej natychmiast. Długo nie odbiera. Wiem, że chce mnie ukarać.

— Kochanie! Źle mnie zrozumiałaś! Oczywiście, że będę! To było nieporozumienie! — tłumaczę jej.

Jest naburmuszona.

— Dlaczego nie traktujesz tego poważnie? Ja zmieniam zawód! Teraz będę śpiewać! Chcę się sprawdzić w nowej roli! — wyrzuca z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

Grubo po północy wysłałam SMS-a do mojej siostry: BŁAGAM — KONCERT KAROLINY — REWAŁ — SOBOTA. JEDŹMY TAM, BO MNIE ZABIJE!

## Środa

O siódmej, gdy miotam się po kuchni, usiłując przygotować śniadanie, dzwoni Tomek.

— Cześć, kochana! Zośka kazała mi zadzwonić i zanotować szczegóły. Oczywiście, że jedziemy, przecież pewnie i tak nikt się nie zjawi, to my chociaż będziemy klaskać i gwizdać! — j a k zwykle rozśmiesza mnie do łez.

Zastanawiam się, czy nie zaprosić na koncert Bogdana... to byłby rewanż za świetną zabawę nad Zalewem Zegrzyńskim.

O dziewiątej, już w pracy, nieśmiało wybieram jego numer.

— Śpisz? — pytam stremowana.

— Żartujesz? Robię zakupy w prawie pustym supermarkecie. Nikt mnie nie potrąca. Nikt mnie nie pogania. Mogę wybrać sobie kasjerkę, do której podejść, a wszystkie z nudów robią sobie manicure — dowcipkuje.

— Chyba obgryzają paznokcie? Mam dla ciebie niespodziankę, ale... nie wiem, czy miłą. W razie czego mów od razu, że jest do kitu. Ja się nie obrażę!

— Ależ ty jesteś tajemnicza! Wreszcie jakaś kobieta mnie intryguje! Mów!

— No... moja córka zaczyna karierę jako piosenkarka i zaprasza nas na koncert...

— Nas? — dziwi się Bogdan...

— Mnie, moją siostrę i jej męża... no i naszych znajomych, ale pewnie nie jesteś zainteresowany.

— Dlaczego nie? A jaka to muzyka?

— Muzyka? Chyba pop... — wzdycham.

— Czuję się zaszczycony!

— Jest jeden problem. Ten koncert będzie nad morzem w Rewalu w najbliższą sobotę...

Bogdan milczy chwilę.

— A jak ty to widzisz? To będzie dla ciebie dość męczące. Ja teraz nie pracuję i mogę odespać, ale ty, tyle godzin w samochodzie... — zastanawia się.

— To moja córka! Byłaby wściekła, gdybym nie przyjechała! Obraziłaby się na mnie śmiertelnie! Jest w ciąży, nie chcę jej deenerwować — wyjaśniam.

— Hanka coś wspominała. Odważna dziewczyna! Wiesz co, nie widzę przeszkód, ale muszę w sobotę rano wpaść jeszcze do szpitala...

— No jasne! Pojedziemy moim samochodem! — zapalam się.

— Mam prawo jazdy. Będę twoim zmiennikiem — proponuje.

— Karolina mówiła, że zarezerwuje nam pokoje w hotelu nad samym morzem, a amfiteatr jest dwa kroki dalej.

— Czyli poznam całą twoją rodzinę?

— Prawie całą. Masz tremę? — śmieję się.

— Straszna. Będę tam jako kto? — pyta pół żartem.

— Jako kolega.

— Jako kolega? Bliski chociaż?

— No nawet dość bliski — śmieję się.

Rozmowa z nim poprawia mi humor na resztę dnia. Nie wyprowadza mnie z równowagi nawet Damian, który krytykuje wszystkie moje pomysły.

— Do jasnej cholery! Tu się nie da pracować! — wrzeszczy.

— To się zwolnij! — j e s t e m niezwykle spokojna.

Wieczorem wpada do mnie Zosia.

— Musimy omówić tę wyprawę! — stwierdza i zabiera się do przygotowywania kolacji.

Siadamy sobie na moim wielkim balkonie, wśród cudownych roślin pielęgnowanych troskliwie, niestety, nie moją ręką.

— Jedz! Schudłaś trochę! — moja siostra podsuwa mi tacę z kanapkami.

— Muszę coś zrobić, żeby opalenizna mi nie zbladła. Może solarium? — zastanawiam się.

— Solarium odpada. To zabójstwo dla skóry! — Zośka jest zawsze radykalna w swoich sądach.

Opowiadam jej o Kamie.

— Aktorka? Żartujesz? Nie wiedziałam, że artyści teraz tak cienko pręda! — moja siostra sięga po kolejną kanapkę.

— Cienko? Szkoda, że nie widziałaś mebli w jej mieszkaniu! Same antyki!

— Tomek powiedział, że zabierasz Bogdana na koncert w sobotę. Czuję coś, że ci na nim zależy... — Zośka jest wścibska.

— Bzdura. To znajomy i tyle.

— Ciekawe, w którą stronę ta znajomość będzie dryfować? — śmieje się.

— W burą! Chcesz jeszcze herbaty?

Czwartek

W nocy nie mogę spać. Jest duszno. Koszmarne upały. Nie piję nic gorącego, bo wtedy okropnie się pocę. Biorę prysznic kilka razy dziennie.

W pracy nie chce mi się myśleć. Po południu mam gościa. Wpada do mnie Marek z bukietem kwiatów.

— Jeszcze nie podziękowałem za pomoc! Jesteś wspaniała — wręcza mi śliczne róże.

— Poznałam twoją Kasię. Jest bardzo atrakcyjna. Nie wiem, co ona w tobie widzi! — częstuję go sokiem.

— Ja też nie wiem. Mówi, że jestem przeciwieństwem jej męża. Mam nadzieję, że to komplement! — wzdycha.

— Napewno.

— Słuchaj, Karolina dzwoniła i zapraszała mnie na koncert, w sobotę, nad morzem, strasznie daleko, kurczę, Kasia chcejechać do Kazimierza. No i co ja mam zrobić? — ma nieszczęśliwą minę.

— A one w ogóle się znają? Nasza córka wie o niej wszystko?

— Coś wie. Słuchaj, czy ona bardzo się obrazi, jeżeli nie będę na tym koncercie? — Marek drapie się za uchem.

— Twoja córka zaczyna nowy etap w swoim życiu, a ciebie przy tym nie będzie? — unoszę brwi.

— Daj spokój! Odkąd pracujesz w tej pseudogazetce stałaś

się cyniczna! Wszystko wyolbrzymiasz! Po prostu przyjadę na inny koncert! — broni się mój były mąż.

— Jasne — jestem trochę obrażona i patrzę wymownie na zegarek.

Marek kręci się po moim gabinecie. Z zainteresowaniem ogląda nowoczesny komputer.

— Ładnie tu masz! Skórzane fotele i kanapa!

— Nie spieszy ci się gdzieś? — unoszę brwi.

Słyszę, jak Marysia szeleści pod drzwiami. Tradycyjnie podsłuchuje.

— Jakoś nie. To może ty wytłumaczyłabyś mnie jakoś przed Karoliną? — patrzy na mnie niepewnie.

— Nie licz na to! Jesteś bezczelny po prostu! Boisz się porozmawiać z własną córką! — wściekam się.

— Tak tylko pytam. Nie denerwuj się — uspokaja mnie.

Po jego wyjściu z trudem dochodzę do siebie. Czy on wyobraża sobie, że będę go wyręczać w każdej niewygodnej sytuacji!

Marysia nieśmiało wchodzi do mojego gabinetu i patrzy pytającym wzrokiem. Wytartą kurtkę džinsową ozdobiła kilkoma broszkami w kształcie motyli i ważek. Różowo-czarne getry opinają jej łydki. Dzięki czarnym szpilkom niebezpiecznie kołysze się na boki. Kolczyki w kształcie futbolowych piłek sięgają jej do ramion.

— Czy wszyscy mężczyźni są tak żałośni? I tacy tchórzliwi? — wzdycham.

— O nie! Nie wszyscy! Ja znam przynajmniej jednego, który na pewno tchórzem nie jest! — niezdarnym ruchem zabiera szklanki po soku.

Domyślam się, że ma na myśli Tymona. W tym tygodniu wstąpił się w naszej redakcji, wcielając się w rolę pracownika gęsiej fermy na Pomorzu. Odkrył, że gęsi trzymane są w nieludzkich warunkach. Stworzył doskonały reportaż, który spowodował lawinę listów od oburzonych czytelników.

— Masz na myśli gęsi? — śmieję się.

— On jest niesamowity! Poprowadzi nowy cykl: A jak Afera! Zazdroszczę mu, że jest taki zdolny! — Marysia wzdycha głęboko.

Przyjeżdżam do Hanki późnym popołudniem. Na szczęście jej



sala jest wywietrzona. Rozmawiamy swobodnie, bo druga pacjentka zeszła do kiosku.

— Dlaczego ja muszę siedzieć tutaj tak długo! — moja przyjaciółka wznosi oczy do nieba. — Ciągłe boją się wypuścić mnie do domu! Pani jest jeszcze za słaba, bla, bla, bla...

— Ale Bogdan przecież zająłby się tobą! Zazdroszczę ci takiego brata! — uśmiecham się.

— Nie mogę go tak absorbować! On ma swoje życie! Swoje plany! Wynajmę jakąś kobietę do zakupów i sprzątanania, i w parę tygodni dojdę do siebie! — Hanka wzrusza ramionami.

Opowiadam jej o sukcesach Tymona i nieśmiało wspominam o koncercie Karoliny.

— Zaprosiłaś mojego brata? Dlaczego akurat jego? — patrzy na mnie uważnie.

— Byliśmy parę razy na kawie. Sympatycznie nam się rozmawiało, no i... — j a k a m się.

— Muszę z nim pogadać. Niech on cię zostawi w spokoju! Zupełnie nie nadaje się do stałych związków! Do żadnych związków! Ostrzegałam cię!

— Przecież my się kumplujemy. To wszystko! Nie wiem, co chodzi ci po głowie! Ja niedługo zostanę babcią i myślisz, że on patrzy na mnie inaczej niż na bliską znajomą?

— Mój brat wciąż o tobie mówi. Bardzo się polubiliście, tak? — Hanka unosi brwi.

— Chyba nie jesteś zazdrosna? — próbuję żartować.

— Ja? Przeżyłam już kilkanaście jego zauroczeń! Nigdy nie trwały długo!

Nie jest mi przyjemnie, gdy to słyszę. Wraca sąsiadka Hanki. Ledwo chodzi, opiera się o ścianę. Twarz ma bladą, dźwiga reklamówkę wypełnioną świeżą prasą.

— Dzień dobry! Szkoda, że pani nie poczekała! Kupiłabym te gazety! — witam ją.

— Dzień dobry! Kiosk jest tu na dole i mamy windę. Jakoś powolutku... powolutku sobie poradziłam — siada na łóżku i odycha głęboko.

— Wiktoria jest jak narkomanka! Uzależniona od gazet! Pójdzie do kiosku nawet na czworakach! — Hanka puka się w czoło.

— Lepszy taki nałóg niż papierosy lub alkohol! — Wiktoria z zadowoloną miną wyciąga z reklamówki kilka babskich miesięczników i tygodników.

— Ona doskonale wie, w jaki dzień wychodzi dana gazeta i jaki tym razem dołączyli do niej gadzecik dla czytelników. Prawda, Wiktoria? — śmieje się moja przyjaciółka.

— Prawda. „Gala” wychodzi w poniedziałki, „Viva” i „Życie na gorąco” w czwartki, „Na żywo” w piątki. Pod koniec miesiąca pojawiają się „Pani”, „Glamour” i „Olivia”, a w połowie miesiąca „Twój Styl”, „Elle” i „Marie Claire” — wylicza Wiktoria.

Jestem pod wrażeniem.

— I najdziwniejsze jest to, że ona chomikuje te gazety! — Hanka wrzusa ramionami.

— Dlaczego mam wyrzucać? Przecież kosztowały niemało, chętnie wracam do różnych artykułów, a niektóre wywiady czytuję kilka razy!

— Gdzie pani to wszystko r z y m a ? — j e s t e m zdumiona.

— W tapczanie. Czasem robię remanent i trochę egzemplarzy ładuje w koszu. Często dodają do gazet fajne rzeczy: filmy na DVD, płyty, a nawet aparaty fotograficzne!

— Jednorazowe! Straszny szajs! — Hanka jest zdegustowana. Odprowadza mnie do windy.

— Ciekawa osoba, kim ona jest? — pytam.

— Pracuje w galerii. Ma męża i ośmioletniego syna. Sympatyczna, ale trochę dziwna. Uważaj na Bogdana. Proszę cię! — moja przyjaciółka chwyta mnie za rękę.

— Opowiadał mi o swoim dzieciństwie i o problemach z narkotykami...

— Dobrze, że o tym wspomniał. To było dawno temu, ale możesz zorientować się, kim jest i przez co przeszedł. Przez co my wszyscy przeszliśmy... dzięki niemu. To skomplikowany facet... jedna z jego narzeczonych załiła mi się, że było cudownie i nic nie mąciło ich szczęścia, a on mimo to spakował się i zniknął bez słowa. Odezwał się dopiero po dwóch tygodniach. On ma problemy ze sobą. Nie szanuje uczuć innych, taki wieczny Piotruś Pan. Nie daj się nabrać i nie przywiązuj się do niego! — ostrzega mnie.

Oczywiście! Nie dam się nabrać!

W samo południe zaczynają się telefony od Karoliny. Nie mogę normalnie pracować. Moja córka okropnie boi się swojego pierwszego w życiu koncertu, a ja wpadam w panikę, że odbije się to na jej zdrowiu.

— Jesteśmy już na miejscu, mamuś! Hotel mamy luksusowy! W Międzyzdrojach! Z widokiem na morze! Dla was zarezerwowałam miejsca w pensjonacie w Rewalu! Ile dokładnie osób przewożysz? — dopytuje się.

— No... ja, Zosia, Tomek i jeszcze jeden znajomy.

— Czyj znajomy? — krzyczy Karolina do słuchawki.

— Mój znajomy! Brat mojej przyjaciółki! — tłumaczę.

— O! Coś się kroi! Czy ja o czymś nie wiem?

— Nic się nie kroi! — zapewniam ją.

Przeraża mnie świadomość, że w sobotę muszę wstać o piątej rano. Bogdan wysłał mi SMS-a, że nie musi być u Hanki w weekend, bo wpadną jej dawni przyjaciele.

Jem lunch z Zośką, która jest bardzo podekscytowana.

— Szkoda, że to tylko dwa dni! Ale zawsze coś! Chyba ten koncert nie będzie za długi, co? — zagaduje przy deserze.

— Myślałam, że jesteś fanką Karoliny — śmieję się.

— Pyszne tiramisu — moja siostra oblizuje łyżkę.

— Nie wiem, po co ona bierze się do śpiewania, skoro śpiewać nie umie. Ale trudno. Ciekawa jestem tej kozy, górali i Cyganów.

— Poznasz Bogdana, ale błagam cię, nie kpij sobie z niego! Nie docinaj mu! On ma poczucie humoru, ale może się wystraszyć! — wzdycham.

— Jeżeli mu na tobie zależy, to nie wystraszy go ani twoja zwariowana siostra, ani jeszcze bardziej zwariowana córka! — przekomarza się ze mną.

Tak naprawdę nie jest mi zupełnie do śmiechu. Znam Zośkę i wiem, że pomimo obietnic może chlapać coś, co niekoniecznie rozśmieszy Bogdana.

— Za bardzo się wszystkim przejmujesz! Będę miła! Obiecuję! — zapewnia mnie.

Wracam do pracy ze skwaszoną miną. Po co ciągnę Bogdana na ten wyjazd? Nie dosyć, że bardzo męczący, to jeszcze w towarzystwie, które go wystraszy! Mam tysiące wątpliwości. Chcę odwołać wyjazd, ale tymczasem dzwoni Karolina.

— Mamuś! Koza uciekła! Nikt nie wie, gdzie jest! Może ktoś ją ukradł! — żali się.

— To wystąpisz bez kozy! Nic się nie stanie! — pocieszam ją.

— Koza to element promocji! Nic nie rozumiesz! — zaczyna się denerwować.

— Spokojnie. Zamiast kozy może być kaczka albo... — krztuszę się ze śmiechu.

— Ja kończę tę rozmowę, skoro dla ciebie to jest zabawne! — denerwuje się.

— Ale ja się przejęłam! Tylko ty nie martw się takimi bzdurami. Nie opalaj się, broń Boże! Nie w tym stanie! — proszę ją.

Obawiam się, że te wszystkie stresy to jednak zbyt dużo dla Karoliny. Dlaczego ona nie chodzi do szkoły rodzenia? Po kilkunastu minutach dzwonię na jej komórkę.

— Co jest? — pyta niecierpliwie.

— Dlaczego nie chodzisz do szkoły rodzenia? — dopytuję się.

— Nie mówiłam ci? Wybrałam cesarkę na życzenie. Mogę ustalić sobie termin. Rewelacja!

— To jest operacja! Zastanów się!

— Już się zastanowiłam! Nie zawracaj mi głowy! Boję się bólu i nie chcę przechodzić przez taki horror! Mamy próbę i muszę skończyć! Pa!

No tak. Koniec dyskusji. Czasem krew mnie zalewa, gdy z nią rozmawiam. Nie mogę nawet przedstawić swoich racji, bo ona zupełnie nie jest nimi zainteresowana. Zbiera mi się na płacz.

Wpadam na zebranie redakcyjne z wściekłą miną. Krytykuję wszystkie teksty. Straszę zwolnieniami. Jestem potworem. Nawet Damian schodzi mi z drogi.

Błyskawicznie poprawia mi się humor, gdy okazuje się, że Bogdan czeka na mnie przed budynkiem redakcji.

— Skąd wiedziałeś? — uśmiecham się.

— Podpytałem twoją sekretarkę, o której kończysz. Wszystkie mi wyśpiewała. Także to, że humor ci dzisiaj nie dopisuje.

— Zabiję ją! Zwolnię! — żartuję.

— Zjedźmy razem kolację! Jest taki ciepły wieczór — proponuje.

Widzę, że nie golił się od dwóch dni. Sportowe ubranie odejmuje mu lat. Próbuję spojrzeć na niego oczami mojej siostry, a potem mojej córki...

— Czemu tak mi się przyglądasz? — zastanawia się, gdy idziemy do samochodu.

— Nie. Zdaje ci się. Byłam wczoraj u Hanki, chyba nie jest z nią tak źle...

— Mam nadzieję, że nie. Twierdzi, że zrobię ci krzywdę. Nieświadomie. Jej zdaniem po prostu tak mam, ale może jednak zaryzykujesz i będziesz kontynuować znajomość ze mną? — pyta z uśmiechem, od którego topnieje mi serce.

— Zaryzykuję!

## Sobota

O piątej rano mam ochotę roztrzaskać budzik o ścianę. Słyszę intensywne gruchanie gołębi na balkonie sąsiada. Mam nadzieję, że prysznic postawi mnie na nogi. Nie stawia.

Dwadzieścia minut później odzywa się domofon.

— Melduję się. Czekam na dole! — to Bogdan.

— Mam pyszne kanapki i red bulle — uśmiecha się do mnie, gdy zaspana schodzę do garażu.

— Terazjedziemy do Białołęki. Poznasz moją siostrę i jej męża — ziewam dyskretnie.

— Nie mogę się doczekać — odpowiada.

Zastanawiam się, czy kpi, czy udaje, czy też naprawdę interesuje go moja rodzina?

Na ulicach mały ruch. Dzień dopiero się budzi.

— Czemu nic nie mówisz? — Bogdan próbuje mnie rozśmieszać.

— Jak jestem śpiąca, to mam ochotę zabić: albo kogoś, albo siebie! — warczę.

— Zabij mnie! To nic nie boli! — robi taką minę, że parskam śmiechem.

Rozmyślam nad tym, czy nie wyglądam grubo w jasnych dżinsach i czy widać, że jestem o kilka lat starsza od Bogdana.

Zośka wita mnie przy bramie swojego domu. Ma czapkę z daszkiem, koszulkę Xeni z napisem UNIWERSYTET WARSZAWSKI i za duże szorty w kratkę.

— A kogo my tu mamy? — ze sztucznym uśmiechem wita Bogdana.

— Mam tu mojego przyjaciela! — piorunuję ją wzrokiem.

— Przyjaciele Zuzanny są moimi przyjaciółmi! — odpowiada serdecznie.

Tomek jest zaspany. Wystroił się w gigantyczny T-shirt w rozmiarze XXXL z napisem EASY RIDER i w wytarte dżinsy. Natychmiast przechodzi z Bogdanem na „ty”.

— Zuzia dużo o tobie opowiadała! — puszcza do niego oko.

— Naprawdę? Nie przypominam sobie! — wzdycham.

— Mam nadzieję, że powiedziała chociaż jedną miłą rzecz...

— brat Hanki robi smutną minę.

— Same miłe rzeczy! — Tomek zapewnia go z całego serca.

Ruszamy. Wszyscy mamy prawo jazdy, więc będziemy się zmieniać przy kierownicy mojego samochodu.

— Tu jest termos z kawą, a tu z herbatą. Oddzielnie mam cukier i śmietankę w proszku oraz słodzik — Zosia sadowi się na tylnym siedzeniu.

— My mamy kanapki i red bulle — chwali się Bogdan.

— My? — moja siostra unosi brwi.

Mam ochotę ją zabić.

Tomek podśpiewuje i zasypuje mnie dowcipnymi opowieściami.

— Xenia leci we wtorek do Londynu i już szalejemy z niepokojem. Te wielkie metropolie są niebezpieczne — wzdycha moja siostra.

— Kto szaleje, ten szaleje! — j e j mąż częstuje nas miętówkami.

— Ja wiem, że ona jest dorosła. Teoretycznie rzecz biorąc, to da sobie radę, ale nikt mi nie zabroni się niepokoić. To moje jedyne dziecko! — podkreśla Zośka.

— Masz dzieci? — Tomek trąca Bogdana.

Robię się czerwona. Chyba przesadził z tą bezceremonialnością!

— Nic o tym nie wiem — słyszę spokojną odpowiedź.

— Szczęściarz z ciebie! — oświadcza Tomek. — Moja żona wciąż wyobraża sobie przeróżne klęski żywiołowe, które mogą dotknąć jej dziecko.

— Nic nie rozumiesz. Świat się robi coraz bardziej niebezpieczny. Przypomnij sobie, jak szalałeś z niepokoju, gdy Xenia złamała palec u nogi na koloniach — Zośka jest zirytowana.

— Ale są chyba jakieś zalety rodzicielstwa? — pyta uprzejmie Bogdan.

— Nie ma! — przekornie wruszam ramionami.

— O! Kochana! Chyba przesadziłaś! Karolina robi karierę jak Madonna albo Britney Spears! Zafunduje nam wakacje na Majorce i wtedy docenisz zalety rodzicielstwa — przekonuje mnie Tomek.

— Sama mogę sobie fundnąć takie wakacje! A dobrze wiesz, że po urodzeniu dziecka nic już nie jest takie samo — odpowiadam.

— Dobrze wiem! Czym się zajmujesz? — mąż Zośki trąca Bogdana.

— Skończyłem archeologię. Byłem nurkiem, fotografem...

— Zawsze chciałem nauczyć się nurkowania! — zamyśla się Tomek.

— Najpierw naucz się pływać! — przerywa mu moja siostra.

— Prawie umiem. Nie moja wina, że przy moich gabarytach idę na dno! Natury się nie oszuka!

Prowadzę samochód, więc koncentruję się głównie na jeździe. Zastanawiam się, czy Bogdan dobrze się czuje w naszym towarzystwie...

— Zaraz się zmieniamy! — przypomina Tomek. — Strasznie tu z tyłu ciasno, a Zośka śpi i traktuje mnie jak poduszkę!

— Nie śpię! — moja siostra ziewa. — Zarwaliśmy pół nocy, bo mój mąż licytował przedwojenny dzbanuszek w Internecie.

— Sprzed której wojny? — dopytuje się Bogdan.

— Chyba sprzed drugiej, tak? — Zośka wierci się bez przerwy. — Wcześniej udało się nam kupić cudną figurkę z porcelany! XIX wiek!

Nikt nie przegada mojej siostry.

Robimy postój na stacji benzynowej. Bogdan dzwoni do Hanki. Widzę, że twarz mu się rozjaśnia.

— Wszystko w porządku. Wpadło do niej kilka osób. Mam nadzieję, że jej nie zmęczą. Życzyła nam dobrej zabawy.

Patrzy na mnie przez chwilę.

— Dziękuję ci za to zaproszenie!

— Jeszcze nie dziękuj! Nie wiem, czy koncert ci się spodoba!  
— wzruszam ramionami.

— To nie ma znaczenia. Muszę mieć jakąś odskocznię od szpitala, bo zwariuję, ale nie myśl, że traktuję cię w tak interesowny sposób, po prostu podobasz mi się.

— Hanka mnie ostrzegą! — grozę mu palcem.

— Kupiliśmy wodę mineralną! Z gazem i bez! — Zośka dopada nas na parkingu.

W samochodzie zamieniamy się miejscami. Teraz Tomek prowadzi. Ja i Bogdan siedzimy z tyłu.

— Za szybko jedziesz! Weź się nie ścigaj! Uważaj, rondo! Uważaj na tego tira! — moja siostra jest niemożliwa.

— Mała? Bo coś ci zrobię! — Tomek robi groźną minę. — Bogdana też będziesz tak strofować?

— Mnie to nie przeszkadza. Moja siostra robi to samo.

— A mi przeszkadza! Nie ma nic gorszego niż baba za kierownicą! — oświadcza Tomek, co powoduje atak wściekłości u jego żony.

Słuchamy wiadomości radiowych. Na Pomorzu przewidywane są przelotne opady deszczu.

— Karolina będzie wściekła, jak zaczniesz lać! — wzdycham.

— Publiczność jej poucieka! Będą mieli doskonały pretekst, żeby zwać! — stwierdza Tomek.

— Bez przesady! Wiem, że przygotowała profesjonalny koncert — bronię jej gorąco.

— Jestem bardzo ciekawy — zapewnia mnie Bogdan.

— Karolina zawsze miała zadatki na artystkę. Już w przedszkolu odchudzała się na przykład. Przeżuwała jedzenie, a potem wrzucała pod stół! Pamiętasz? — Zosia śmieje się głośno.

— Ciekawe, czy to jej małństwo też będzie takie zdolne? — zastanawiam się.



— Chłopiec czy dziewczynka? — pyta Bogdan.

— Jeszcze nie wiadomo. Tak się ułożyło, że trudno coś stwierdzić na sto procent.

Tomek prowadzi bardzo pewnie. Robi się sennie. Nawet nie wiem, kiedy zacznę drzemać z głową opartą o ramię Bogdana. Gdy się budzę po godzinie, przeproszam go za to speszona.

— Nic się nie stało. Wyglądałaś tak słodko — śmieje się.

— I chrapałaś jak słodki niedźwiadek — stwierdza złośliwie Zośka.

— Nie. Nie. Tak źle nie było — pociesza mnie Bogdan.

Dyskretnie poprawiam fryzurę i makijaż. Na pewno spadło ciśnienie i dlatego zrobiłam się tak senna.

Dzwoni moja komórka. Słyszę płaczący głos Marysi.

— Ja przeproszam! Ja nie wiem, co robić! — j ę c z y .

— Co się stało? Jestem w drodze nad morze! Co się dzieje? — zaczynam się denerwować.

— Tymon gdzieś zniknął! Nie ma go! Komórka nie odpowiada!

— Może Damian wysłał go z jakąś tajną misją! Zadzwoni do niego! — wzdycham.

— Ale on także nie odbiera! Tymon miał jechać do jakiejś wytwórni czy fabryki galaretek i namierzyć nieuczciwego producenta...

— No to namierza!

— Jeżeli mu coś zrobili, to ja tego nie przeżyję! — moja sekretarka zaczyna płakać.

Obiecuję jej, że jak się czegoś dowiem, to oddzwonię. Udaje mi się złapać Damiana.

— Panikara i tyle! Tymon ma zadanie i musi je wykonać! Nie może teraz odbierać telefonu! — wrzeszczy do słuchawki mój zastępca.

— Jesteś pewien, że nic mu nie grozi?

Umawiamy się, że da znać, jak Tymon się odezwie.

— Co się dzieje? — Zośka oczywiście jest potwornie wścibska.

— A jak Afera. Nowy cykl w naszej gazecie — wzruszam ramionami.

— Afery są modne — śmieje się Tomek.

Zatrzymujemy się na obiad w przydrożnej restauracji. Świeci pustkami. Mój kolega, który pisywał recenzje kulinarne, twierdził, że jak w barze lub restauracji nie ma zbyt wielu gości, to należy uciekać z niej jak najszybciej. Nie mamy jednak wyjścia.

— Jemy tutaj? — waham się.

— Raz kochieś mi e r ć! — Tomek jest jak najbardziej za. Wcześniej pochłonał prawie wszystkie nasze kanapki.

— Nie bój się! Zamówimy coś lekkostrawnego! — Zośka wybiera stolik.

Zszarzały obrus, zwiędły kwiatek w wazonie i trupek muchy obok serwetki. Wszystko to wygląda przygnębiająco. Podchodzi do nas jedna z trzech kelnerek, które przyglądają nam się z niezwykłym zainteresowaniem.

— Co podać? — pyta ze znudzoną miną.

— A co jest? — Zośka unosi brwi.

— Żurek, mielony, pomidorowa...

Zamawiamy żurek i kurczaka. Zupa okazuje się ohydną, zabarwioną marchewką breją.

— Kiepski był pomysł z tą restauracją! — wzdycham.

— Nie martw się. Mam leki na biegunkę! — pociesza mnie moja siostra konspiracyjnym szeptem.

Jednak ani Tomek, ani Bogdan nie są zrażeni smakiem zupy i chętnie sięgają po kurczaka.

Idę z Zośką do toalety.

— Co o nim myślisz? — pytam, poprawiając makijaż rzęs.

— Sympatyczny. Tajemniczy jakiś. Nawet przystojny. Daje minimalne sygnały, że mu się podobasz! — stwierdza, wycierając nos w papierowy ręcznik.

— Minimalne? — jestem oburzona.

— No a co? Prawi ci ciągle komplementy?

— Ciągle to nie. Od czasu do czasu napomknie coś miłego.

— Nie angażuj się tylko za mocno, bo będzie ci przykro, jak odfrunie! — śmieje się.

— Daj spokój! Nie jestem nastolatką! Co będzie, to będzie!

Teraz prowadzi Bogdan. Obserwuję go i podoba mi się wyraz skupienia na jego twarzy.

— Szkoda, że jedziemy na tak krótko! — wrywa mi się.  
— No! Moglibyśmy być fanami Karoliny i ciągnąć za nią po całej Polsce! — śmieje się Tomek.

— Ciekawe, czy ktoś w ogóle kupi tę płytę! — moja siostra wzrusza ramionami.

Widzę, że gryzie ją trochę to, że nie jej jedynaczka robi karierę.

— Może pośpiewamy? Nudno się robi — proponuje Tomek.

Błagam go z całego serca, aby porzucił ten pomysł, chociaż wiem, że ma bogaty repertuar.

— Daj spokój! Bogdan nie będzie mógł się skupić! — proszę go.

— I tak nie mogę się skoncentrować!

— Dlaczego? — jestem zdumiona.

— Bo siedzisz obok mnie! — wzdycha.

— To wszystko jasne! — Zośka tłumii ziewnięcie.

Późnym popołudniem dojeżdżamy na miejsce. Marzę o prysznicu i chociaż godzinie drzemki. Przedzieramy się przez tłumy turystów z dziećmi, psami, lodami... Oszałamia mnie liczba budek z małą gastronomią, z pocztówkami, ręcznikami plażowymi...

— Te tłumy będą na koncercie? — zastanawia się Zosia.

— Na pewno koloniści z Niechorza, Trzęsacza... — śmieje się Tomek.

Hotelik, w którym Karolina zarezerwowała nam pokoje, rzeczywiście znajduje się nad samym morzem. Jest potwornie drogi i niemalże pusty. Przy recepcji awanturuje się tylko kilku Niemców.

— Zjadłbym rybkę. Tu jest tyle smażalni! — wzdycha mąż mojej siostry.

— Wszystko w swoim czasie! Dobrze, że spędzimy tu tylko jedną noc! Przecież bez trudu znaleźlibyśmy jakieś ładne pokoje za połowę tej kwoty! — Zosia jak zwykle jest pragmatyczna.

Nasze dwie Jedyнки" i jedna „dwójka" znajdują się na tym samym piętrze. Jąkający się, wychudzony recepcjonista informuje nas, że w cenie pokoju jest śniadanie serwowane w formie szwedzkiego stołu od siódmej do dziewiątej rano. Z dumą dodaje, że w pokojach są eleganckie łazienki, telewizja satelitarna, a na dole — bezpłatna dla gości hotelowych — kawiarenka internetowa.

Umawiamy się za godzinę przy recepcji. Chcemy pospacerować po plaży, obejrzeć Rewal i iść na rybę. Natychmiast dzwonię do Karoliny.

— Już jesteśmy, kochanie! Padam z nóg! — wzdycham.

— Za dwie godziny przyjeżdżam z całą ekipą! Odbierz bilety w recepcji hotelu! Po koncercie zadzwoń, bo chcę uczcić to wydarzenie! — emocjonuje się.

— Masz tremę? — pytam niepewnie.

— Gdzie tam! Ja im pokażę! Takie jest moje nastawienie. Mój menedżer Brolik mówi, że takiej artystki jeszcze nie widział! — odpowiada mi dumnie.

— Na pewno nie!

Biorę prysznic. Wypakowuję ciuchy. Nie wiem, po co wzięłam aż trzy sukienki, dwie pary dżinsów, cztery bluzki i cztery pary butów. Na półtora dnia?

Jak mam się ubrać na ten koncert? Będzie pod gołym niebem, pogoda jak zwykle nad morzem niepewna, komary, raz słońce, raz deszcz. Wybieram wersję sportową z odrobiną dyskretnej elegancji.

Dzwonię do Marysi.

— Wszystko gra?

— No... Chyba tak, ale Tymona jeszcze nie ma. Dzwoniłam... czekałam z obiadem, a teraz czekam z kolacją — słyszę jej smutny głos.

— Dziewczyno! Zajmij się sobą! Idź do koleżanki! Do fryzjera! Na nim świat się nie kończy! — buntuję ją.

— Wiem, ale jak przyjdzie, a mnie nie będzie, to zrobi się zły, zgłodu — j e j logika mnie poraża.

Schodzę do recepcji. Bogdan już czeka. Zamyślony w skórzanym fotelu przegląda gazetę.

— Pomysł z rybą jest fantastyczny! — wita mnie. — Zmiana klimatu i od razu apetyt rośnie!

Zosia schodzi do nas z kwaśną miną.

— Tomek padł na łóżko i śpi! Powiedziałam, że mnie kompromituje! Że się z nim rozwiodę! A on na to „trudno” i chrapie dalej! Co mam robić!

— Daj mu pół godziny, a potem wylej szklanek zimnej wody na twarz!

— Okrutna jesteś! — Bogdan potrząsa głową.

— Chodźmy na spacer, a potem wrócimy po niego! Wizja so-  
czystej rybki na pewno go obudzi! — proponuję.

— Wy idźcie! Ja jeszcze muszę zadzwonić do Xeny — Zośka  
już znika w windzie.

Ciężko spaceruje nam się po Rewalu, tłumy zalewają mikro-  
skopijne uliczki. Są tu przeróżne atrakcje dla znudzonych tury-  
stów: gokardy, automaty, piwo, potrawy z grilla, gofry, pamiątki  
z muszelek...

Z radością odkrywam kolorowy plakat z twarzą Karoliny na  
śłupie ogłoszeniowym: MISS-CAROLYNNA-PLAŻOWO — KONCERT  
PROMOCYJNY — POKAZ SZTUCZNYCH OGNI!

— Zrobię ci zdjęcie! No! Uśmiech! — Bogdan uwiecznia mnie  
na tle plakatu.

— Kiedyś byłem tu na obozie studenckim — wspomina.

Schodzimy stromymi schodkami na plażę. Strasznie wieje, ale  
jeszcze sporo osób kontempluje zachodzące leniwie słońce.

— Ładnie tu! Żeby jeszcze morze było czyste i ciepłutkie!

— Taka jesteś ciepłolubna? — Bogdan obejmuje mnie ramie-  
niem.

Robi mi się gorąco.

— Mam nadzieję, że Zosia i Tomek nie zamęczyli cię. Są dość  
specyficzni — wzdycham.

— Są rewelacyjni! Wydaje mi się, że uzupełniają się w każ-  
dym calu...

— Może masz rację. Niedługo będą obchodzili dwudziestą  
piątą rocznicę ślubu.

— Kurczę, czy ja znajdę kiedyś kobietę, z którą dobiję do  
takiej rocznicy. To niesamowite! — Bogdan kręci głową.

— Kłóć się, wrzeszczą na siebie i czule godzą — śmieje się.

— O wilku mowa...

Moja siostra macha do nas i pędzi po piasku.

— Wołam, wołam i nic nie słyszycie! Tacy zajęci sobą! — nie  
przestaje być złośliwa.

— Rybka! Pora na rybkę! — Tomek daje nam znaki. — Mija-  
liśmy kilka smażalni, ale tylko w jednej była kolejka! To coś ozna-  
cza!

Po kolacji ruszamy powoli w stronę amfiteatru. Rzeczywiście jest sporo kolonistów i znudzonych wczasowiczów.

— Jest telewizja! — trąca mnie Zośka.

— Boże! Żeby nie było jakiegś wpadki! Denerwuję się.

— Nie martw się. Przecież sztab ludzi dba, żeby wszystko było w porządku — pociesza mnie Bogdan.

Proponuje, że sfilmuje moją kamerą koncert, bo ja nie jestem w stanie. Ręce mi się trzęsą!

Mnóstwo ludzi uwija się przy scenie. Wszyscy mają żółte koszulki i żółte czapeczki z napisem [www.misscarolynna.pl](http://www.misscarolynna.pl).

— Ciekawe, czy będzie support? — Tomek udaje bywalca koncertów.

Modłę się, żeby nie zaczęło padać, żeby Karolina nie zaczęła rodzić, żeby Bogdan znowu mnie nie objął, bo... no nie wiem, jak to wszystko się skończy!

Nagły łomot z głośników powoduje u mnie palpacje serca. Wreszcie jest! Moja córeczka wygląda niesamowicie! Na głowie gigantyczny wianek z polnych kwiatów, blond warkocze do pasa, biała koszula podwiązana pod biustem i odsłonięty brzuch z namalowanym napisem MISS-CAROLYNNA-PLAŻOWO stylizowanym na graffiti! Do tego cygańska spódnica, mocno rozcięta z boku i czerwone, lakierowane kozaki, kończące się w połowie ud, na niesamowicie ostrej szpilce!

Towarzyszy jej czterech tancerzy. Są ubrani jedynie w białe, szerokie spodnie i ciasne czapeczki.

Snop światła oślepia publiczność.

— Pomyśl! Kim ty jesteś człowieku, za czym gonisz?

Pomyśl! Może wreszcie chociaż jedną łzę uronisz?

Pomyśl! Ludzie się dla kasy zabijają! Co ty wolisz?

Pomyśl! Zanim krzywdę jeszcze komuś zrobisz!

Pomyśl!

Jest ulica, nowa bryka i już koleś nam nie fika

Leży sobie całkiem grzecznie na chodniku brudnych płytach

Pomyśl! Kim ty jesteś, człowieku! Popatrz w lustro, gdy się golisz!

Tylko pomyśl! Bo myślenie nic nie boli!

Rusz te swoje szare komórki!  
Porozplataj wątpliwości sznurki!  
Może wreszcie chociaż jedną łzę uronisz!  
Tylko pomyśl! Pomyśl, stary, to nie boli!

Karolina podskakuje, a ja trzęsę się ze strachu, że spadnie ze sceny, zapomni tekstu albo... zacznie rodzić.

— Świetna piosenka! — Bogdan unosi kciuk do góry.

Koloniści są zachwyceni. Deszcz kropi odrobinę, ale można wytrzymać. Podoba mi się cygańska kapela, Górale, koza... Karolina daje z siebie wszystko. W pewnej chwili tancerze całują ją w brzuch.

— No wiecie co! — Zośka jest oburzona.

— Szkoda, że Marek tego nie widzi! Byłby z niej dumny! — zamyślam się.

— Czyżby? Przecież ona śpiewa z playbacku! — moja siostra wierci się na drewnianej ławce.

## Niedziela

Około dziesiątej rano z trudem otwieram jedno oko. Słyszysz morza za oknem, sporo osób wyległo już na plażę.

Koszmarnie boli mnie głowa. Przyjęcie, które zorganizował po koncercie menedżer Karoliny, Brolik, trwało prawie do rana.

Bruno wynajął całą hotelową restaurację w Kołobrzegu. Byli wszyscy: ekipa techniczna, chórek, tancerze. Siedziałam przy stoliku z mamą narzeczonego mojej córki, która właśnie niedaleko Świnoujścia wykupiła turnus wczasowy. Wystrojona w kwiecistą suknię i słomiany kapelusz, bez przerwy analizowała zabiegi rehabilitacyjne, którym poddaje się tu co roku. Jej mąż z nieco mętłym spojrzeniem wpatrywał się w kolejny kufel piwa...

Bogdan i Tomek pochłonięci byli dyskusją z Brunem o jego najnowszym nabytku — Harleyu Davidsonie. Moja córka krążyła od stolika do stolika, zabawiając i tak już rozbawione towarzystwo. Brolik, niewysoki, łysy czterdziestolatek wznosił toasty i zagnadzał nas opowieściami o szczegółach trasy koncertowej.

— A mamusia to co? Nie pije? — zagadnął mnie i podsunał drinka.

— Mamusia nie pije, bo mamusia jest samochodem! — wzruszyłam ramionami.

— A! To co innego! — Brolik chwiejnym krokiem ruszył w stronę stolika ekipy technicznej, która bawiła się najgłośniej.

Karolina opadła na krzesło obok mnie.

— Jestem zmęczona, ale tak się cieszę, że się udało!

— Ja też się cieszę! Ale uważaj! Macie zamiar po każdym koncercie organizować takie imprezy? — dopytywałam się.

— Czemu nie? Nawet nie wiesz, jakie są nerwy przed koncertem! — westchnęła. — A potem wszystko z człowieka spływa i ciężko tak od razu położyć się i zasnąć!

— Żeby to ci tylko nie zaszkodziło!

— Ciocia Zosia mówi to samo! Bez przesady! Czuję się świetnie! — Karolina wzruszyła ramionami. — Kim jest ten facet dla ciebie? — wskazała Bogdana.

— Mówiłam ci. Brat Hanki — odpowiedziałam szybko.

— Jesteście razem? — dopytywała się dalej.

— Nie, przyjaźnimy się... — zaczęłam się jąkać.

— Jest niezły. Sympatyczny! Trzymam kciuki!

Dalej udawałam, że nie wiem, o co chodzi. Bogdan niewiele mówił podczas tej imprezy. Uśmiechał się, ale nie jestem pewna, czy dobrze się bawił.

Teraz próbuję otworzyć drugie oko...

Nie zdążę już na śniadanie. Trudno.

Dzwoni komórka.

— Obudziłem? — Bogdan ma trochę schrypnięty głos.

— Nie. Już nie. Właśnie zastanawiałam się, gdzie jestem.

— Ja też. Byłem na dole, ale przegapiliśmy śniadanie. Porywam cię do restauracji za rogiem! Serwują tam pyszną jajecznicę i to aż do południa! — kusi mnie.

— Będę gotowa za pół godziny! — rzucam szybko.

Wybieram przewiewną bluzkę ze sporym dekoltem i długą, rozciętą z boku spódnicę oraz połyskujące japonki.

Żałuję, że zaraz musimy wracać do Warszawy. Pogoda jest wymarzona. Tłumy ludzi wygrzewają się na plaży i pożerają niezliczone ilości lodów.



Zamawiamy jajecznicę i parówki. Restauracja jest przytulna, elegancka i kosmicznie droga. Piję dużo wody i zastanawiam się, czy Zosia i Tomek jeszcze śpią.

— O której wyruszamy do Warszawy? — pyta Bogdan, podając mi koszyczek z chrupiącymi bułeczkami.

— Zajakieś trzy godziny. Nie chciałabym znowu zarywać nocy — wzdycham.

— Jesteś dumna z Karoliny? — pyta mnie z błyskiem w oku.

— Jasne, że jestem. Była wspaniała, a nie była?

— Była. Ma ogromne pokłady energii. Jesteście do siebie podobne! — stwierdza z uśmiechem.

— Naprawdę? Jesteś pierwszy, który to mówi! Wydaje mi się, że Karolina ma cechy, których mi po prostu brakuje! — wzdycham.

— A niby jakie? — Bogdan unosi brwi.

— Przede wszystkim ona wie, czego chce.

— A ty nie wiesz?

— Może wiem, ale zastanowię się dwadzieścia razy, zanim zrobię cokolwiek, co zmieni moje życie!

— Co cię tak ostatnio zastanawia? — dopytuje się.

Milczę.

— Dobrze! Już nie pytam! Porywam cię teraz na spacer! Musimy nawdychać się na zapas morskiego powietrza! — chwyta moją rękę. Tak całkiem naturalnie. Delikatnie.

Oglądamy stoiska z pamiątkami. Kupujemy gofry z bitą śmietaną. Chciałabym, żeby ten spacer nigdy się nie skończył.

— Bogdan? — przed nami wyrasta wysoka, postawna blondynka o piegowatej, lisiej twarzy. Ma indyjskie kolczyki i wielkie okulary przeciwsłoneczne.

— Ania?

Nie podoba mi się to. Najwyraźniej dobrze się znają. Anna pokazuje nam stoisko, gdzie razem z koleżanką sprzedaje obrazy.

— Znamy się z Bogdanem z kursu nurkowania. Był rewelacyjnym instruktorem — robi znaczącą minę.

— Jest pani tu na wczasach? — pytam uprzejmie.

— Jaka pani? Na jakich wczasach? — chichocze, co potwor-

nie mnie irytuje. — J e ż d z i m y po wszystkich kurortach i wyprzedajemy zasoby naszej galerii. Bogdan nie opowiadał ci o mnie? Mam galerię w Sopocie! — Anna chwyta go za łokieć i szeptem coś do ucha.

— Tyle czasu się nie widzieliśmy! Pora to nadrobić! — mówi głośniej.

— Ale przyjechaliśmy tu tylko na dwa dni! — tłumaczę. — Na koncert.

— Byliście na koncercie tej lali? Boże! Co to za beztalencie! Biedni tutejsi czasowicze są tak znudzeni, że zniosą wszystko.

Robi mi się przykro. Bogdan patrzy na mnie niepewnie.

— Musimy już iść. Mam twój numer. Zadzwoń — mówi do Anny.

— Ja myślę, że tym razem nie rzucasz słów na wiatr! — j e g o przyjaciółka żegna nas wymuszonym uśmiechem.

Czar pryska. Nie czuję się już jak zauroczona nastolatka. Patrzę na Bogdana spod oka.

— Dlaczego nie pozwoliłeś mi powiedzieć, że to beztalencie to moja córka? — pytam chłodno.

— Bo byłoby jej przykro, że się wygłupiła... — tłumaczy niepewnie. — Zrozum...

— A myślisz, że mi nie było przykro?

— Jesteś zazdrosna? — śmieszna jest nadzieja w jego głosie.

— Skąd! Wracamy do hotelu! Już późno! — popędzam go.

Hanka przecież mnie ostrzegała! Zna go jak nikt inny! Podejrzewam, że w każdym większym mieście spotkalibyśmy jakąś jego „znajomą”, a to z kursu nurkowania, a to z treningów karate czy jazdy konnej!

## Poniedziałek

Wróciliśmy do Warszawy na krótko przed północą. Prawie nie odzywałam się do Bogdana w trakcie jazdy. Próbował mnie zagadywać, ale zbywałam go za każdym razem.

Dziś wstałam oczywiście z wielkim trudem i w kiepskim nastroju.

Wrzeszczę na wszystkich. Damian patrzy na mnie z respektem.

— Musimy porozmawiać! — oświadcza mi w południe.

— Co się dzieje? — warczę.

— Mamy sezon ogórkowy. Brakuje nam sensacyjnych tematów. Gwiazdy powyjeżdżały na wakacje, prawie zero afer, o baranie z dwiema głowami, który urodził się na Śląsku, pisaliśmy już trzy razy.

— Tymon nic nie znalazł? — dziwię się.

— Nic! Wysyłam go na urlop. Niech odpocznie.

— Jasne. No cóż... zrobimy reportaże z wakacji gwiazd! — wzruszam ramionami.

— To już było! Kilka razy! Namierzaliśmy ich w Międzyzdrojach, w Egipcie i na Kanarach! Co jeszcze można napisać?

— Napisać można wszystko! Skoro tak się smażą na plaży, to napiszemy, co im grozi! Na przykład: po jednej stronie duże zdjęcie aktorki X w bikini na plaży, a po drugiej stronie zdjęcie osoby chorej na raka skóry i jej wstrząsające wyznania... Albo ja wiem? Kościotrup z kosą!

Damian patrzy na mnie z podziwem.

— Nieźle! Ty to masz głowę!

Marysia cichym głosem informuje mnie, że wyjeżdża na dwa tygodnie.

— Z Tymonem? — domyślam się.

— Tak. Jejku, jak ja się cieszę! — rozpromienia się. — Powiedział, że porywa mnie na Mazury, do swojej ulubionej miejscowości. Będziemy blisko natury! Ach! Tylko grzyby, ryby, ptaki!

— Kto cię zastąpi? — pytam oschle.

— Damian znalazł kilka kandydatek w agencji pracy tymczasowej. Miał pani przekazać, że przyjdą jutro na dziesiątą!

— Nie p r z e k a z a ł! — j e s t e m w ś c i e k ł a .

Wszystko mnie drażni. Zwłaszcza Marek, który upiera się, że wpadnie do mnie wieczorem. Dzwoni już trzeci raz.

— Słuchaj! Nie dziś! Jestem zmęczona! — konsekwentnie odmawiam.

— Musisz mi opowiedzieć, jak wypadła Karolina! Przecież masz zdjęcia i film! — mówi błagalnym tonem.

— Wypadła świetnie! Innym razem się spotkamy!  
— Dziś! Proszę! Zamówimy pizzę! Przyniosę wino! — Marek jest nieustępliwy.

— A Kasia? — wzdycham.

— Musi pojechać do rodziców... jakaś narada... coś pilnego... nie chciała mi powiedzieć.

— Może naradzają się w twojej sprawie? — śmieję się.

— Nie żartuj! Mam nadzieję, że nie w mojej! Jej ojciec ma takie groźne spojrzenie!

Nie chcę już słuchać o Kasi. Niechętnie zgadzam się na jego odwiedziny, ale podkreślam, że powinny być krótkie.

— Wpadnę na godzinę! Nie będę cię zanudzał! — obiecuje.

Marysia szczerbiotliwie informuje wszystkich o wypadzie na Mazury. Maluje paznokcie fioletowym lakierem i wylewa go na dokumenty. Staram się opanować.

Myślę wciąż o Bogdanie. Co ja w nim widziałam? To przeciętny, zwykły podstarzały kobieciarz, który nigdy nie dorośnie, nie zmadrzeje!

Robię zakupy koło domu. Znowu przepłacam, ale zmęczenie bierze górę nad rozsądkiem. Pani Tosia ogarnęła wszystko przed moim przyjściem. Wychodzi także z psami. Pewnie dlatego wita ją mnie bez większego entuzjazmu!

Nie wiem dokładnie, co mam w lodówce? Gdzie jest cukier? Skończył się płyn do kąpieli i papierowe ręczniki.

Dostaję SMS-a: DZIĘKUJĘ ZA WSPANIAŁY WEEKEND. POLECAM SIĘ NA PRZYSZŁOŚĆ!

I tyle! Niech się poleca! Ale ja się nie polecam!

Marek przychodzi punktualnie.

— Mam gorącą pizzę! Dawaj talerze! — wita mnie od progu.

Czy on nie czuje się u mnie zbyt swobodnie? Widzę, że przyjechał prosto z pracy. Skórzaną teczkę rzuca na krzesło w kuchni.

— Opowiadaj! Karola dała sobie radę? Dzwoniłem do niej w niedzielę, ale powiedziała, że śpi, a za kilka godzin ruszają dalej.

— Tak. Jak Cyganie. Cały tabor: tancerze, ekipa techniczna, fryzjerzy, nawet koza.

— Ona zawsze miała niesamowite pomysły! — Marek nalewa wino. — Wypiję tylko pół kieliszka. Nie chcę, żeby zabrali mi prawo jazdy.

Po kolacji oglądamy koncert Karoliny na DVD.

— Ktoś to nagrał całkiem profesjonalnie. Chyba nie ty? — stwierdza mój były mąż.

Oczywiście nigdy nie doceniał moich talentów technicznych!

— Znajomy — wzruszam ramionami.

— Karolina coś wspominała — robi znaczącą minę.

— Nie musisz ci się spowiadać! — j e s t e m zmęczona. Marzę, żeby już poszedł.

— Wiesz, wszystko robi się takie skomplikowane — Marek zamyśla się.

— Co takiego?

— Życie i takie tam — wzdycha.

— Coś się stało? — próbuję wyciągnąć od niego jakieś szczegóły.

— Myślałam, że Kasia to kobieta mojego życia, była taka świeża, młoda, radosna, delikatna...

— A już nie jest? — dziwię się.

— No jest, ale jest też Stella i ja czuję się trochę... No głupio być zazdrosnym o małe dziecko, ale między nimi jest taka silna więź. Są nierozłączne.

— I to cię gryzie? — śmieję się. — Przecież to oczywiste, że są bardzo ze sobą związane. Stella jest malutka, jej rodzice rozwodzą się. Ktoś musi się nią opiekować.

— Ja tego nie neguję! Nie rób ze mnie potwora! Tylko, kurczę, zapomniałem, jak to jest, gdy ma się małe dziecko... Kasia ciągle mnie strofuje. Nie mogę palić i pić nawet wina we własnym domu, całować jej przy małej, musimy chodzić wcześniej spać. Trudno wyrwać się nam na jakąś kolację na mieście czy do teatru! Ona wydzwania wtedy bez przerwy do niani i pyta, czy Stella już śpi, czy obejrzała bajkę, czy nie płakała... — Marek potrzasa głową.

— A co byś wołał? Żeby oddała dziecko Marcinowi, żeby ci nie przeszkadzało? — j e g o egoizm mnie przeraża.

— Nie przesadzaj! Kasia tak dużo pracuje, a potem ma wyrzuty sumienia, że mała tęskni za nią.

— No widzisz! To jednak potrafisz ją zrozumieć!

— Tak mi się zdawało... Kasia mogłaby zrezygnować z pracy. Utrzymałabym je obie! Opłaciłbym i przedszkole Stelli, i nia-

nię, i jakieś dodatkowe zajęcia. Ja wiem? Angielski, jazdę konną, co by tylko chciała.

— Co ona na to?

— Upiera się, że to kiepski pomysł. Mówi, że nie po to kończyła studia, żeby tylko zmywać gary, ale przecież zatrudniłbym gosposię. Nic nie musiałyby robić!

Monolog Marka trwa jeszcze dwie godziny.

## Wtorek

Rozmawiam z kandydatkami na zastępczynię Marysi. Pierwsza z kobiet, chuda i koścista, ubrana jest w granatową garsonkę. Ma około czterdziestu lat, niemodne okulary i siwy, ciasno spięty kok. Widzę, że się poci, chociaż klimatyzacja działa bez zarzutu.

— Gdzie pani wcześniej pracowała? — pytam grzecznie.

— Na poczcie, w pralni... — mówi ledwo słyszalnym szeptem.

— Czy umie pani obsługiwać komputer?

— Umie. Trochę. Syn mnie nauczył. Ma jedenaście lat, a taki zmysłny, ja nie miałam czegoś takiego, jak informatyka w szkole — mówi ze smutkiem.

— Jakieś języki obce? — pytam z nadzieją.

— Rosyjski... po angielsku też parę słów powiem, co mam nie powiedzieć... Córka w przedszkolu się uczy, to czasem coś podsłucham. Ja do przedszkola nie chodziłam, matki nie było stać! — wzdycha.

— Wykształcenie? Kursy?

— Maturę mam! — podkreśla. — Dwa lata temu udało się, bo wcześniej dzieci się rodziło, jakoś też czasu nie było — j a k a się lekko.

— Ile pani ma dzieci? — pytam z uśmiechem.

— Pięcioro. Jakoś tak poszło. Mąż na budowach dorabia, a ja wolałabym teraz bardziej umysłowo, a nie fizycznie. Całe życie to człowiek fizycznie zasuwał, a teraz, jak się wykształcenie zdobyło, to człowiek czegoś lepszego szuka...

— Na poczcie pani pracowała jako kto?

— Myłam podłogi. Okna. Parapety. Komputery wycierałam szmatką specjalną — odpowiada uprzejmie.

— Aha!

Następna kandydatka to malutka, okrągłutka pięćdziesięciolatka z gigantycznym biustem. Żółte, krótkie włosy przeczesuje palcami nerwowym ruchem. Zielona marynarka z trudem dopina się na brzuchu. Spódnica ozdobiona orientalnym wzorem sięga zaledwie kolan.

— Mam duże doświadczenie! — podkreśla na wstępie. — Pracowałam siedemnaście lat w szkole jako sekretarka. Różne rzeczy umiem! Dyskretna jestem! — posyła mi znaczący uśmiech.

— Dlaczego już tam pani nie pracuje? — dziwię się.

— Dyrektorka wredna suka uwierzyła jednej donosicielce, że jakieś pieniądze sobie przywłaszczam, co dzieciaki wpłacały na Ligę Ochrony Przyrody. Bzdura totalna, ale ta krowa uwierzyła i kazała mi się zwolnić!

Jestem już zmęczona. Trzecia kandydatka to czarnowłosa dziewczyna w dżinsach. Studentka?

— Robiłam w życiu prawie wszystko i prawie wszystko umiem! Niech się pani nie przejmuj! Pracowałam jako baby-sitter, kelnerka, akwizytorka, woźna, cheerleaderka! — wylicza.

— Mamy konkretne wymagania! — zdycham.

— Proszę pani! Ja umiem, jak mówię, prawie wszystko. Malowałam mieszkania! Naprawiałam krany! Sprzedawałam odkurzacze! Co pani chce! — dziewczyna nie traci pewności siebie.

Pod moje biurko rzuciła harcerski plecak. Ma na sobie spraną koszulkę reklamującą film KUBUŚ PUCHATEK I HEFALUMPY.

— A komputer? Języki?

— Spoko. Dogadam się po angielsku, francusku, włosku, hiszpańsku. Rok spędziłam w Stanach. Komputer to moja miłość! Mój chłopak twierdzi nawet, że jestem uzależniona! — śmieje się głośno.

— Studiujecie pani coś? — pytam grzecznie.

— Co jakiś czas tak! Socjologię, resocjalizację, nauki polityczne, a teraz jestem na turystyce! — wzrusza ramionami.

Boże! Kogo Damian mi tutaj przysłał! Wzywam go natychmiast.

— Skąd wzięłeś te kobiety?

— Z agencji pracy tymczasowej. Wybrałem cztery. Ostatnia jeszcze czeka na korytarzu. Wpuścić ją? — pyta spokojnie.

— Nie! Są beznadziejne!

— Przykro mi. Dokładnie przeczytałem informacje na ich temat — grzebie w papierach. — Pierwsza pracowała na poczcie: dojrzała, dyspozycyjna, odpowiedzialna, wykształcenie średnie. Druga: dwudziestoletnie doświadczenie na podobnym stanowisku, trzecia: znajomość kilku języków obcych, bogate doświadczenie zawodowe, wciąż się rozwija i doksztalca.

— Imponujące! Ale to stek bzdur! — trzaskam drzwiami.

Czwarta musi poczekać.

## Środa

Moja siostra upiera się na wspólny lunch. Wpada do mojej redakcji już w południe, rozczochrana i spocona.

— Przyszłaś trochę za wcześnie — informuję ją.

— To co? Wyrzucisz mnie? Niech ta ślicznotka poda mi coś zimnego do picia, bo się zaraz rozpuszczę. Czy my mieszkamy w Afryce? No powiedz sama! Co to za temperatury! Ciagle po trzydzieści stopni!

Marysia przynosi nam wodę z lodem i cytryną.

— Musimy porozmawiać — Zośka nagle poważnieje.

— To rozmawiajmy! — odsuwam z rezygnacją wszystkie dokumenty, które miałam podpisać.

— Chyba firma Tomka jest na krawędzi bankructwa...

— Żartujesz? Jakim c u d e m ? — j e s t e m naprawdę wstrząśnięta.

— Ja też tak zareagowałam, jak mi wreszcie powiedział, co jest grane! — Zosia zagryza wargi. — Gdybym wiedziała o tym wcześniej... to cholera jasna! W życiu nie pojechałabym do tej Grecji!

— Bez przesady. Odpoczęłaś sobie — pocieszam ją.

— Równie dobrze mogłabym spędzić tydzień w Urłach u znajomych! Nawet nie chcę myśleć, ile pieniędzy byśmy zaoszczędzili! — robi się czerwona ze złości.

— Macie długi? Co się właściwie stało? — dopytuję się.



— Aldona prowadziła nam kreatywną księgowość! Aż za bardzo kreatywną! Kiedy to się wydało, przyszła do nas z płaczem, że świat jej się wali, bo mąż ją zdradza! — Zośka nie może usiedzieć w fotelu i biega po moim gabinecie.

— Nie mogę uwierzyć! Śmiała się z niego, że to pokraczny typek, a teraz... — wdycham.

— A widzisz! Żył z jej pieniędzy, znosił wszystkie złośliwości, przynosił śniadanie do łóżka, a teraz okazuje się, że prowadził podwójne życie!

— Pewnie znalazł młodszą! — kręcę głową. — Zawsze ten sam scenariusz!

— Jaką młodszą? Która by go chciała? Ta trzecia, to ich sąsiadka z bloku. Mieszka na parterze. Znają się od dwudziestu lat! Jest starsza od Aldony! I brzydsza!

— Nic nie rozumiem!

— Biegał do tej sąsiadki bez przerwy! A to po sól, a to po cukier! A to ona dzwoniła, że jej się antena na balkonie przekrzywiła i czy on nie mógłby naprawić!

— Przecież to jakaś farsa! — wzruszam ramionami.

— Takie jest życie! Wyobraź sobie, mąż Aldony kupił pieska. Ratlerka, który biedactwo miał kłopoty z pęcherzem i musiał być wyprowadzany co najmniej osiem razy dziennie! — Zośka czerwienieje na twarzy jeszcze bardziej.

— No nie!

— A tak! Schodził tylko dwa piętra niżej!

— Czy Aldona po tym wszystkim nie może dać mu przysłowiowego kopa? Sama się śmiała z niego, że taki brzydki i na dodatek nieudacznik!

— Ale to jej nieudacznik! Jej własność. I jakaś obca baba wyciąga po niego rękę! Dlaczego Aldona ma im to ułatwić! Taka jest jej filozofia!

— Co to ma wspólnego z waszymi długami? — dziwię się.

— Ona dostała nerwicy, jak mówi, wrzodów żołądka. Twierdzi, że związała się z bólu, płakała, a jej mąż spokojnie szedł na spacer! Aldona mówi, że jakoś wypadło jej z głowy, że trzeba zrobić opłaty w ZUS-ie i w urzędzie skarbowym. Namieszała nam strasznie! — Zośka wznosi oczy do nieba. — Tak to jest, gdy

zamiast wynająć biuro rachunkowe, zleca się prowadzenie księgowości znajomej.

— Co na to Tomek? — pytam delikatnie.

— Bał się mojej reakcji! Bez sensu zupełnie! Xenia teraz pojechała do Londynu! Daliśmy jej sporo pieniędzy, bo nie chcieliśmy, żeby pracowała fizycznie! Miała tylko szlifować język w szkole dla cudzoziemców. Tam życie jest takie drogie! Opłaciliśmy jej przelot, pokój z łazienką blisko centrum, szkołę, daliśmy kieszonkowe! A teraz okazuje się, że mamy gigantyczny debet! — Zosia zaczyna płakać.

Rzadki to widok. Wiem, że jest twarda i pewna siebie, dlatego teraz jest mi jej strasznie żal. Drobniutka, zwinięta w fotelu, wygląda jak mała dziewczynka.

— Jaki debet? Na jaką kwotę? — nachyliłam się nad nią.

— Nie bój się. Sprzedamy samochód.

— Przecież jest wam potrzebny. Czym będziecie wozić towar?

— Tramwajem. Autobusem — Zośka wzrusza ramionami.

— Dam wam te pieniądze! — stwierdzam kategorycznie. — Powiedz tylko ile!

— Nic od ciebie nie wezmę! — moja siostra macha rękami. — I tak cały czas nam pomagasz! Xenia sporo u ciebie zarobiła. Kupiła laptopa i kamerę cyfrową! Nie możemy brać od ciebie bez przerwy! Nie możemy zerować na tobie! — Zośka znowu płacze.

— Jesteśmy rodziną! Musimy sobie pomagać! Jak chcesz, to może być pożyczka! Oddacie, kiedy będziecie mogli! — zapewniam ją.

Moja siostra długo nie daje się przekonać. W końcu wyciągam ją na lunch. Cały czas milczy, co jest w jej przypadku po prostu nienormalne.

— Głupio mi, że tak na tobie pasożytuję! — spuszcza głowę.

— Przestań! Na kogo mam wydawać pieniądze? Karolina radzi sobie doskonale, a ja nie mam aż takich potrzeb! Odkąd rodzice nie żyją, mamy tylko siebie! Prawda? — delikatnie dotykam jej ramienia.

Nigdy wcześniej nie czułam się specjalnie za nią odpowiedzialna. W dzieciństwie, jako młodsza siostra, była koszmarnie prze-

ze mnie traktowana. Szczypałam ją, doprowadzałam do płaczu i wściekałam się okropnie, gdy rodzice mówili, że muszę się nią opiekować.

Jako nastolatka Zośka zrobiła się paskudnie zadziorna i pyskata. Brała moje ciuchy i kosmetyki bez pozwolenia. Lekceważyła moje rady. Nienawiść pomiędzy nami kwitła.

Zbliżyłyśmy się do siebie dopiero wtedy, gdy obie zostałyśmy matkami. Zosia zaczęła doceniać moją pomoc i złagodniała.

Gdy ojciec zmarł na zawał, obie opiekowałyśmy się mamą, a kiedy i ona zaczęła poważnie chorować, wspierałyśmy się coraz bardziej. Oczywiście dochodziło do kłótni i awantur, ale zostałyśmy wreszcie przyjaciółkami.

— Powiedz Tomkowi, że biuro rachunkowe wszystko mu wyprostuje. Oczywiście za odpowiednią opłatą. Musicie natychmiast spłacić dług w ZUS-ie i debet! To jest najważniejsze! Dziś po południu zrobię przelew na wasze konto! Przyślij mi mailem numer!

Zosia wciąż się nie odzywa.

— Dlaczego nic nie mówisz? — trącam ją łokciem.

— Wiesz, zawsze tak trochę z ciebie kpiłam, z Karoliny także, ale widzę, że ty ciężko pracujesz, jesteś sama, a ja... Głupio mi!

— Zamawiamy deser! — zmieniam temat.

Pijemy pyszną kawę. Jak to dobrze, że mam oszczędności! Oczywiście kupno apartamentu i toyoty to był spory wydatek, podobnie jak opłacenie gosposi, ale mimo wszystko udało mi się zachomikować trochę pieniędzy na czarną godzinę. To znaczy, na emeryturę.

Pamiętam, jakie sumy dostali moi rodzice, gdy po trzydziestu latach pracy zdecydowali się wreszcie odpocząć. Grosze!

— Rysiek pytał o ciebie! — moja siostra rozgrzebała tiramisu, ale zjadła niewiele. — To znaczy, pytał o twoje psy, ale to był tylko pretekst!

— Na pewno! — uśmiecham się.

— Powiedziałałam mu, żeby do ciebie zadzwonił!

— Po co? — unoszę brwi.

— Spotkacie się, pogadacie.

Miałabym ochotę się spotkać, ale nie z nim...

Po południu odwiedzam Hanę. Modłę się, żeby nie było u niej Bogdana. Nie bardzo wiem, jak powinnam się zachować. Przecież nie chcę, żeby myślał, że jestem zazdrosna o Annę! W końcu jakim prawem miałabym być zazdrosna! Nic nas nie łączy. Luźna znajomość. Tylko tyle.

— Jak dobrze pójdzie, to wyjdę niedługo! — Hanka wita mnie bladym uśmiechem.

Zerkam dyskretnie na jej sąsiadkę. Wiktoria drzemie z jakimś babskim czasopismem rozłożonym na brzuchu.

— Śpi nasza gazetomaniaczka. Dzięki niej się nie nudzę. Nawet się polubiłyśmy — moja przyjaciółka podsuwa mi stołek.

— W jednym z miesięczników przeczytałam, że powinnam wyobrażać sobie, że strzelam do komórek rakowych. Najlepiej z kałasznikowa albo z bazooki. To podobno działa! I znikają!

Opowiadam jej o koncercie Karoliny.

— Bogdan mówił mi, że była rewelacyjna. Podobno bankietowaliście potem do późna!

— No trzeba było to uczcić! — tłumaczę.

— Czy coś między wami zaszło? — pyta nagle.

— Nie rozumiem — wzruszam ramionami.

— Bogdan jest jakiś przygnębiony. Niewiele da się z niego wyciągnąć. Powiedział mi tylko, że głupio się zachował wobec ciebie. Co on nawyprawiał? Powiesz mi? — chwytam mnie za rękę.

Mam dylemat. Wykręcić się czy nie? Jestem już zmęczona tymi niedopowiedzeniami. Wspominam więc o Annie.

— Znam ją. Nic między nimi nigdy nie było. Niegroźna wariatka — Hanka ożywia się.

— To nie ma znaczenia, czy coś było między nimi, czy też nie — stwierdzam obojętnie.

— Nie udawaj! Ja już widzę, co się dzieje! On także zachowuje się podejrzanie! Tak się cieszył na ten wyjazd z tobą, a teraz wygląda jak...

— Mówiłaś przecież, że Bogdan nie nadaje się do żadnych związków. To chyba dobrze, że coś się między nami skończyło, zanim jeszcze się naprawdę zaczęło — uśmiecham się blade.

— Nie mogę patrzeć na jego skwaszoną minę! Na twoją też! Jeżeli wam obojgu zależy na sobie nawzajem, to...

Wiktoria budzi się. Uśmiecha się uprzejmie.

— Jest piękna pogoda. Prawda? Mam łóżko koło okna, więc wszystko widzę. Ludzie w szortach, klapkach... jakja im zazdrościć! — wzdycha.

Wieczór spędzam, plotkując z Karoliną przez telefon. Jest zmęczona, ale pełna zapału.

— Tata powiedział, że będzie w sobotę na koncercie w Sopocie! Super! Prawda?

— Sam? Czy z tą... Kasią? — pytam, udając obojętność.

— Chyba sam. Powiedział, że za długo jedzie się samochodem, aby brać jej małą.

— Jak znosisz te upały? — jestem pełna niepokoju.

— W hotelach jest klima. W naszym busie także. Dużo śpię. Nie baluję z nimi, bo i tak nie mogę pić — zapewnia mnie.

— Uważaj na siebie! — błagam ją.

— Ciągłe to powtarzasz! Aż do znudzenia! Jestem dorosła! Wiem, co robię. Cięża to nie choroba! To tylko stan fizjologiczny! — wścieka się.

— Nie denerwuj się. Proszę cię. Po prostu się martwię.

Ona tego nie rozumie.

DZIĘKUJE, ŻE DBASZ O HANKE! POZDROWIENIA — to SMS od Bogdana.

Na pewno boi się zadzwonić. Nie wierzę, że mu na mnie zależy.

Idę wcześniej spać. Na dobranoc oglądam jeszcze raz koncert Karoliny. Moja córeczka jest niesamowita. Jak ona świetnie porusza się, mimo ciąży! Wyłączam dźwięk. Patrzę, jak się śmieje, macha do publiczności, przesyła całusy.

## Piątek

Marysia wprowadza Violę w tajniki swojej pracy. Ta szalona studentka, która zna cztery języki obce, najbardziej przypadła mi do gustu. Przyszła dziś już o siódmej rano i błyskawicznie dała próbę swoich zdolności: na komputerze pisze bardzo szybko, jest

bystra, a jedyna jej wada to gadulstwo. Zасыpuje mnie informacjami.

— Za miesiąc jadę do Wenecji! Autostopem! Kumpel pracuje tam od roku. Zmywa naczynia w pizzerii i u niego mamy metę!

Wyłączam się bardzo szybko. Myślę o Bogdanie. Nie odpowiedziałam na jego SMS-y, ale przecież mógłby zadzwonić.

Na zebraniu redakcyjnym Damian rzuca pomysłami. Wszystko po to, aby podnieść nakład naszej gazety.

— Loteria! Zdrapka! Nagrody dla prenumeratorów!

— Każdy los wygrywa! — śmieje się Tymon.

Widzę, że myśli już o urlopie. Marysia rzuca mu zalotne spojrzenia.

— Niezły pomysł! — Damian zamyśla się.

— Skąd weźmiesz miliony nagród? Tylu sponsorów? To nie-realne! — wzruszam ramionami.

— Założmy, że każdy, kto weźmie udział w grze, czyli kupi naszą gazetę, dostanie numerek, który uprawnia go do dalszej zabawy i tak dalej — Damian jest podekscytowany.

— W każdej gazecie numerek. Tak? I po miesiącu okaże się, że jednak pan Kowalski nie wygra mercedesa? — odzywam się.

— No! Coś w tym stylu. Ktoś jednak jakąś nagrodę wygra — przekonuje mnie.

Jestem znudzona. Wszystko to już było. Przeglądam propozycje kolejnych tematów, gdy dzwoni mój telefon.

— Przepraszam, Marek podał mi numer pani komórki. Czy ja nie przeszkadzam? — z trudem rozpoznaję głos Kasi.

— Nie... Coś się stało? — jestem zdumiona.

— Ja jednak wiem, że przeszkadzam, ale chciałabym porozmawiać z panią w cztery oczy. To ważne! — głos się jej załamuje.

— No dobrze — zgadzam się po chwili.

— Jutro mała będzie u Marcina, a Marek jedzie do Sopotu... — słyszę wahanie w jej głosie.

— Wiem. Nasza córka ma tam koncert.

— Właśnie. Niech jedzie. Ja muszę przemyśleć pewne sprawy. Czy możemy spotkać się jutro?

— Jutro? — waham się.

— To naprawdę ważne. Bardzo.

Ulegam i umawiamy się w kawiarni na Chmielnej.

Zastanawiam się, czy Marek nie narozrabiał. Przecież ja nie mam już z nim nic wspólnego! Od dawna!

Wieczorem zdaję Zosi relację z tej rozmowy. Po wieczornym spacerze i kąpieli mogę uciąć sobie pogawędkę. Muzyka (tym razem Toni Braxton) delikatnie pobrzmiwa w tle.

— Siedzisz w domu? Poszłabyś na jakieś przyjęcie! Dostajesz tyle zaproszeń! — Zośka jest zde gustowana.

— Mówisz to samo, co Karolina. Kiedyś te spotkania mnie bawiły, ale gdy wciąż widzisz te same twarze, to staje się nudne. Ktoś rzuca: „Co słychać?” i natychmiast biegnie dalej, bo moja odpowiedź już go nie interesuje. Tak to wygląda. To strata czasu!

— Nie rozumiem cię, ale dobrze... niech będzie. Dziękuję za przelew! Jesteś cudowna. Mam nadzieję, że teraz wszystko się wyprostuje. Opieprzyłam Tomka, że tak długo nic mi nie mówił — moja siostra wzdycha głęboko. — Bogdan dzwonił?

— Nie. Dwa SMS-y przez cały tydzień. To wszystko — opowiadam jej o Annie i rozmowie z Hanką.

— Wydawał się sympatyczny...

— Bo jest sympatyczny! Przecież nic złego nie zrobił! — bronię Bogdana.

— Jesteście jak dwa jeże. Jedno i drugie boi się zbyt nio zaan gazować! — Zośka śmieje się cicho.

— Dobry z ciebie psycholog. Trudno. Gdybym szukała tylko przygody, to dawno bylibyśmy razem... — wzdycham.

— Jesteś strasznie staroświecka — moja siostra udaje, że jest nowoczesna.

Opowiadam jej o telefonie Kasi i prośbie o spotkanie.

— Istna z ciebie Matka Teresa! Najpierw zajmujesz się jej dzieckiem, a teraz jeszcze wysłuchujesz zwierzeń! Wcześniej ratujesz jej męża od samobójstwa! Czy oni wiedzą, ile ci zawdzię czają? — Zośka jest wściekła, w moim imieniu.

— Nie przesadzaj. Czuję do niej sympatię. Jest trochę na roz drożu. Marcin nie był łatwym partnerem, a Marek to też skompli kowany typ.

— A ona wie, że przyjaźniłaś się z jej mężem?

— Chyba nie...

Żał mi Kasi. Ja także rozwodziłam się kiedyś, niestety, i miałam małe dziecko. Wydaje mi się, że Marek i ona to kiepska kombinacja.

Sobota

Dzień rozpoczynam leniwie. Aromatyczna kąpiel, celebrowanie malowania paznokci.

Jak to dobrze, że Karolina jest już dorosła, samodzielna! Gdy była mała, a ja biegałam do pracy i dbałam o dom, wymagała nieustannej uwagi i troski. Bawiła się na podwórku z kluczem na szyi. Nie chciała nauczyć się nawet, jak przyrządza się jajecznicę, swoje brudne ciuchy zostawiała tam, gdzie stała, i wściekała się, gdy ściszałam muzykę łomoczącą w jej pokoju.

Moi rodzice uważali, że ją rozpieszczę i niczego właściwie nie wymagam. Mama skarżyła się, że Karola pyskuje, nie sprząta po sobie i jest arogancka. Ojciec podkreślał:

— Córeczka Zosi jest taka cichutka, grzeczniutka, spokojna, a twoja to istna diablica!

Starałam się zrekompensować jej na co dzień brak ojca, ale wychodziło mi to marnie. To prawda, dawałam jej za dużo swobody. Szantażowała mnie czasem, urządzała awantury, ale wydawało mi się, że powinna mieć prawo wyrażać własne zdanie.

Moi rodzice wpajali mi dyscyplinę i nie wspominam tego najlepiej. Ciągłe narzucano mi odpowiedzialność za Zosię, wiecznie musiałam jej pilnować. Ojciec był inżynierem, rzadko bywał w domu, a mama pracowała w przychodni jako okulistka. Oboje wciąż zajęci, zmęczeni, zagonieni, potrafili powtarzać tylko: „nie rób tego, zrób tamto, nie garb się, ucz, pilnuj siostry, zmywaj po sobie, gaś światło o dziesiątej”. Do dziś żałuję, że nigdy nie porozmawiałam ze swoją mamą, tak szczerze, od serca. Była oschła, trochę wyniosła. Wymagała ode mnie bardzo wiele. Gdy przynosiłam świadectwa pełne piątek i czwórek, nie skakała z radości. Z zaciśniętymi ustami odkładała je na stół. — Mogło być lepiej. Prawda?

— Mogło być lepiej. Nie sądzisz? — o to samo pytała ojca,



który po skończonym obiedzie oglądał moje stopnie.

Potakiwał w milczeniu. Zero pochwał. Wciąż myślałam, że nie jestem dość dobra. Dość dobra, aby zasłużyć na ich miłość, czułość, zainteresowanie. Wciąż goniłam za czymś, co było nieosiągalne.

Zośka uważała, że przesadzam. Po jej narodzinach odpuścili sobie trochę. Brakowało im czasu, cierpliwości. To ja musiałam sprawdzać lekcje młodszej siostry, szykować jej ubrania i kanapki do szkoły...

Gdy poznałam Marka i zaszłam w ciążę, cieszyłam się, że mogę wreszcie uciec. Uwolnić się od ich karcących spojrzeń i bezlitosnej krytyki. Oczywiście uważali, że jestem za młoda na rozpoczęcie dorosłego życia. Moja mama spokojnie stwierdziła, że ja i Marek nie pasujemy do siebie i „z tej mąki chleba nie będzie”. Płakałam. Teraz wiem, że miała rację.

— Skoro tak pragniesz być samodzielna, to dajemy ci wolną rękę! — stwierdził mój ojciec.

Zamieszkałam z Markiem i z jego matką. Moi rodzice rzadko u nas bywali. A ja wpadłam z deszczu pod rynnę.

Dlatego teraz tak bardzo lubię samotność. Wolnym krokiem przechodzę z pokoju do pokoju. Psy wystarczają mi za towarzystwo.

Jadę na basen. Potem masaż. Obiad jem w arabskiej restauracji, w luksusowym centrum handlowym. Nie lubię jeść sama w miejscach publicznych. Udaję, że na kogoś czekam, kogoś wypatruję.

Znowu SMS. To Bogdan:

WPADNIESZ DZIŚ LUB JUTRO DO SZPITALA? CO U CIEBIE? DAJ ZNAĆ.

Może dam znać, a może nie. Spaceruję po Chmielnej. Dostrzegam Kasię w kawiarnianym ogródku. Ubrana w białą, elegancką bluzkę bez rękawów z kołnierzykiem i czarną, obcisłą spódnicę do kolan, wygląda, jakby wróciła właśnie z biznesowego spotkania. Poprawia okulary przeciwsłoneczne, które (poznaję po logo) są warte fortunę. Włosy związane w kucyk. Popija kawę. Bez uśmiechu.

Zamawiam wodę z cytryną.

— Bardzo dziękuję, że pani przyszła, wiem, że jest pani bar-

dzo zapracowana... — uśmiecha się blade.

— Może przejdziemy na ty? — proponuję.

— Oczywiście. Szkoda, że nie pomyślałam o tym wcześniej...

— zamyśla się. — Pani, to znaczy ty, długo znasz Marcina?

— Marek ci powiedział? — domyślam się. — Długo. Poznaliśmy się podczas studiów.

— Jaki był wtedy? — pyta szybko i zdejmuje okulary.

Widzę, że ma zmęczone, zamyśnione oczy.

— Jaki był? Bardzo inteligentny, towarzyski, w sumie niewiele się zmienił, chociaż... — waham się przez chwilę.

— Chociaż?

— Na pewno nie poznałam go dobrze. Jak można kogoś poznać na imprezach studenckich czy podczas wypadów do kina? — odpowiadam.

— Przepraszam, że pytam, ale czy wy byliście parą? — Kasia patrzy mi prosto w oczy.

— Nie. Przyjaźniliśmy się tylko...

— No tak. Przepraszam, że zapytałam. Okazuje się, że ja go słabo znam, nic o nim nie wiem.

— Jak to nic? — śmieję się.

— Niewiele. Teraz odkrywam u niego cechy, o których nie miałam pojęcia, grozi mi, krzyczy. Ostrzega, że odbierze mi Stelkę, a potem płacze do słuchawki i wysyła SMS-y i maile pełne miłości, czułe... Jestem, tak naprawdę nie wiem, czego on chce. Zniszczyć mnie czy naprawić to wszystko? — Kasia wyciera oczy.

— On uważa, że zrobiłam mu coś potwornego, ale ja wiem, że mnie zdradzał. Nie mam na to dowodów, ale wiem. To się czuje. Wystarczy zacząć zwracać uwagę na drobiazgi. Po prostu. Oczywiście on nie chciał mnie porzucić, zostawić. To nie w jego stylu.

— Idealna sytuacja dla prawdziwego macho: mieć żonę i kochankę! — uśmiecham się.

— Tak. Idealna. Ja jestem inna. Nie potrafię być z dwoma mężczyznami naraz. Zresztą każdy z nich chciałby mnie mieć na wyłączność. Marcin błaga, żebym wróciła, a jednocześnie mówi rzeczy, które mnie przerażają, boją. A Marek, wydawało mi się, że może dać mi tak wiele. Bezkrtycznie mnie uwielbiał. Interesował się wszystkim, co mnie dotyczyło. Nie traktował mnie jak

trofeum, jak przedmiot, bo mój mąż do tego mnie sprowadził. Był dumny, że wybudował dom, ma atrakcyjną żonę i śliczną córkę. Można się mną pochwalić, ale po co interesować się tym, co mnie boli?

— Może żaden z nich nie jest dla ciebie? — zastanawiam się.

— Może. Nie wiem. Moje życie, jak widać, polega na dokonywaniu złych wyborów. Dlaczego ja mówię to wszystko? Moje przyjaciółki uważają, że jestem głupia, bo Marcin jest przystojny, świetnie zarabia, no i szaleje na moim punkcie. On próbuje nimi manipulować. Przeciągnął je na swoją stronę! — widzę, że drżą jej ręce. — A moi rodzice namawiają mnie na rozwód. Marka tolerują tylko dlatego, że ma pieniądze. Nie wiem, co mam robić!

— Posłuchać siebie, a nie rodziców czy przyjaciółek! — odpowiadam szybko.

— Gdybyś miała do wyboru Marka lub Marcina, to kogo byś wybrała? — to pytanie zaskakuje mnie kompletnie.

— Nie odpowiem ci. Każdemu podoba się coś innego. Nie słuchaj rad „życzliwych”, tylko zastanów się, czego pragniesz — radzę jej przejęta.

— Wiesz, czego pragnę? Spokoju! Kiedyś byłam beznadziejnie zazdrosna o Marcina. Nie mogłam spać, jeść, wciąż zastanawiałam się, czy jeszcze mu się podobam. Potem poznałam Marka. Miałam dylemat, czy dobrze robię, że odchodzę od męża, co z matką, jak to zniesie.

— A jak to znosi?

— Wciąż pyta, kiedy zamieszkamy z tatą. Dlaczego tata nie mieszka ze mną, z nią i z Markiem? To jest jej logika. Chciałaby, żeby wszyscy byli szczęśliwi.

Wracam do domu przygnębiona. Czy mój były mąż musiał wybrać na obiekt swoich westchnień akurat żonę mojego kolegi? Czy życie musi być aż tak skomplikowane? Po czyjej jestem stronie?

## Niedziela

O dziesiątej dzwoni Bogdan.

— Jesteś niemożliwa. Dlaczego nie dajesz znaku życia? Śniłaś mi się już cztery razy — próbuje żartować.

— Byłam okropnie zajęta w pracy — ziewam dyskretnie.

— Już myślałam, że obraziłaś się na mnie.

— Ja? Nie. Dlaczego? — rzucam obojętnie.

— To świetnie! Porywam cię! Dzisiaj! Nie możesz odmówić samotnemu, smutnemu facetowi!

— Nawet nie próbuję — uśmiecham się do siebie.

Umawiamy się na spacer. Wybieram Pola Mokotowskie. Zabieram moje psy, które wzbudzają sporą sensację. Happy wygląda jak skrzyżowanie małego lwa z niedużym niedźwiedziem, a york Maciuś ma nową, różową kokardę i żółtą pelerynkę.

— Jakie cudne! Jaki słodki! Popatrz! Jaka to rasa?

Happy chyba zdaje sobie sprawę, że wzbudza sensację. Paraduje dumnie, lekceważąc (tylko pozornie) zainteresowanie innych psów i ludzi.

Bogdan także jest pod wrażeniem.

— Z tobą nie można się nigdzie pokazać! Wszyscy się gapią! Miałem kiedyś psa, ale jakoś nikt się za nim nie oglądał!

Udaje nam się znaleźć wolną ławkę. To prawdziwy cud. Roweryści, dzieci, psy są wszędzie.

— Chciałem cię przeprosić. Zachowałem się wtedy jak idiota... — Bogdan ma trochę niepewny głos.

— Nie przesadzaj. Mała wpadka — postanawiam podejść do wszystkiego na luzie. Jesteśmy znajomymi, a wpadki znajomych traktuje się przecież z przymrużeniem oka.

— Cieszę się, że tak myślisz.

— Jak Hanka?

— Musi zostać jeszcze w szpitalu tydzień, może dłużej. Niby jest już w miarę w porządku, ale chcą wykonać jej jeszcze dodatkowe badania.

Obserwujemy ludzi. Niebo jest bezchmurne, powietrze rozgrzane.

— Słuchaj, Zuzanna. Kim ja właściwie dla ciebie jestem? —

Bogdan splata dłonie i pochyla się do przodu.

Ma na sobie sprane dżinsy i błękitną koszulę z krótkim rękawem. Lubię zapach jego wody po goleniu.

— Nie rozumiem — stwierdzam spokojnie.

— Myślę, że rozumiesz. Czasem mam wrażenie, że się mną bawisz, przyciągasz mnie i odpychasz...

— Ta rozmowa nie prowadzi do niczego. Jesteśmy znajomymi. To wszystko — wierzę się na ławce.

— Nie masz racji! I wiesz o tym! Między nami zaczyna się coś, ale nie masz odwagi tego przyznać! — wzdycha.

— Wydaje ci się.

— Mnie się wydaje? A kto zaprosił mnie nad morze i przedstawił swojej rodzinie?

— Bardzo śmieszne! To nic nie znaczy! Wiedziałam, że jesteś przygnębiony, smutny — tłumaczę.

— Myślałaś więc o mnie? — chwyta mnie za rękę.

— Puść i nie ściskaj tak mocno.

— Przepraszam.

— Jasne, że myślałam.

— A ja zastanawiałem się i doszedłem do wniosku, że nie znałem nigdy kogoś takiego, jak ty.

— Już to mówiłeś!

— I będę powtarzał! Dla mnie jesteś kimś wyjątkowym! Nie widzieliśmy się przez tydzień i myślałem o tobie każdego dnia!

— Miło z twojej strony, ale nie wiem, do czego zmierzasz! — przecież nie przyznam się, że też tęskniłam za jego głosem, poczuciem humoru, zapachem...

— Dobrze wiesz — Bogdan uśmiecha się i kompletnie mnie rozbraja.

— I po co mam się w tobie zakochać? Wyjedziesz gdzieś, no nie wiem, do Poznania czy do Indii i wszystko skończy się, zanim zaczniesz się naprawdę — żartuję.

— Chcesz zrobić biznesplan miłości? — patrzy na mnie zdumiony.

— Jest mi dobrze tak, jak jest. Przyzwyczyłam się. Za nikim nie tęsknię, nie czekam na telefony, SMS-y, maile, nie piorę brudnych skarpetek i nikt mi w nocy nie chrapie...

— Bzdura! — Bogdan śmieje się. — Sama sobie nie wierzysz! Może wcześniej trafiałaś na mężczyzn, którzy utwierdzali cię w przekonaniu, że lepiej spędzić życie w pojedynkę, niż mieszkać pod jednym dachem z jakimś chrapiącym trutniem!

— Moja siostra powiedziała, że jesteśmy jak dwa jeże. Tak boimy się okazywać uczucia, ale z drugiej strony, po co zaczynać coś, co z góry skazane jest na niepowodzenie? — zrywa się wiatr i rozwiewa mi włosy.

Bogdan tarnosi mojego psa i, o dziwo, Happy jest tym zachwycony.

— Boisz się opuszczenia, zranienia, zawodu, zdrady? Ja też. Jak każdy. Ale nie mam zamiaru rezygnować. Nigdy nie byłem z żadną kobietą, która tak by wszystko komplikowała, ale cieszę się, że jesteś szczerą. Nie szukasz zwykłej przygody, ja także nie. Etap przygód mam za sobą — śmieje się.

— Właśnie! I to mnie przeraża. Nie pasujemy do siebie! — stwierdzam stanowczo.

— W miłości nie ma logiki.

— Czy to znaczy, że mam wyłączyć rozsądek?

— Wyłącz — Bogdan obejmuje mnie ramieniem. — Po prostu zrób to!

## Poniedziałek

— Mamuś! Mam genialny pomysł! Otworzymy restaurację albo klub! Musimy znaleźć lokal w jakiejś kultowej dzielnicy! Może na Pradze? Praga robi się modna! — j e s t e m oszołomiona monologiem Karoliny.

Jest siódma rano. Bogdan podaje mi kubek kawy. Wszystko wydaje mi się tak nierealne, tak nierzeczywiste. Jego ciepły uśmiech także.

— Jesteś tam? — moja córka jest zaniepokojona.

— Jestem — wzdycham do słuchawki.

— Koncerty trochę mnie zmęczyły. Zaliczyliśmy Międzyzdroje, Kołobrzeg i Szczecin. Wczoraj graliśmy w Sopocie. Tata był na widowni! Myślałam, że zjawi się z tą „kobietą swojego życia”, ale

coś kręcił — Karolina robi przerwę na oddech.

— Tak. Coś zaczyna się psuć między nimi, ale może wszystko się ułoży. Może.

Moja córka opowiada o trasie koncertowej i zasypuje mnie milionami pomysłów. Patrząc nieśmiało na Bogdana. Szykuje śniadanie. Na migi pyta, czy mam ochotę na jajecznicę.

— Pomysł z restauracją uważam za całkiem niezły. Rodzina Bruna nam pomoże. Wielu sławnych ludzi ma swoje kluby albo restauracje. Czytałam kolejny wywiad z Teddym o jego książce kucharskiej i to mnie natchnęło!

Jak mam jej przerwać i powiedzieć, że właśnie odkryłam kogoś ważnego w moim życiu? Karolina skacze z tematu na temat.

— Słyszałam o bankach krwi pępowinowej! Bruno obiecał, że to sfinansuje.

Kończy swój monolog po dwudziestu minutach.

— Córka? — domyśla się Bruno.

— Boże! Jak późno! — wpadam w panikę.

— Jajecznicza stygnie. Błagam, zjedz chociaż odrobinę! — biegnie za mną z patelnią.

Jego obecność w moim mieszkaniu wydaje się tak całkowicie zwyczajna. Jakby był tu od zawsze. Nie zadaje mi idiotycznych pytań. Chce, żebym czuła się dobrze. Tylko tyle i aż tyle.

Biorę prysznic i słyszę, jak podśpiewuje w kuchni. Nie rozmawiamy o tym, co działo się w nocy, bo tego nie można opisać słowami.

— Powiesz Hance? — pytam cicho, dopijając kawę.

— Powiemy razem. Ładna z nas para. Nie sądzisz?

W pracy jestem wyjątkowo spokojna, wyrozumiała, radosna. Nawet Viola, szalona studentka zastępująca moją sekretarkę, nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Żuje gumę i ze słuchawkami na uszach grzebie w komputerze.

Telefon od Hanki wrywa mnie z błogiego zamyślenia,

— Coś się stało? Jak się czujesz? — pytam przestraszona.

— Nieźle, jeżeli to możliwe. Słuchaj, mój brat wpadł do mnie godzinę temu i jest jakiś inny. Zaczarowałaś go? — pyta, śmiejąc się.

— Mam nadzieję.

— Zapytam, jak mój świętej pamięci mąż: było coś? — Hanka jest bezpośrednia. Jak zawsze.

— To znaczy, jesteśmy razem.

— Niemożliwa jesteś, ale trudno. Ostrzegałam cię. Z drugiej strony, nawet się cieszę. On się zmienił, odkąd cię poznał. Autentycznie!

Rozmowa z nią jeszcze bardziej poprawia mi humor. Tak jak SMS:

KOCHAM. CZEKAM. TĘSKNIĘ. MYŚLĘ. MARZĘ. SZALEJĘ.

Oczywiście chwale się Zośce, która, jak zwykle, jest bardzo sceptyczna. Przyjeżdża natychmiast, aby zjeść ze mną lunch.

— Zastanów się, co robisz! — ję c z y , gdy stoimy z tacami w kolejce do kasy.

— Bardzo długo zastanawiałam się przed, a więc nie muszę się zastanawiać, gdy jest już po... — pocieszam ją.

— Niepoważna jesteś! Nic o nim nie wiesz! Jego własna siostra ma o nim bardzo złe zdanie!

— Przesadzasz! — gdzieś zniknął mój pesymizm.

Zośka je mało i nie spuszcza ze mnie wzroku.

— Jestem dorosła! — przypominam.

Mam ogromny apetyt i kompletnie nie jestem śpiąca, mimo że spałam tylko cztery godziny.

— Ja ci mówię uważaj! — moja siostra nie daje za wygraną.

Wracam do pracy z zaskakującym mnie samą zapałem.

KOLACJA PRZY ŚWIECACH. CZEKA. U MNIE — kolejny SMS od Bogdana.

Jestem podekscytowana coraz bardziej. Muszę pojechać jeszcze do domu: przebrać się, przygotować.

Moja komórka nie milknie. Wyświetla się numer Marcina.

— To ja... — słyszę jego trochę bełkotliwy głos.

— Nie jesteś w pracy? — dziwię się.

— Dlaczego każdy o to właśnie pyta? Mam urlop, ale nigdzie nie pojechałem... Mam jechać sam? Kasia nie chce, żebym zabierał gdzieś małą! Mówi, że mogę ją porwać! Zabawne!

— Jesteś pijany! — stwierdzam przestraszona.

— No jestem. Bo co? Nie wolno? W życiu wszystko wolno! Seks za pieniądze też jest możliwy, a ja zaprosiłem tu jedną...



panią... luksusową. No i wszystko się skomplikowało!

Słucham tego bełkotu z niedowierzaniem. Jest już po piątej. Może urwać się wcześniej z pracy i zajrzeć do niego? Nie podoba mi się to, co mówi i w jaki sposób to mówi! Mam nadzieję, że Bogdan wybaczy mi spóźnienie.

Marcin otwiera mi natychmiast. Ubrany jest w dżinsy i rozpiętą, zalaną czymś koszulę. Z trudem zachowuje postawę pionową.

— Jesteś! — cieszy się.

— Co się dzieje? — wchodzę do salonu.

Zasłonięte okna. Zaduch. W fotelu znudzona dwudziestolatka w kostiumiku w panterkę. Patrzy na mnie i ziewa.

— Trójkącik?

— Jaki trójkącik? Skąd pani się tutaj wzięła? — denerwuję się.

— Nie kłóćcie się, dziewczyny! — Marcin beka i opada na fotel.

— Zadzwoił do mojej agencji! Chciał szczupłą brunetkę. I ma! — dziewczyna zapala papierosa.

— To nieporozumienie! — stwierdzam i otwieram okno.

— Też to mówiłem! Kocham żonę, kocham bardzo! — Marcin zaczyna płakać.

— Nudziarz! Mam się rozebrać? — dziewczyna patrzy na zegarek.

— Nie! — warczę.

— Dobra. To będzie szybciej! — odpowiada i gasi papierosa.

— Zapłacimy pani za stracony czas i zamówimy taksówkę! Dobrze? — próbuję wybrnąć z sytuacji.

— Ja tu siedzę dwie godziny! — mała jest sprytna.

— Godzinę! — Marcin słabo protestuje.

— Założmy, że półtorej! — daję mu znaki, żeby wyjął pieniądze.

Dziewczyna nie chce, żebyśmy zamówili jej taksówkę. Mamy dać jej dodatkowo pięćdziesiąt złotych na przejazd. Bo agencja jest daleko!

— Dwie ulice stąd! — wzdycha Marcin, ale ulega.

— Co to miało być? — denerwuję się. — Masz pojęcie, co zrobiłaby twoja żona, gdyby się dowiedziała?

Dociera do niego, niestety, niewiele.

— Zapytałem ją, jak ma na imię. A ona na to: A jak chcesz, żebyś się nazywała? Mówię: Kasia... Ona: Okay. Jestem Kasia... Tyle i tyle za godzinę... To nie tak miało być... To nie moja Kasia... Nie moja... — j e g o głos załamuje się.

— Może zadzwonię do kogoś, co? Nie mogę siedzieć tutaj z tobą, ale zostawić cię także nie mogę! — mam dylemat. Szukam telefonu, ale Marcin nagle trzeźwieje.

— Odłóż tę słuchawkę! Jest tylko jedna osoba, z którą chciałbym porozmawiać, ale ona mnie ignoruje.

— Zastanów się, co robisz ze swoim życiem! Masz malutką córeczkę! Musisz być dla niej wzorem! — stoję nad nim i wrzeszczę. Cisza. Zero reakcji.

Wychodzę, trzaskając drzwiami.

## Wtorek

Budzę się w mieszkaniu Hanki. Bogdan wstał trochę wcześniej i po cichu szykuje śniadanie. Ja nie mogę już zasnąć. Ze wszystkich ścian sypialni spogląda na mnie mąż mojej przyjaciółki, Ryszard. Znałam go przelotnie. Niespecjalnie lubiłam. Uważałam, że jest pozbawionym poczucia humoru mrukiem. Teraz widzę, że nie miałam racji. Na niektórych zdjęciach robi głupie miny, na przykład, gdy prezentuje potężną rybę, którą złowił w Chorwacji.

— Patrzysz na Ryszarda? — Bogdan staje w drzwiach. — Wspaniały spektakl zafundowaliśmy mu w nocy, ale tam, gdzie jest teraz, zapewne bywa trochę nudno.

Robię się czerwona i zakrywam kołdrą po uszy.

— Jaki był? Dobrze go znałeś?

— Zakompleksiony, ale dobry człowiek. Rzadko się widywaliśmy. Wyskakuj z łóżka, bo śniadanie już czeka!

— Jesteś aniołem. Tacy faceci nie istnieją! To się na pewno niedługo skończy! — j ę c z ę .

— Obrzydliwa pesymistka! Już ja ci wybiję z głowy te złe myśli! — Bogdan robi „straszna” minę.

Przy śniadaniu opowiadam mu o Marcinie. Może coś mi dora-

dzi? Może z punktu widzenia mężczyzny cała sprawa wygląda inaczej?

— Jestem o niego zazdrosny! Jakiś inny facet zaprzęta ci głowę swoimi problemami! A poważnie, to on strasznie kocha żonę, ale jeszcze bardziej kocha siebie — Bogdan zamyśla się.

— Nie widziałam go nigdy w takim stanie. A jeżeli coś sobie zrobi? — potrząsam głową.

— Jeżeli żyje żądzą zemsty, to raczej nie będzie myślał o samobójstwie. Przydałaby mu się jakaś bliska osoba, nie wiem, przyjaciel może, który potrząsnąłby nim mocno!

— On nie chce zwierzać się kumpłom ze swoich przeżyć! Dla nich stworzył wersję, że żona opuściła go z powodu jego zdrad — wzdycham.

— Macho? Tak? To ciężki przypadek — Bogdan nie ma wątpliwości.

— Dlaczego mężczyźni tak się boją zwierzać sobie nawzajem? Tak obawiają się mówić o tym, że kochają, cierpią, tęsknią? — zastanawiam się.

— Bo facet ma być silny! A uczucia są dla bab! To oznaka słabości i tyle! — Bogdan dolewa mi herbaty.

— Ty też tak uważasz? — dopytuję się.

— Nie jestem skłonny do wywnętrzania się. To prawda. Ale mam przyjaciela, który uratował mi życie w Indiach. Jemu mówię wszystko. Bez udawania i gierki. Powiedziałem mu o tobie — uśmiecha się niepewnie.

— Kiedy? — jestem trochę przestraszona.

— On mieszka teraz w Krakowie. Wczoraj zadzwoniłem i w krótkich, męskich słowach opisałem to, co czuję, gdy cię widzę.

— Powiedziałeś mu o nas? Wszystko?

— Nie. Jestem dyskretny. Możesz być spokojna. Opisałem tylko, co do ciebie czuję.

— A co czujesz?

— Coś niezwykłego. Mam ochotę pisać wiersze, chociaż w życiu żadnego nie napisałem! — śmieje się.

W drodze do pracy odczuwam raz euforię, raz przygnębienie. Przecież to wszystko się kiedyś skończy! Bogdan wyjedzie z War-

szawy! Wróci do swojego dawnego życia, a ja zostanę tutaj zawiędzona, ze złamanym sercem.

Wieczór chcę spędzić sama. Muszę poukładać sobie pewne sprawy, uczucia, myśli. On to rozumie i nie nalega. Twierdzi, że szykuje dla mnie niespodziankę! Kiedy ktoś ostatnio głowił się nad jakąś niespodzianką dla mnie? Nie pamiętam...

Gdy jednym okiem oglądałam film w telewizji (nieprzypadkowo jest to *Przeminęło z wiatrem* powtarzane aż do znudzenia, wiadomo — wakacje), dzwoni Marek i opowiada mi ze szczegółami koncert Karoliny w Sopocie. Jakoś nie wspomina o Kasi.

— Nasza córka jest niesamowita! Ona zajdzie bardzo daleko! Bruno też wydaje się w porządku. Dbą o nią — Marek jest pełen entuzjazmu.

— Co u Kasi? — pytam po chwili.

— Słabo cię słyszę! Mówiłem, że Karola to wschodząca gwiazda piosenki! Może zaproszą ją do Opola w przyszłym roku!

## Środa

— Chciałam coś zgłosić! — Viola zamasyście otwiera drzwi do mojego gabinetu.

Podnoszę głowę znad komputera. Mam podkrążone oczy. Spałam naprawdę kiepsko. Myślałam znowu o Bogdanie. O przyszłości naszego związku. I po pięciu godzinach myślenia doszłam do wniosku, że z którejkolwiek strony spojrzeć, to nie ma przyszłości.

Viola wystroiła się w dzinsowe rybaczkę i różowy top. Wolałabym, żeby nie nosiła adidasów w pracy ani żółtej czapeczki z daszkiem do tyłu, ale zostało nam tylko siedem dni współpracy. Jakoś to wytrzymam.

— Chciałabym zgłosić przypadek mobbingu! — nerwowo drapie się po nosie. — Ja naprawdę staram się pracować jak najlepiej. Przychodzę tu o siódmej rano, a mogłabym godzinę później. Mój lunch trwa zaledwie dziesięć minut!

— Do rzeczy! — wzdycham.

— To jest nawet nie mobbing, a molestowanie! Bez dwóch

zdań! Ten człowiek nie daje mi pracować!

— Siadaj i mów! — j e s t e m coraz bardziej zaintrygowana.

— On mógłby być moim dziadkiem! Może nawet od biedy pradziadkiem!

— Kto?

— Pan Leon!

Z trudem zachowuję powagę. Viola jest wściekła na naszego emerytowanego „pismaka”. Leon jest najstarszy w naszym gronie i dorabia sobie, pisząc zawiłe teksty o biorytmach, fazach księżycy, horoskopach. Przesiaduje u nas w redakcji, bo zwyczajnie się nudzi. Żona opuściła go dawno temu, bo wołała związać się z jego najlepszym przyjacielem, a dzieci nie zdążyli już mieć, niestety.

— Co się stało? — pytam.

— Podchodzi do mnie bez przerwy. Zagaduje. Dowcipkuje. Wciąż się kręci przy moim biurku. Chce mi pomagać. Na przykład zaproponował, że zatemperuje mi ołówek. Ja rozumiem, że to starszy człowiek jest i może z głową nie ma do końca w porządku, ale wczoraj kupiłam taką różową gumę do żucia w pastylkach. On natychmiast się zjawił i zagadał:

— Pani Violetko, czy to viagra? Zażyjmy ją razem, co pani na to?

Wyobraża sobie pani?

— To stary wariat. Proszę nie zwracać na niego uwagi — macham ręką.

— Ale to nie koniec! On pcha się z łapami! Mam tego dosyć! Ja chcę pracować w spokoju! — robi się czerwona ze złości.

— Załatwię to! Obiecuję. To już się więcej nie powtórzy!

Pojej wyjściu wzywam Damiana. Ustalamy, że pan Leon chyba rzeczywiście powinien wreszcie odpocząć na emeryturze.

Popołudnie spędzam u Hanki. Jest podekscytowana, bo lekarze wreszcie zdecydowali się wypuścić ją do domu. Siedzimy na korytarzu oddziału onkologii. Staram się nie przyglądać chorym w chusteczkach, czapkach.

— Myślę tylko o tym, kiedy wyjdę! Nie zastanawiam się nad tą cholerną chorobą. Chcę żyć, a gdy sama sobie odbiorę nadzieję, to będzie początek umierania! — mówi cicho.

Próbuję zmienić temat. Wręczam jej kilka książek, płyt, nutri-drinki na wzmocnienie.

Hanka przygląda mi się z uwagą.

— Jesteś jakaś inna. Spokojna. Uśmiechnięta. Jednym słowem, mój brat czyni cuda!

— Będzie tu dzisiaj? Nie odzywał się do mnie jeszcze — wzdycham.

— Będzie lada moment! Powiedział, że szykuje ci niespodziankę! Powinnam być zazdrosna, ale nie jestem. Należy mi się jednak coś, bo to ja was wyswatałam. Teraz wy znajdźcie kogoś dla mnie! — moja przyjaciółka prostuje się na krześle. — Mam fajny kontakt z Wiktoria. Chyba zaprzyjaźnimy się na dłużej.

— Świetnie!

— Ta choroba zbliża ludzi. Jesteśmy już naznaczeni. Musimy trzymać się razem — Hanka patrzy w stronę windy. — Idzie mój brat. Stęskniony głównie za tobą, oczywiście.

Bogdan jest bardzo opalony. (Chodzi na solarium czy kładzie się na leżaku w parku? — zastanawiam się zupełnie bez sensu).

— Pomalowałem ci balkon, siostrzyczko! Masz teraz także piękne skrzynki z kwiatami! — oświadcza i puszcza do mnie oko.

— Kwiaty trzeba podlewać. To jest ich główna wada! — Hanka wzrusza ramionami. — Ale dzięki! Dzięki!

— Dwie najważniejsze kobiety mojego życia! Razem! I jeszcze się lubią! Jestem szczęściarzem! — mówi Bogdan z entuzjazmem.

— Nie pobijemy się o ciebie! Będziemy mediować! — moja przyjaciółka zagląda do toreb, które przyniósł. — Pierwszy raz od bardzo dawna mam apetyt! Co masz?

— Dobry humor — jego odpowiedź jest prosta.

#### Czwartek

— Mamo! Będzie chłopiec! To będzie chłopiec! Słyszysz! Teraz wiem na sto procent! — głos Karoliny drży z emocji.

Jestem w pracy. Atmosfera gorąca. Urywają się telefony. Zawieszają się komputery. Jestem jednak bardzo szczęśliwa, że ona dzwoni właśnie teraz.

— Jestem w Warszawie. Mam parę dni przerwy w trasie koncertowej i poszłam do kliniki zrobić USG To chłopiec!

Jestem wzruszona.

— Ale wszystko w porządku, tak? — upewniam się.

— W zupełnym. Musimy to uczcić! Zapraszam cię dziś na kolację! Będą rodzice Bruna. Możesz przyjść z tym swoim nowym facetem.

Zaskakuje mnie na każdym kroku. Planowaliśmy z Bogdanem romantyczny wieczór, ale wiem, że Karolina jest ważniejsza.

— Jasne. Nie ma sprawy. Rozumiem — mój mężczyzna jest bardzo wyrozumiały, gdy informuję go przez telefon, że ze wspólnego wieczoru nici.

— Karola zaprosiła także ciebie.

— Wiesz, może innym razem, przygotowuję wszystko na powrót Hanki. Małe przemeblowanie, tak więc...

— To do jutra!

— Do jutra!

Ciekawe, czy zwierzył się swoim znajomym, że romansuje z przyszłą babcią? Mój Boże! Ja wcale nie czuję się staro, a teraz to jakby jeszcze ubyło mi lat!

Wieczorem kupuję imponujący bukiet kwiatów oraz niebieskie, słodkie buciki w ekskluzywnym sklepie [BABY.MYBABY.COM](http://BABY.MYBABY.COM). Obawiam się trochę spotkania z mamą Bruna, bo nie za bardzo potrafię z nią rozmawiać.

— Karolinka jest w salonie! Zapraszamy! — właśnie ona wita mnie w drzwiach. Oczywiście objęła kuchnię w swoje władanie. Czuję się jak intruz.

— Chodź, mamuś! — moja córka macha do mnie z kanapy. Wystroiła się w piękną, fioletową tunikę przetykaną złotą nicią i sprane rybaczki.

— A więc szykuje nam się następcą! Chluśniem, bo usniem!  
— ojciec Bruna *jest już* wyraźnie wstawiony.

Podsuwa mi kieliszek.

— Moment! Jasieńku! Najpierw kolacja! On tak się ucieszył, że odrobinę za dużo wypił. Już wystarczy! — zabiera mu butelkę.

— Przecież masz chore serce, słoneczko!

— Wszystko jest dla ludzi! — pan Jasio broni się słabo.

— Ojciec! Nie kompromituj mnie! — Bruno patrzy na niego groźnie.

— No dobra! Dobra! To gdzie ta kolacja?

Miło mi, że tak świętują to wydarzenie, jakby naprawdę szykowały się narodziny ich własnego wnuka. Grzecznie pytam o Sebastiana, który tak intensywnie szukał pracy.

— Ano właśnie, bo my po to przyszli! — pan Jasio już nie owija w bawełnę. — Trzeba mu jakoś pomóc, bo to zdolny chłopak jest, a się marnuje!

— Na pewno — przytakuję.

— Świetnie, że pani tak uważa! To kiedy on może zacząć pracę u pani? — mama Bruna robi się dociekliwa.

— U mnie? — otwieram szeroko oczy.

— No, wie pani, my Karolinę jak swoją przyjęliśmy do rodziny, pomagamy, więc pani mogłaby...

— Rozumiem! — jestem wściekła. Proszę! Ich życzliwość, uprzejmość, chęć pomocy ma swoją cenę!

Piątek

Boli mnie głowa, żołądek, wątroba. Wczorajsza kolacja zakończyła się około północy. Potworne ilości ciężkostrawnego jedzenia...

Mój lunch to niegazowana woda i odrobina zupy jarzynowej. Nigdy więcej nie zjem obiadu przygotowanego przez panią Marię!

Już z daleka dostrzegam Marcina. Wygląda lepiej, uśmiechnięty, wyluzowany.

— Chodź do nas! — zaprasza mnie do stolika.

Obok niego rozsiadła się wysoka, chuda trzydziestolatka w okularach.

— To moja sekretarka Iwona!

Kobieta mierzy mnie lodowatym spojrzeniem. Wymieniamy zdawkowe uprzejmości. Zastanawiam się, czy łączy ich wspólny lunch, czy też coś więcej.

— Dobrze, że mamy tu klimatyzację. Wie pani, że dziś temperatura ma wzrosnąć do trzydziestu siedmiu stopni? — Iwona



wzdycha z dezaprobatą. Sądząc po jej bladej skórze, to chyba nie za bardzo lubi się opalać.

— Przeprowadzono kiedyś badania i udowodniono, że przewlekły upał zmienia osobowość ludzi. Szybciej się męczą, są agresywni — Marcin wymądrza się, pałaszując schabowego.

No proszę! Jednak jest w stanie mówić o czymś innym niż tylko o swojej byłej żonie.

Iwona nareszcie wyciera swoje wąskie usta serwetką i wraca do pracy.

— Nie mogłem wytrzymać. Dobrze, że teraz jesteście sami. Mam najnowszą wiadomość. Kasia zostawiła M a r k a ! — widzę błysk triumfu w jego oczach.

— Skąd wiesz? — jestem zdumiona. — Powiedziała ci?

— Mam swoje źródła. Przecież wiesz, że ona ze mną nie rozmawia, ale może teraz zacznie! — Marcin prostuje się na krześle i poprawia krawat. — No, nie jestem pewien, czy pozwolę jej od razu wrócić! Niech swoje odcierpi! Niech zobaczy, że mam poważne wątpliwości, czy jeszcze może być moją żoną!

— A chce wrócić? — muszę napić się wody. Co za sensacyjna wiadomość!

— Na pewno chce! Pewnie boi się mi o tym powiedzieć! Co ona sobie wyobraża? Zabawiła się z kochankiem, wystawiła mnie na pośmiewisko, a teraz mam ją przyjąć bez słowa?

Mój telefon brzęczy. Niechętnie sięgam do torebki i odczytuję: KAROLINA W SZPITALU. RODZI.

Tyle. Tylko tyle? Czuję, że zaczynam się trząść z emocji. Rodzi? Przecież to za wcześnie! Dużo za wcześnie!

— Boże!

— Nie przejmuj się tak. Dam sobie z nią radę!

— O czym ty mówisz? — patrzę na niego ogłupiała. — Karolina rodzi! Za wcześnie! Musisz zawieść mnie do szpitala! Natychmiast! Tak się denerwuję, że nie mogę prowadzić! Boże! — zrywam się z krzesła i strącam talerz.

Marcin bez słowa zostawia swój lunch.

— Jasne! Jasne! Czekaj. Gdzie ja mam kluczyki? Do jakiego szpitala jedziemy? Gdzie?

Sprawdzam, od kogo był ten SMS. Od Bruna! Dzwonię do nie-

go. Odbiera za czwartym razem.

— Co się dzieje? Gdzie jest Karolina? — wrzeszczę.

— Ma cesarkę. Niech pani przyjedzie! Coś się skomplikowało!

— słabo go słyszę. Oddaję telefon Marcinowi i zaczynam płakać.

— Tak? Jaka ulica? Już jedziemy! — chwyta mnie za łokieć.

— No, spokojnie, nie róbmy przedstawienia. Wszyscy się na nas patrzą! Chodźmy do garażu!

Nie reaguję.

— Zuzanna! — ponagla mnie.

W jego samochodzie wciąż płaczę. Marcin co parę sekund rzuca mi przestraszone spojrzenia.

— Co jest? Będziesz miała wnuka! Trzeba się cieszyć!

— Głupi jesteś! To o dwa miesiące za wcześnie! Boże! Czy oni go uratują? Co z Karoliną? Ty nic nie rozumiesz!

Dzwonię do Bogdana. Nie mogę mówić, bo płaczę.

— Moja córka rodzi, za wcześnie...

— Zaraz będę. Zawiozę tylko Hankę do domu, bo już ją wypuścili. Nie płacz! Wszystko będzie dobrze! — jego ciepły głos uspokaja mnie trochę.

Przed szpitalem widzę przerażonego Bruna z komórką przy uchu.

— Co się dzieje? — krzyczę przez okno.

Marcin hamuje z piskiem opon.

— Dzwoniłem do pani jeszcze raz, ale wciąż było zajęte! — jest rozczochrany i spocony. — To się stało nagle! Bolało ją... i ta krew...

Za dużo jak na moje nerwy! Wszystko wiruje mi przed oczami!

Odzyskuję przytomność w przyszpitalnej przychodni. Wszędzie widzę kobiety w ciąży. Przez chwilę wpatruję się tępo w plakat zachęcający do karmienia piersią.

— Co się stało? — jęczę.

— Zemdląła pani. Spokojnie. Tu jest woda — Bruno podtrzymuje mnie za ramię.

— Gdzie jest Marcin?

— Poszedł po coś na uspokojenie, bo zdenerwował się tym, że pani tak się przejęła — tłumaczy mętnie narzeczony Karoliny.

— Aha. Dzwoniłeś do Marka? — opieram głowę o ścianę. Muszę zapanować nad całą sytuacją. Jacy oni są bezradni! Ja zresztą też.

— Tak. Jest w drodze. Jeszcze wody? — Bruno jest troskliwy.

— Nie — prostuję się.

— To ja się napiję!

— Chcę porozmawiać z lekarzem Karoliny! — wstaję.

— Nie może pani! On operuje!

— Aha! — siadam ciężko i zastanawiam się, co robić. Co robić?

Marcin chwiejnym krokiem wychodzi z dyżurki pielęgniarek.

— Ale mnie nastraszyłaś! Dostałem neospazminę — siada obok mnie i wyciera sobie czoło kraciastą chusteczką. — Nie wiedziałem, że jesteś taka ciężka, nie wyglądasz, ledwo cię z panem podtrzymaliśmy, bo uderzyłabyś głową o chodnik!

Przed nami nagle wyrasta Marek w wymiętej marynarce, z obłądem w oczach.

— Co się dzieje? Co on tu robi? — lustruje Marcina groźnym wzrokiem.

— Uspokój się! Nie zapytasz nawet o Karolinę?

— Przecież pytam! — podnosi głos.

— Ma cesarskie cięcie. Jak skończą, musimy porozmawiać z lekarzem! Coś się nagle stało, a przecież wszystko było w porządku! — głos mi się załamuje.

— Ja już pójdę! — Marcin nakłada marynarkę. — Mam nadzieję, że będzie dobrze!

— Dziękuję za podwiezienie — wzdycham.

— Nie ma za co! Wracam do pracy! Nic tu po mnie!

— Zuzanna! Tu jesteś! — Bogdan biegnie korytarzem. Jest wyraźnie przejęty. Marcin i Marek wpatrują się w niego z jednokowym zdumieniem.

— Kochanie! Co się dzieje? Mów! — mój mężczyzna nie zwraca na nich najmniejszej uwagi. Obejmuje mnie czule. Widzę, że naprawdę jest zdenerwowany.

— Karolina nagle źle się poczuła... Robią jej cesarskie cięcie. Boże! To za wcześnie! — znowu zaczynam płakać.

— Nie płacz. Proszę! — wzdycha Marek.

- Będzie dobrze! Mówię ci! — Bogdan chwyta mnie za rękę.
  - To świetna klinika. Kasia tu rodziła! — Marcin klepie mnie po ramieniu.
- Marek posyła mu nienawistne spojrzenie...

## Sobota

Siedzę obok łóżka mojej małej dziewczynki. Śpi, a ja po całej nocy spędzonej w szpitalu jestem obolała i półprzytomna. Zarówno Marek, jak i Bogdan tłumaczyli mi, że powinnam pojechać do domu i zdrzemnąć się trochę, ale ja słyszałam tylko słowa lekarza:

— To wcześniak. Walczy o życie. Jeżeli państwo chcą go ochrzcić, to ksiądz dyżuruje w kaplicy!

Gdy Karolina spała jeszcze po narkozie, Bogdan i Bruno zorganizowali ceremonię. Tak naprawdę niewiele pamiętam. Która to była godzina? Pierwsza w nocy?

Moja córeczka jest blada, słaba i bez makijażu wygląda na czternaście lat. Lekarz zabronił mówić jej, że dziecko prawie nie ma szans na przeżycie.

Zosię zawiadomiłam dopiero rano. Oczywiście była wściekła, że nie zadzwoniłam wcześniej.

Zagląda teraz zza drzwi i daje mi znaki.

— Natychmiast jedź do domu! Ja tu przy niej posiedzę! Zobacz, jak wyglądasz! Jadłaś coś?

— Nie wiem — usta mi drżą.

— Bogdan tu jest. Odebrał twój samochód z parkingu pod redakcją. Mówi, że cię odwiezie. Prześpij się. Wykap. Bo Karolina wystraszy się, jak zobaczy cię w takim stanie!

— Dobrze... — całe napięcie schodzi ze mnie w jednej chwili. Szlocham oparta o jej ramię.

— No już, przestań. Wszystko może się zmienić. Maleństwo jest w inkubatorze. Ma tam takie warunki, jak w łonie matki. Cały czas walczy. Jak ono walczy i nie poddaje się, to ty też nie miej głupich myśli!

— Tak, wiem... — wycieram nos. — Nic nie mów Karolinie! Proszę cię!

Bogdan odwozi mnie do domu. Nie odzywam się do niego i wiem, że on to rozumie. Psów nie ma. Zabrał je Tomek. Zamykam się w łazience. Siedzę na krawędzi wanny i nie mam siły nawet umyć zębów.

— Robię ci śniadanie, więc ta kąpiel ma być ekspresowa! Jasne? — puka do drzwi.

— Jasne — próbuję zmyć wczorajszy makijaż z resztami łez, ale butelki i tubki z kosmetykami spadają mi z półek.

— Wszystko w porządku? — Bogdan jest zaniepokojony.

— Tak, chyba...

Otulona szlafrokiem jem śniadanie, chociaż w ogóle nie czuję smaku potraw.

— Jak Karolina się obudzi, to Zosia zaraz zadzwoni? Tak? — pytam cichym głosem.

— Oczywiście. Jedz.

Staram się nie zrobić mu przykrości i zjeść chociaż trochę z tych pyszności, które przygotował.

— Przecież musisz być z Hanką. Ona jest już w domu, tak?

— Spokojnie. W nocy zrobiłem jej zakupy i obiad na dwa dni. Wszystko jest pod kontrolą. Nie martw się — dolewa mi herbatę. Za kawę dziękuję. W nocy wypiałam chyba sześć obrzydliwych kubków czarnej lury z automatu.

## Niedziela

Karolina chyba domyśla się, że z maleństwem nie jest dobrze. Każą jej odciągać pokarm i nie chcą mówić za dużo o Mikołaju, bo takie imię wybrała dla synka.

Marek siedzi przed drzwiami do jej sali i płacze. Zabroniłam mu wchodzić do niej w tym stanie. Ma najpierw dojść do siebie, ale nie za bardzo mu to wychodzi.

— Mamuś! Co z nim będzie? Przeżyje? Przecież ma jeszcze narządy nie do końca wykształcone, ja czytałam, to bardzo niebezpieczne. Czy to moja wina, bo pracowałam, tańczyłam w ciąży? Powiedz! — moja córka podnosi głos.

— To nie jest niczyja wina! Uspokój się! No już! — przytulam ją.

— Nawet rzuciłam palenie! Nie byłam taka głupia, jak sobie myślisz! — j e j głowa opada na poduszkę.

Serce mi pęka, gdy patrzę na jej rozpacz. Lekarz nie owijał w bawełnę, gdy rozmawiałam z nim w piątek. Kategoriecznie stwierdził, że Karolina przesadziła z pracą, z koncertami. Mam wyrzuty sumienia, że nie zrobiłam nic, żeby ją powstrzymać.

Jemy obiad z Brunem w szpitalnym bufecie. Jest nieogolony, ma przekrwione oczy. Mam wrażenie, że nałożył chyba dwie różne skarpetki, ale może to tylko złudzenie.

— Ja go traktowałem jak własnego syna. Cieszyłem się — mamroce.

— Dlaczego ty mówisz o tym maleństwie w czasie przeszłym! Ja na to nie pozwolę! On walczy o życie! — zaciskam dłonie na czerstwej bułce, którą łaskawie dano mi do zupy.

— Myśli pani, że wygra?

— Nie wiem, jest pod dobrą opieką, czeka go na pewno rehabilitacja...

— Ja zrobiłbym wszystko, żeby przeżył! — patrzę, jak ten zwalasty mężczyzna ukrywa twarz w dłoniach.

## Poniedziałek

Biorę wolne. Tradycyjnie ma mnie zastąpić Damian. Wszyscy już wiedzą.

Dzwoni do mnie Hanka i próbuje podtrzymać na duchu.

— Kuzynka mojej koleżanki też urodziła dużo za wcześnie, a dziecko przeżyło! Jest zdrowe, śliczne i ma już pięć lat! Wszystko będzie dobrze!

Wszystko będzie dobrze — te głupie, konwencjonalne słowa otuchy powtarzam sobie jak mantrę co kilka minut.

Mężcę lekarzy pytaniami. Tłumaczą mi wszystko zawile. Są ostrożni w prognozach.

Bogdan zabiera mnie na obiad do japońskiej restauracji. Miernie ułożone kawałki sushi śmieszają mnie. Ludzie zajmują się bzdetami, gdy tym czasem taki malutki człowieczek walczy o życie!

— To moja wina! Mogłam ją powstrzymać, żeby tak dużo nie pracowała! — wzdycham głęboko.

— Nie mogłaś. Nie obwiniaj się. To bez sensu!

— Ja go widziałam! Dotknęłam jego paluszka! W inkubatorze są takie otwory... Nawet nie wiesz, jaki on jest maciupeński!

— Tylko nie płacz! Nie mogę patrzeć na twoje łzy! — Bogdan ściska moją rękę.

— Przepraszam. Dziękuję, że jesteś przy mnie. To takie trudne, zamiast cieszyć się, że mam wnuka, ja prawie go opłakuję, zamiast go witać na tym świecie, ja będę musiała go pożegnać...

— Nic jeszcze nie jest przesądzone! Pamiętaj o tym! — pociesza mnie.

Ze szpitala dzwonię do Marka. Mówi, że nie może pracować.

— Wszystko naraz! Same nieszczęścia! Boże! Najpierw Kaśka mnie zostawiła, a teraz to maleństwo za wcześnie się urodziło! Cholera! — biadoli.

— Nie chcę słyszeć o twoich kłopotach! Nic mnie to nie obchodzi! — stwierdzam kategorycznie.

— Dobrze. Dobrze. Jak ona się czuje? Wpadnę wieczorem do szpitala. Pozdrów ją ode mnie! Uściskaj!

## Wtorek

Od rana wydzwania do mnie Damian. Łapie mnie w szpitalu, gdy pomagam Karoli w porannej toalecie. Jest obolała, przygnębiona i błada.

— Nie teraz! Nie mam czasu! — warczę.

— Nie mam wyboru! Musisz, musimy się spotkać jutro. Prezes Zarządu wyznaczył zebranie na trzynastą! To coś ważnego! Obecność obowiązkowa!

Mam ochotę wrzasnąć i poinformować go, gdzie ja to wszystko mam! O tej samej godzinie wyznaczył mi rozmowę wybitny specjalista od leczenia noworodków, który tylko jutro będzie w klinice. Tłumaczę mu to, ale na Damianie nie robi to wrażenia.

— Załatw to jakoś sama. Ja nic nie mogę. On podkreślał kilka razy, że to niezwykle ważna sprawa! A jeżeli on tak mówi, to...

Prezes Zarządu to siwy, otyły sześćdziesięciolatek, z którym rozmawiam raz na dwa, trzy miesiące. Przyjmuje mnie wtedy w swoim imponującym gabinecie i częstuje włoską kawą. Raczej nie ma większych zastrzeżeń do mojej pracy. Wszyscy panicznie się go boją. Sekretarki zmienia co pół roku.

Hanka przysłała mi serdeczne SMS-y.

Kolejny dzień spędzam w szpitalu przy Karolinie. Już wiem, gdzie jest kiosk, sklepik z kosmetykami i akcesoriami dla niemowląt i ich mam, apteka, bufet, automaty z kawą. Mam dość szpitali!

Marek wpada wieczorem. Nie wygląda dobrze.

— Moja mama chciała przyjść. W końcu Karolina to jej wnuczka! A to maleństwo... to prawnuk!

— Nie będziesz ciągnął tu tej staruszki! Później! Nie teraz! — wycieram twarz papierowym ręcznikiem. Przestałam się malować, pudrować. To bez sensu. Ciagle mam oczy pełne łez. Idiotyczne jest to bezustanne poprawianie makijażu. I tak wyglądam okropnie!

## Środa

Zastanawiam się, czy nie powinno się przenieść Mikołaja do Centrum Zdrowia Dziecka. Muszę porozmawiać z tym wybitnym specjalistą! Nie śpię całą noc z emocji!

Już o siódmej jestem w szpitalu. Karolina śpi. Na szczęście nie do końca zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Bruno już jest. Wychodzimy na korytarz, bo lekarze rozpoczynają obchód.

— Nie wiem, czy kupować coś dla maleństwa, łóżeczko i tak dalej. My nic nie mamy — wzdycha. Przestał się golić i prawie zapuścił brodę.

— Wstrzymaj się na razie. Jeszcze się wstrzymaj! — przełykam ślinę.

Dzwoni moja komórka.

— Musisz tu być o pierwszej! — stwierdza kategorycznie Damian. — Nie zadzwoniłaś do tego palanta i on nadal upiera się przy tej godzinie!



— Ja nic nie muszę! — wyłączam telefon.

Waruję przy drzwiach pokoju lekarskiego. Mam nadzieję, że ten słynny specjalista zjawi się trochę wcześniej.

O dziesiątej przyjeżdża Bogdan. Przywozi jedzenie, które dla Karoliny przygotowała niezawodna pani Tosia. Jest zmęczony. Wiem, że Hanka nadal wymaga opieki.

— Powinieneś zatrudnić gosposię. Będzie ci lżej — wzdycham.

— Chyba będę musiał to zrobić. Wczoraj spaliłem zupę i zaserwowałem prawie surowe mięso. Na szczęście moja siostra ma poczucie humoru. Martwi się o ciebie. Ja też się martwię — przytula mnie. — Nie siedzisz u Karoliny?

— Nie. Tam jest teraz Bruno. Czekam na lekarza, ale wciąż go nie ma! Jak oni traktują ludzi!

Mija jedna godzina, druga...

Chcę, żeby Bogdan już poszedł, ale on nie rusza się z miejsca. Ja także nie.

Znowu odzywa się moja komórka.

— Jesteś w drodze? Za kwadrans mamy zebranie! — to Damian.

— Odpieprz się! — wyłączam telefon.

Bogdan otwiera szeroko oczy.

— Co się dzieje?

— Nic się nie dzieje! Nie znałeś mnie od tej strony! Ja zawsze tak rozmawiam ze współpracownikami! Idiota nie rozumie, że to, co dzieje się teraz w redakcji, gównu mnie obchodzi!

— Powinnaś odpocząć.

— Teraz? Jak? — trzęsą mi się ręce. — Nie ma takiej opcji!

Czekamy następną godzinę. Bogdan donosi mi kawę. Wpycha we mnie kanapkę, którą jednak niedojedzoną wyrzucam do kosza...

## Czwartek

Tym razem spałam prawie jedenaście godzin. Mój organizm po prostu się zbuntował.

Wybitny specjalista od leczenia wcześniaków okazał się po-

tężnym i wzbudzającym zaufanie brodaczem. Zbada) Mikołaja dokładnie. Obejrzał wyniki badań.

Na jego słowa czekałam jak na wyrok. Spociłam się cała i czułam, że zaraz wybuchnę płaczem.

— Proszę usiąść. Jak się czuje pani córka? — zaprosił mnie do gabinetu.

Chciałam powiedzieć mu, żeby przeszedł do rzeczy, ale ugryzłam się w język.

— No cóż, ten malutki człowieczek ma niezwykłą wolę życia. I siłę. Prawdę mówiąc, niestety, nie dawaliśmy mu prawie żadnych szans, a teraz widzę, że niepotrzebnie byliśmy pesymistami — uśmiechnął się do mnie.

Miałam ochotę go ozłocić.

— Będzie żył? — zapytałam i czułam, że moje serce rozpoczyna jakieś dziwne ewolucje.

— Wszystko wskazuje na to, że kryzys minął. Oczywiście będzie wymagał wciąż opieki, a potem rehabilitacji. Konieczne będą konsultacje okulisty, kardiologa, neurologa, ale na szczęście mamy teraz w medycynie ogromny postęp, jeżeli chodzi o...

Zaraz po tej rozmowie pobiegłam do Karoliny. Opowiedziałam jej wszystkie szczegóły. Płakała.

— Gdybym nie uparła się na te występy, wszystko ułożyłoby się inaczej. Boże, jaka byłam głupia! — zacisnęła pięści.

— Przestań! Zadzwoń do Bruna! On się bardzo przejmuje! Nawet nie przypuszczałam, że trafisz na kogoś takiego... — westchnęłam z podziwem.

— Myślisz, że pozwolą mi zobaczyć teraz Mikołaja? — spojrzała mi głęboko w oczy. — J a k mu się coś stanie, to ja tego nie przeżyję!

— Nic się nie stanie! Przysięgam ci! — pocałowałam ją w czoło.

Zosia jest teraz u mnie i robi śniadanie. Prawdę mówiąc, wolę te w wykonaniu Bogdana. Moja siostra, niestety, nie przywiązuje wagi do estetyki podania posiłku. Chleb kroi grubo i krzywo, oblizuje palce.

— Tomek codziennie uprawia jogging z twoimi psami. Mam nadzieję, że trochę schudnie!

Wybucham trochę histerycznym śmiechem.

Sprawdzam mój telefon. Czternaście SMS-ów od Damiana! Nie czytam ich. Kasuję natychmiast.

W redakcji jestem około południa. Idę prosto do gabinetu Prezesa Zarządu. Oczywiście sekretarka nie chce mnie wpuścić, ale jestem uparta.

— Pani Zuzanno! Oczekiwaliśmy pani obecności wczoraj! Dziś się nie byliśmy umówieni! — widzę, że jest już zirytowany. Przerwałam mu chyba ważną rozmowę telefoniczną.

— Mam tylko coś do zakomunikowania. Będę się streszczać! — stwierdzam spokojnie.

— No... dobrze... prawdę mówiąc, pani nieobecność bardzo skomplikowała nam pewne sprawy. Byli nasi udziałowcy, członkowie zarządu...

— Czy mogę coś powiedzieć? — przerywam mu.

— Moment! Ja rozumiem, słyszałem, że pani wnuk w dość dramatycznych okolicznościach przyszedł na świat, ale pewne priorytety powinny pozostać dla pani niezmienione!

Czuję, że zalewa mnie fala totalnej wściekłości, ale Prezes Zarządu monologuje dalej.

— No cóż. Nie zjawiła się pani. Źle. Bardzo źle. Omawialiśmy projekt, któremu mogłaby pani szefować. Jest pani pewną kandydatką. Nadal. Pomimo tego wysoku. Chcemy stworzyć nową stację telewizyjną TOP-SENSACJA-TV. Mamy sponsorów i możliwości. Wyobraża sobie pani taki kanał, odpowiednik naszej gazety: plotki, ciekawe informacje, afery, skrywane głęboko sekrety gwiazd, talk-showy z udziałem publiczności? Pani zajęłaby się merytoryczną stroną całego projektu...

— Nie zajęłabym się — stwierdzam spokojnie.

— Słucham? — Prezes Zarządu unosi brwi.

— Nie zajęłabym się. Odchodzę. Tu jest wypowiedzenie umowy o pracę — otwieram teczkę.

— Pani żartuje? Kupiła panią konkurencja? Za ile, jeżeli można wiedzieć? — unosi głos.

— Nikt mnie nie kupił. Mam dość! Chce pan robić teraz telewizję i przekazywać masom bzdury w większości wyssane z palca? Lubi pan żerować na najniższych ludzkich instynktach? Beze mnie!

Z satysfakcją trzaskam drzwiami. Ile razy uśmiechałam się do niego przymilnie i przyjmowałam jego idiotyczne uwagi i komentarze bez mrugnienia!

Jego sekretarka patrzy na mnie oczami jak spodki.

W szpitalu wkładam fartuch, maseczkę i witam się z Mikołajem. Na powitanie zamaszycie fika maleńkimi nóżkami. Zaciska piąstki, otwiera buzię i pokazuje bezzębne dziąsła.

— Jaki jesteś drobniutki, cukiereczku. Jaki kruchy! — wycieram łzy. — Ale kiedyś będziesz duży i silny! Duży i silny! — powtarzam z pełnym przekonaniem.

## **Piątek**

Wczoraj wieczorem zjawił się u mnie Bogdan. Przygotowałam (przy drobnej pomocy pani Tosi) pyszną kolację przy świecach. Włączyłam nastrojową muzykę.

Gdy wznosiliśmy toast za Mikołaja i Karolinę, wyrwało mi się.

— Rzuciłam pracę.

— Zrobiłaś co? — Bogdan zamarł z kawałkiem ryby wbitej na widelec.

— To, co słyszysz — uśmiechnęłam się blade.

— Myślałem, że ta praca to twoje życie...

— Życie jest gdzie indziej. Na pewno nie tam.

— Dobrze, że tak myślisz — objął mnie ramieniem. — A byłem prawie przekonany, że jesteś nieuleczalną pracoholiczką...

— Wyleczyłam się — upiłam łyk wina. — Dzięki tobie.

Rano opowiadam o wszystkim Zośce przez telefon i jest przerażona.

— Z czego będziesz żyła? Boże! Zwariowałaś! — ję c z y .

— Może znajdę inną pracę, może sprzedam mieszkanie i kupię mniejsze, może sprzedam samochód i będę jeździć autobusem jak kiedyś. To żaden problem.

Bogdan zmywa naczynia i obserwuje mnie kątem oka. Rozmowa z moją siostrą jest trudna. Martwi się o mnie i uważa, że oszalałam.

— Zła była? — domyśla się.

— Ona niepokoi się o mnie. To zrozumiałe, ale jestem dużą dziewczynką — pomagam mu wycierać talerze.

— I obok masz dużego chłopaka, który chętnie ci pomoże!

— Dziękuję za miłe słowa — uśmiecham się.

— To nie tylko słowa. Wiem, że masz teraz tyle problemów. Ale czy myślałaś trochę o nas? — pyta nieśmiało.

Robię się czerwona wbrew swojej woli.

— Pomyślałaś, co będzie z nami? — patrzy mi w oczy.

— A co chciałbyś, żeby było? — spuszczam wzrok.

— Dobrze wiesz... Nie mówiłem ci tego jeszcze, ale postanowiłem na stałe przenieść się do Warszawy. Muszę mieć Hanke na oku, no i jeszcze kogoś...

Śmiejemy się.

## Sobota

Leniwie podnoszę głowę. Pospałabym jeszcze, ale dzwoni telefon w salonie. Bogdan chwyta mnie za łokieć.

— Nie wstawaj. Niech dzwoni.

— Co ty! Może to Karolina?

To nie ona. Najpierw nie kojarzę głosu, potem poznaję, że to Kasia!

— Przepraszam, Marek dał mi kiedyś ten numer. Chciałam tylko... — j ą k a się trochę. — Słyszałam, co się stało.

— Już jest lepiej — przerywam jej.

— To dobrze. Stella także urodziła się za wcześnie. Bardzo bałam się o nią...

Rozmawiamy chwilę o leczeniu noworodków. Nagle mamy tyle wspólnych tematów!

— Wróciłaś do Marcina? — pytam w końcu.

— Nie.

— Nie? A ja byłam pewna, to znaczy, on był przekonany... — j ą k a m się.

— On był pewien zbyt wielu rzeczy — głos Kasi jest stanowczy. — Jestem teraz sama. Tak jest dobrze.

— To niedługo się zmieni, jak znam życie — uśmiecham się.

— Może tak. Może nie.

Kończymy rozmowę. Zaczynam krzątać się po kuchni. Bogdan stara się mi pomagać. Jest tak rozbijająco zaspany i rozczochrany.

— Słuchaj... zawsze marzyłem, żeby otworzyć knajpkę na przykład — zamyśla się.

— Idea warta rozważenia, ale ja nie umiem i nie lubię gotować — wzdycham.

— Na kogo ja trafiłem! Mój Boże! Co by powiedziała moja babcia! — potrząsa głową.

Odwiedzamy Karolinę. Jest silniejsza. Mniej błada.

— Mikołaj uśmiechnął się dziś do mnie! — oznajmia.

— On ma wspaniałe imię! Kojarzy się ze świętem i z radością!  
— stwierdza Bogdan.

— Bo dla nas jego narodziny były świętem! — moja córka szybko wyciera oczy.

— Rzuciłam pracę — zmieniam temat.

— Wiem od cioci! Nie musiałaś! Ja i Bruno zajmujemy się Mikołajem! — Karolina patrzy na mnie uważnie. — Na pewno się tym przejmujesz, ale...

— Rzuciłam nie tylko dlatego, że urodził się maluszek.

— Bogdan cię namówił! — Karolina patrzy raz na niego, raz na mnie.

— O nie! Na mnie nie zrzucajcie odpowiedzialności! To nie moja wina! — mój mężczyzna gwałtownie zaprzecza.

— Tak się jakoś złożyło — tłumaczę mętnie.

Tak się jakoś składa, że postanowiliśmy z Bogdanem zamieszkać razem. Hanka stanowczo twierdzi, że nie jest kaleką i nie wymaga opieki, a poza tym młodszy brat ją denerwuje na dłuższą metę.

Mamy plany. Zobaczymy...